

Światowej sławy  
twórca cyklu

# DIUNA

**FRANK  
HERBERT**

**GWIAZDA  
CHŁOSTY**



**FRANK HERBERT**

# **Gwiazda Chłosty**

**(przełożył Adam Morawski)**

*Dla Lurton Blassingame,  
za pomoc w znalezieniu czasu dla tej książki,  
zadedykowane z wyrazami miłości i podziwu.*

*Agent BuSabu musi zacząć od zapoznania się z charakterystyką języka i ograniczeniami w działaniu (zazwyczaj nałożonymi przez nie sanie) społeczeństw, którymi się zajmuje. Agent poszukuje danych dotyczących funkcjonalnych związków pochodzących z naszego wspólnego wszechświata, wywodzących się ze współzależności. Te współzależności często stają się pierwszymi ofiarami złudzeń słownych. Społeczeństwa oparte na nieznajomości pierwotnych współzależności prędzej czy później znajdują się w ślepej uliczce. Takie społeczeństwa, zbyt długo zastygłe w bezruchu, giną.*

## **Instrukcja BuSabu**

Nazywał się Furuneo. Alichino Furuneo. Przepowiadał to sobie po drodze do miasta, skąd miał wykonać rozmowę zamiejscową. Dobrze jest podbudować swoje ja przed taką rozmową. Miał sześćdziesiąt trzy lata i pamiętał wiele wypadków utraty osobowości, które przydarzyły się rozmówcom pogrążonym w chichotransie komunikacji międzygwiazdnej. To właśnie ta niepewność, bardziej nawet niż koszty, czy przyprawiająca rozum o odrętwienie współpraca z przekaźnikiem Taprisjot, sprawiała, że tych rozmów odbywało się stosunkowo niewiele. Ale Furuneo uważał, że rozmowa z Jorjem X. McKie, Nadzwyczajnym Sabotażystą, jest zbyt ważna, by polecić ją komuś innemu.

Była 8:08 czasu lokalnego na planecie Serdeczność w układzie Sfitch.

– Obawiam się, że to nie będzie najłatwiejsze – mruknął w kierunku dwóch strażników, których przyprowadził ze sobą do pilnowania, aby mu nikt nie przeszkadzał.

Nawet nie kiwnęli potakująco głowami, rozumiejąc że nie oczekuje od nich odpowiedzi.

Było nadal zimno od wiatru, który wiał całą noc ponad ośnieżonymi równinami z Gór Billy w kierunku wybrzeża. Przyjechali tu zwykłym pojazdem naziemnym z fortecy Furunea w Mieście Podziału, nie próbując ukryć ani zatuszować swoich powiązań z Biurem Sabotażu, ale i nie starając się zwracać na siebie uwagi. Wielu przedstawicieli ras rozumnych nie miało powodów, by darzyć Biuro Sabotażu zbyt wielką sympatią.

Furuneo kazał kierowcy zaparkować przed wjazdem do centrum miasta, przeznaczonym tylko dla ruchu pieszego i resztę drogi odbyli na nogach jak zwyczajni mieszkańcy.

Przed dziesięcioma minutami weszli do gabinetu przyjęć w centrum rozrodczym Taprisjotów, jednym z może dwudziestu znanych we wszechświecie, niemalym powodzie do dumy dla pomniejszej planety jaką była Serdeczność.

Gabinet przyjęć miał nie więcej niż piętnaście metrów szerokości i może ze trzydzieści pięć długości. Beżowe ściany pokryte były niewielkimi zagłębieniami, jakby były kiedyś miękkie i ktoś rzucał w nie na chybił trafił małą piłeczką, nie trzymając się żadnego dostrzegalnego ładu. Z prawej, na przeciwko Furunea i jego strażników, jakieś dwie trzecie dłuższej ze ścian zajmowała wysoka ława. Zawieszane nad nią światła z licznymi wielobocznymi ściankami rzucały symetryczne cienie na ławę i na stojącego na niej Taprisjota.

Taprisjoci mieli dziwny kształt, jak odpiłowany kawałek przypalonej choinki, z krótkimi kończynami rozczapierzonymi we wszystkich kierunkach i podobnymi do igieł sosnowych narzędziami mowy, które zawsze, nawet gdy ich właściciel milczał, pozostawały w drgającym ruchu. Ten stojący na ławie przytupywał w nerwowym rytmie płozowatymi nogami po jej drewnianej powierzchni.

– Czy jesteś naszym przekaźnikiem? – zapytał Furuneo już po raz trzeci od wejścia do gabinetu. Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Tacy byli Taprisjoci. Nie było sensu się denerwować. I tak nic by to nie pomogło. Furuneo pozwolił sobie jednak na lekką irytację – Cholerni Taprisjoci!

Jeden ze stojących za nim strażników chrząknął.

Niech szlag trafi to opóźnienie! – pomyślał Furuneo.

Od chwili ogłoszenia maxi-alertu w sprawie Abnethe całe Biuro wpadło w gorączkę. Rozmowa, do której się teraz przygotowywał, mogła dostarczyć im pierwszego prawdziwego śladu. Wyczuwał świetnie konieczność pośpiechu. To mogła być najważniejsza rozmowa w całym jego życiu. A na dodatek jeszcze z samym McKie.

Słońce wychylające się sponad Gór Billy rozrzuciło wokół niego pomarańczowy wachlarz światła, przedostający się poprzez oszklone drzwi, przez które przed chwilą wszedł.

– Temu Tapkowi coś specjalnie się nie spieszy – mruknął jeden ze strażników.

Furuneo przytaknął krótkim ruchem głowy. Nauczył się wielu stopni cierpliwości przez swoich sześćdziesiąt siedem lat. zwłaszcza podczas wspinania się po drabinie stanowisk w Biurze do swojej obecnej pozycji agenta planetarnego. Pozostawało tylko jedno: cierpliwie czekać. Taprisjoci, z wiadomych tylko sobie przyczyn, nigdy się nie spieszyli. Niestety nie było żadnego innego sklepu, gdzie mógłby kupić usługę, której teraz potrzebował. Bez przekaźnika Taprisjota nie da się wykonać natychmiastowej rozmów) na odległości międzygwiazdne.

Co dziwne, ta zdolność Taprisjotów była używana przez tyle istot rozumnych bez prawdziwego jej zrozumienia. Brukowa prasa pełna była teorii na temat jej mechanizmu. Któraś z nich mogła nawet kiedyś okazać się prawdziwa. Być może Taprisjoci dokonywali tych połączeń w sposób podobny do przekazywania sobie danych przez członków jednego gniazda wśród rasy Pan Spechi, chociaż jak to się odbywa naprawdę też nikt nie wiedział.

Furuneo uważał, że Taprisjoci odkształcają przestrzeń podobnie jak Kalebariskie skokwłazy prześlizgując się pomiędzy wymiarami. Zakładając, że Kalebariskie skokwłazy polegają na odkształcaniu przestrzeni. Większość ekspertów z tą teorią nie zgadzała się, dowodząc że wymagałoby to energii podobnych do występujących w sporych gwiazdach.

Niezależnie od tego jak Taprisjoci uzyskiwali połączenia, pewne było jedno: miało to coś do czynienia z szyszynką u ludzi, lub z jej odpowiednikiem u innych ras rozumnych.

Taprisjot na ławie zaczął się kiwać na boki.

– Może nas wreszcie zauważył – powiedział Furuneo.

Wyprostował się i zrobił poważną minę, równocześnie starając się zapanować nad lekkim zdenerwowaniem. W końcu znajdował się w centrum rozrodczym Taprisjotów. Kseno-biologowie twierdzili, że reprodukcja Taprisjotów jest całkiem bezpieczna, ale ksenowie nie znają się na wszystkim. Wystarczy spojrzeć na bałagan jaki zrobili z analizy Współinteligencji Pan Spechi.

– Putcza, putcza, putcza – powiedział skrzypiąc swoimi igłami głosowymi Taprisjot na ławie,

– Coś nie tak? – zaniepokoił się jeden ze strażników.

– A skąd ja mogę, do cholery, wiedzieć! – szczechnął Furuneo. Odwrócił się w kierunku Taprisjota. – Czy jesteś naszym przekaźnikiem?

– Putcza, putcza, putcza – odpowiedział Taprisjot. – To jest uwaga, którą teraz przetłumaczę w jedyne sposób zrozumiały dla takich jak wy, pochodzenia Ziemsko-Słonecznego. Powiedziałem: „Poddaję w wątpliwość twoją szczerą.”

– Od kiedy trzeba się tłumaczyć ze szczerości cholernemu Taprisjotowi? – spytał jeden ze strażników. – Wydaje mi się...

– Nikt się ciebie nie pytał – przerwał mu Furuneo. Zaczepka ze strony Taprisjota była zwykle formą powitania. Czy ten dureń tego nie wiedział?

Furuneo oddzielił się od strażników i zajął pozycję przed ławą. – Chcę połączyć się z Sabotażystą Nadzwyczajnym Jorjem X. McKie. Wasza robosekretarka rozpoznała mnie, sprawdziła

moją tożsamość i przyjęła moją kartą kredytową. Czy jesteś naszym przekąźnikiem?

– Gdzie jest ten Jorj X. McKie?

– Gdybym wiedział, to sam bym do niego poszedł przez skokwłaz – powiedział Furuneo. – To jest ważna rozmowa. Czy jesteś naszym przekąźnikiem?

– Data, godzina i miejsce – odpowiedział Taprisjot.

Furuneo westchnął i odprężył się. Obejrzał się na strażników, ruchem głowy rozstawił ich na pozycjach przy obu drzwiach do gabinetu i poczekał aż wykonają rozkaz. Nie wolno dopuścić do podsłuchania tej rozmowy. Odwrócił się z powrotem do Taprisjota i podał mu współrzędne.

– Usiądź na podłodze – powiedział Taprisjot.

– Dzięki za to nieśmiertelnym – mruknął Furuneo. Kiedyś odbył rozmowę, przed którą Taprisjot powiódł go w ulewnym deszczu i świszczącym wietrze na zbocze górskie i kazał położyć się na ziemi, głową w dół, jako warunek otwarcia połączenia w nadprzestrzeni. Miało to coś do czynienia z „uszlachetnieniem zakotwienia”, cokolwiek miało to znaczyć. Złożył z tego wydarzenia sprawozdanie w centrum gromadzenia danych Biura, gdzie mieli nadzieję z czasem rozwiązać zagadkę Taprisjotów, ale wykonanie samej rozmowy kosztowało go kilka tygodni spędzonych w łóżku z zapaleniem górnych dróg oddechowych.

Furuneo usiadł.

Cholera! Podłoga była zimna.

Furuneo był wysokim mężczyzną, dwa metry bez butów, osiemdziesiąt cztery standardowe kilogramy. Miał czarne włosy, przyprószone siwizną nad uszami, gruby nos i szerokie usta z dziwnie prostą dolną wargą. Siadając starał się oszczędzać swoje lewe biodro. Pewien niezadowolony obywatel złamał mu je w czasie początków jego kariery w Biurze. Ta kontuzja sprzeciwiała się wszystkim lekarzom, którzy twierdzili, że „Jak tylko się zrośnie to zapomnisz o tym na zawsze.”

– Zamknąć oczy – zaskrzeczał Taprisjot. Furuneo usłuchał, spróbował usadowić się nieco wygodniej na zimnej, twardej podłodze, ale poddał się z rezygnacją.

– Myśleć o kontakcie – rozkazał Taprisjot.

Furuneo przywołał do pamięci obraz Jorja X. McKie – mały, gruby człowieczek, wściekłe, rude włosy, twarz jak u skwaszonej żaby.

Kontakt rozpoczął się od dotyku macek naglącej świadomości. Furuneowi zdawało się, że staje się czerwoną strugą płynącą w takt melodii srebrnej liry. Własne ciało stało mu się bardzo dalekie. Świadomość krążyła ponad dziwnym krajobrazem. Niebo było nieskończonym kołem, a jego horyzont obracał się wolno. Poczul gwiazdy tonące w samotności.

– Co, do tysiąca diabłów?!

Ta myśl wybuchnęła w całym ciele Furuneo. Nie dało się jej uniknąć. Od razu wiedział, o co chodzi. Kontaktowani przy pomocy Taprisjotów często czuli się dotknięci próbą kontaktu. Nie mogli go jednak uniknąć, niezależnie od tego, czym się w danej chwili zajmowali, ale mogli okazać przywołującemu swoje niezadowolenie.

– Jak zawsze nie w porę! Można na to liczyć.

McKie na pewno już został poderwany do pełnej świadomości przez swoją szyszynkę, rozbudzoną dalekosiężnym kontaktem.

Furuneo cierpliwie odczekał stek przekleństw. Kiedy już trochę zelżały, przedstawił się. – Przepraszam, że być może przeszkadzam – powiedział – ale maxi-alert nie sprecyzował gdzie cię można znaleźć. Musisz sobie zdawać sprawę, że nie zadzwoniłbym, gdybym nie miał czegoś ważnego.

Mniej więcej zwyczajowa formuła powitania.

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć, że masz coś ważnego? Przestań bełkotać i przejdź do rzeczy!

Nawet jak na stosunkowo wybuchowego McKie'ego, tak przedłużający się gniew nie był całkiem zwykły. – Czy przerwałem ci coś ważnego? – zaryzykował Furuneo.

– Ależ skąd! Stoję tylko przed telisądem, który udziela mi właśnie rozwodu! Czy możesz sobie wyobrazić jak świetnie wszyscy się bawią na mój widok, kiedy pomrukuję i postękuję do siebie w chichotransie? Przejdź do rzeczy!

– Poniżej Miasta Podziału, tu na Serdeczności, wymyło wczoraj w nocy na brzeg Kalebanski Arbuz – powiedział Furuneo. – W świetle wszystkich wypadków śmierci i utraty zmysłów oraz wiadomości maxi-alertu z Biura, myślałem, że powinienem do ciebie zadzwonić natychmiast. Dalej się tym zajmujesz, tak?

– Czy to ma być kawał?

Zamiast biurokracji. Furuneo ostrzegł sam siebie, mając na myśli maksymę Biura. Ta myśl przeznaczona była dla niego samego, ale McKie bez wątpienia złapał towarzyszący jej nastrój.

– No więc? – zapytał McKie.

Czy McKie naumyślnie starał się wyprowadzić go z równowagi? Furuneo nie był o tym przekonany. W jaki sposób słowna funkcja Biura, którą było hamowanie procesu rządzenia, mogła być stosowana w wewnętrznej sprawie, takiej jak ta rozmowa? Agenci byli zobowiązani do podsycania złości w rządzie, ponieważ to odsłania osobników niezrównoważonych, wybuchowych, tych którym brakuje umiejętności panowania nad sobą i zdolności racjonalnego myślenia w stanach stresu psychicznego, ale po co stosować ten zawodowy obowiązek w stosunku do współpracownika?

Niektóre z tych myśli widocznie przedostały się przez przekąznika Taprisjota, bo McKie odpowiedział! na nie, warknąwszy w kierunku Furunea:

– Lepiej na tym wyjdiesz jak nie będziesz tyle myślał.

Furuneo wzdrygnął się, odnalazł świadomość siebie samego. Aaah, niewiele brakowało. Mało co nie stracił osobowości! Tylko ostrzeżenie ukryte w słowach McKie'ego zwróciło mu uwagę na niebezpieczeństwo i pozwoliło na reakcję. Furuneo zaczął zastanawiać się nad postawą McKie'ego. Sam fakt przerywania postępowania rozwodowego nie był wystarczającym usprawiedliwieniem. Jeżeli to, co mówili było prawdą, to ten mały, paskudny agent był żonaty z pięćdziesiąt razy.

– Czy dalej interesuje cię Arbuz? – zaryzykował.

– Czy jest w nim Kaleban?

– Prawdopodobnie.

– Nie sprawdziłeś? – McKie powiedział to tonem przywodzącym na myśl, że Furuneowi zaufano w najbardziej ważkiej operacji, a on zawałił z powodu wrodzonej głupoty.

– Postąpiłem według rozkazów – Furuneo zdał sobie teraz sprawę z jakiegoś niewypowiedzianego niebezpieczeństwa.

– Według rozkazów – warknął McKie.

– Chcesz mnie rozzłościć, czy co?

– Będę tam jak tylko uda mi się dostać transport. Nie później niż za osiem standardowych godzin. A w międzyczasie twoje rozkop to trzymać Arbuz pod stałą obserwacją. Obserwatorzy muszą być naszpikowani rozzłaszczaczem. To dla nich jedyne zabezpieczenie.

– Pod stałą obserwacją – powtórzył Furuneo.

– Jeżeli Kaleban się pokaże, masz go zatrzymać przy „życiu jakichkolwiek środków.

– Kaleban... zatrzymać go?

– Zajmij go rozmową, poproś o współpracę, wymyśl coś – ton McKie'ego sugerował, że agent

Biura Sabotażu nie powinien musieć pytać się., jak podstawić komuś nogę, by utrudnić mu działanie.

– Za osiem godzin – powiedział Furuneo.

– I nie zapomnij o rozżłaszczaczu.

*Biuro jest formą tycia, a Biurokrata jedną z jej komórek. Ta analogia uczy nas, które komórki są najważniejsze, które najbardziej zagrożone, które najłatwiejsze do zastąpienia i jak łatwo jest być przeciętnym.*

## **Późne Dzieła Bildoona IV**

McKie, na planecie nowożeńców Całomórz, potrzebował jeszcze godziny na zakończenie rozvodu, po czym wrócił do pływo-domu, który zakotwiczyli obok wyspy kwiatów miłości. Pomyślał, że zawiódł się nawet na lubczyku z Całomórza. To małżeństwo było zupełną stratą czasu i energii. Jego była wcale nie wiedziała tak dużo na temat Mliss Abnethe, mimo że podobno kiedyś się trzymały blisko. Ale to było na innym świecie.

Ta żona miała pięćdziesiąt cztery lata, trochę jaśniejszą skórę niż jej wszystkie poprzedniczki i była niezłą jędzą. Nie było to jej pierwsze małżeństwo i dość wcześnie obudziły się w niej podejrzenia odnośnie prawdziwych motywów McKie'ego.

Refleksje obudziły w McKie'el'm poczucie winy. Z wściekłością odrzucił te uczucia. Nie było teraz czasu na subtelności. Gra toczyła się o zbyt wiele. Głupia baba!

Wyprowadziła się już z pływo-domu i McKie wyczuwał niechęć jaką on sam budził w tej żyjącej istocie. Przerwał idyllę, którą plywo-dom został nauczony stwarzać. Po jego odjeździe plywo-dom stanie się znowu przyjacielski. To bardzo łagodne stworzenia, wrażliwe na irytację istot rozumnych.

McKie spakował się, odkładając swój narzędziownik na bok. Sprawdził jego zawartość: zestaw środków pobudzających, plastikowe wytrychy, zestaw środków wybuchowych o najrozmaitszej mocy, miotacze promieni, pistolet ogłuszający, multigogle, forsowniki, kawał jednociąła, minikomputer, Taprisjotowy monitor życia, nienaświetlone ładunki holo-grafowe, przerywalniki, porównywalniki... wszystko było w porządku. Narzędziownik miał kształt portfela, który świetnie pasował do wewnętrznej kieszeni niczym nie wyróżniającej się marynarki.

Spakował do torby kilka zmian ubrania, resztę swojego dobytku przeznaczył do przechowalni BuSabu i zostawił w szczelnopaku, który położył na dwóch krześlakach. Wydawało się, że dzielą one niechęć, którą żywił do niego pływo-dom. Nie poruszyły się, nawet gdy pogłaskał je przyjaźnie. No, trudno...

Nadal miał poczucie winy.

Westchnął i wyjął swój klucz do G'oka. Ten skok będzie kosztował Biuro megakredyty. Serdeczność jest po drugiej stronie wszechświata.

Skokwłazy wydawały się dalej działać, ale McKie'ego lekko niepokoiło, że musi podróżować środkiem transportu zależnym od Kalebanów. Trochę przerażająca sytuacja. G'oczy stały się przedmiotem użytku codziennego do tego stopnia, że większość istot rozumnych przyjmowała je bez zastrzeżeń. McKie akceptował je tak samo, aż do chwili ogłoszenia maxi-alertu. Teraz zastanawiał się sam nad sobą. Taka bezkrytyczna akceptacja dowodziła jak łatwo wygodą może wziąć górę nad rozsądkiem. To wspólna słabość wszystkich istot rozumnych. Kalebaiskie skokwłazy były w pełni przyjęte przez Konfederację Ras Rozumnych od jakichś dziewięćdziesięciu standardowych lat. Ale przez cały ten czas stwierdzono obecność jedynie osiemdziesięciu trzech Kalebanów.

McKie podrzucił klucz i z ręcznie złapał go do ręki.



Czemu Kalebany odmówiły Konfederacji daru swojego skokwłazu zanim wszyscy nie zgodzili się nazywać go G'okiem? Co może być takiego ważnego w samej nazwie?

Powiniennem ruszać, pomyślał. Jednak dalej zwlekał.

Osiemdziesięciu trzech Kalebanów.

Treść maxi-alertu była niedwuznaczna: rozkaz zachowania ścisłej tajemnicy i podstawowa charakterystyka problemu – znikanie Kalebanów jednego po drugim. Znikanie – jeżeli tak w ogóle można określić ten przejaw ich nieobecności. A z każdym zniknięciem wiązała się fala masowych zgonów i utraty zmysłów wśród istot rozumnych.

Nie miał wątpliwości, czemu ten problem zrzucano na BuSab, a nie na jeden z wydziałów policji. Rząd centralny bronił się jak mógł. Będący u władzy chcieli zdyskredytować BuSab. McKie miał w tym wszystkim swoje własne powody do zmartwienia, zastanawiając się nad ukrytym znaczeniem tego, czemu to właśnie jego wybrano do zajęcia się całym tym problemem.

Kto ma coś przeciwko mnie? – zastanawiał się używając swojego prywatnego, specjalnie dostrojonego klucza, do uruchomienia skokwłazu. Odpowiedź na to pytanie była prosta. Wielu ludzi. Miliony ludzi.

Skokwłaz zaczął wydawać niski szum obecnych w nim przerażająco potężnych energii. Tunel wirstudni otworzył się z trzaskiem. McKie zacisnął zęby w oczekiwaniu na gęstą lepkość otworu wjazdu i wkroczył do tunelu. Miał wrażenie jakby pływał w powietrzu o konsystencji miodu – pozornie najnormalniejszym powietrzu. Ale jak miód.

McKie znalazł się w raczej dość przeciętnie urządzonej biurze; najzwyczajsze, nudne obrotobiurko, kaskada strumieni światła sygnalizujących alert spływająca z sufitu, jedna przezroczysta ściana z widokiem na zbocze górskie. Dachy Miasta Podziału leżały w oddali pod matowoszarymi chmurami, dalej jeszcze widoczne było połyskliwe srebro oceanu. Według zegara mózgowego, który McKie miał wszczepiony do głowy, było późne popołudnie, osiemnasta godzina dwudziestosześciodziesięciodziesiątego dnia. To była Serdeczność, świat oddalony o 200 tysięcy lat świetlnych od planety-oceanu Całomórz.

Tuba wirtunelu skokwłazu zatrzasnęła się za nim z hukiem podobnym do wyładowania elektrycznego. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach ozonu.

Znajdujące się w pokoju krzesłaki, model podstawowy, były dobrze nauczone dogadzać swoim panom. Jeden z nich uporczywie szturczał go pod kolanami, dopóki McKie nie odłożył torby i ociągając się usiadł. Krzesłak począł masować mu plecy. Z pewnością kazano mu zająć się McKie'im zanim ktoś nie przyjdzie.

McKie wsłuchał się w ciche dźwięki otaczającej go normalności. Gdzieś w jakimś korytarzu zabrzmiały kroki istoty rozumnej. Sądząc po odgłosie, był to jakiś Wreave – zdradzał go ten szczególnie sposób pociągania piętą słabszej nogi. Skądś dochodził odgłos rozmowy, McKie złapał kilka słów w galaktyku, ale rozmowa zdawała się być prowadzona w różnych językach.

Niecierpliwy, wiercił się, na siedzeniu, a to z kolei wywołało u próbującego uspokoić go krzesłaka serię falujących ruchów. Ta przymusowa bezczynność już go męczyła. Gdzie się podziewał Furuneo? McKie przywołał się do porządku. Furuneo z pewnością miał wiele obowiązków na tej planecie, był tu przecież głównym agentem BuSabu. Poza tym nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo naglący był ich obecny problem. To mogła też być jedna z planet, na których BuSab nie miał zbyt wielu pracowników. A nawet bogowie wiedzieli, że w BuSapie nikt nie cierpiał na brak pracy.

McKie zaczął zastanawiać się nad swoją rolą w sprawach wszechświata. Kiedyś, przed wiekami, grupa istot rozumnych z psychologiczną potrzebą „czynienia dobra” przejęła rządy. Nie

zdając sobie sprawy ze znajdujących się pod podszewką splątanych zawilosci, pogmatwanego poczucia winy i chęci samoumartwienia, wyeliminowano z rządu praktycznie cały bezwład, powolność, utrudnienia i biurokrację. Wielka maszyna władzy nad całą społecznością rozumnych wrzuciła najwyższy bieg. w zawrotnym tempie nabierając szybkości. Ustawy projektowano i wprowadzano w życie w ciągu godziny od powstania samego ich pomysłu. Na projekty rządowe przydzielano pieniądze w mgnieniu oka i wydawano je w ciągu dwóch tygodni. Nowe biura o najbardziej nieprawdopodobnych zadaniach wyrastały jak grzyby po deszczu i rozprzestrzeniały się jak jakaś oszaląła pleśń.

Rząd stał się potężnym, niszczącym kołem bez kierowcy, pędzącym naprzód z tak szaloną prędkością, że szerzyło wokół siebie tylko istny chaos.

W desperackim porywie, próbując zwolnić to szalone koło, garstka istot rozumnych stworzyła Korpus Sabotażu. Nie obyło się bez przelewu krwi i innych zamieszek, ale w końcu koło zostało przyhamowane. Z czasem Korpus przemienił się w Biuro, takie jakim było ono dzisiaj – organizacją podążającą własnymi korytarzami entropii, grupą rozumnych, którzy przedkładają subtelną dywersję nad przemoc... chociaż i przemoc w razie potrzeby się nie boją.

Przesuwane drzwi po prawej McKie'ego odsunęły się z szelestem. Jego krześlak zastygł w bezruchu. Do pokoju wszedł Furuneo, odgarniając ręką pasmo siwych włosów znad ucha. Jego szerokie, trochę skwaszone usta tworzyły prostą kreskę w poprzek twarzy.

– Jesteś wcześniej niż mówiłeś – powiedział, klepieniem dłoni nakłaniając krześlaka do zajęcia pozycji naprzeciw McKie'ego i siadając wygodnie.

– Czy tu jest bezpiecznie? – spytał McKie. Spojrzał w kierunku ściany, z której wyrzuciło go G'oko. Włazu już nie było.

– Wycofałem właz przez tubę o piętro niżej – powiedział Furuneo. – Jesteśmy tu na tyle sami, na ile się tylko da. – Usiadł, czekając aż McKie zacznie mówić.

– Arbuz dalej tam jest? – McKie skinął w kierunku przezroczystej ściany i widocznego w oddali morza.

– Moi ludzie mają rozkaz poinformować mnie jak tylko się ruszy – odpowiedział Furuneo. – Wymyło go na brzeg tak jak powiedziałem, wrósł w skałki i od tej pory ani drgnął.

– Wrósł?

– Na to wygląda.

– Widać coś w środku?

– Myśmy niczego nie widzieli. Arbuz wydaje się być trochę... potłuczony. Są na nim takie jakby wyrwy i kilka zewnętrznych rys. O co tu właściwie chodzi?

– Pewnie wiesz, kto to Mliss Abnethe?

– A kto nie wie?

– Ostatnio wydała kilka swoich kwantylionów na zatrudnienie Kalebana.

– Zatrudnienie... – Furuneo potrząsnął głową. – Nie wiedziałem, że to jest możliwe.

– Nikt nie wiedział.

– Czytałem maxi-alert – powiedział Furuneo. – Nic tam nie było o powiązaniach Abnethe z całą tą sprawą.

– Ma lekkie ciągotki do znęcania się nad innymi, jak wiesz – powiedział McKie. i

– Myślałem, że już ją z tego wyleczyli.

– Tak, ale to nie zlikwidowało korzeni jej zamięłowania. Po prostu tak ją przerobili, że nie może znieść widoku cierpienia istoty rozumnej.

– Więc?

– Wymyśliła sobie oczywiście, żeby zatrudnić Kalebana.

– Jako ofiarę! – zawołał Furuneo. McKie zrozumiał, że Furuneo zaczyna łapać o co chodzi. Ktoś kiedyś powiedział, że kłopot z Kalebanami jest w tym, że nie pasują do żadnych rozpoznawalnych modeli. Oczywiście taka była prawda. Jeżeli można wyobrazić sobie realną istotę, której obecności nie da się zaprzeczyć, ale przyprawiającą wszystkie zmysły o drgawki za każdym razem kiedy spróbowało się na nią spojrzeć – to można sobie wyobrazić Kalebana.

„Oni są zasłoniętymi oknami otwierającymi się na wieczność”, jak to powiedział poeta Masarard.

W pierwszych dniach Kalebanów McKie chodził na każdy wykład i prelekcję urządzone w Biurze na ich temat. Usiłował sobie teraz przypomnieć jeden z tych wykładów, popędzany uporczywym przekonaniem, że było w nim coś ważnego ze względu na obecną sytuację. Było to coś o „trudnościach w porozumiewaniu się o charakterze upośledzenia”. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć całości. Dziwne, pomyślał. Wydawało się, jakby rozkruszony obraz Kalebanów miał podobny wpływ na pamięć istot rozumnych, jak ich widok na zmysł wzroku.

I w tym leżało prawdziwe źródło tego, że wszyscy czuli się tak nieswojo w obecności Kalebanów. Ich wyroby były prawdziwe – skokwłazy G’oka, Arbuzy, w których podobno mieszkali – ale nikt nigdy tak naprawdę nie widział Kalebana. Furuneo, spoglądając na małego, grubego agenta-chochlika pogrążonego w myślach, przypominał sobie, że o McKie’im mówiono złośliwie, że zaczął pracować w BuSapie na dzień zanim się urodził.

– Przyjęła sobie chłopca do bicia, co? – spytał Furuneo.

– Na to wygląda.

– W maxi-alercie było o zgonach, utracie zmysłów...

– Czy wszyscy twoi ludzie brali rozżłaszczacz?

– Nie jestem głupi, McKie.

– Dobrze. Złość wydaje się stanowić pewną ochronę.

– Co tu jest grane?

– Kalebany... znikają – powiedział McKie. – Za każdym razem kiedy jeden z nich zniknie, towarzyszy temu masowa umieralność i... inne nieprzyjemne efekty – upośledzenia fizyczne i umysłowe, utrata zmysłów...

Furuneo skinął głową w kierunku morza, pytając bez słów.

McKie wzruszył ramionami. – Będzie trzeba się rozejrzeć. Cholerna sprawa, najdziwniejsze, że aż do twojego telefonu wydawało się, że na całym świecie został już tylko jeden Kaleban, ten którego zatrudniła Abnethe.

– Masz jakiś plan?

– Cudowne pytanie – powiedział McKie.

– Kaleban Abnethe. Miał coś do powiedzenia na ten temat? – spytał Furuneo.

– Nie udało się go przesłuchać – odpowiedział McKie. – Nie wiemy, gdzie ona się ukrywa. Ani gdzie jego ukrywa.

– Nie wiem sam... – Furuneo mrugnął. – Serdeczność to straszna dziura.

– Też tak mi się wydawało. Mówisz, że ten Arbuz jest trochę poobijany?

– Dziwne, nie?

– Jeszcze jedna dziwna rzecz wśród wielu innych.

– Podobno Kalebany nigdy nie oddalają się od swoich Arbuzów – powiedział Furuneo. – I zawsze lubią je parkować koło wody.

– Jak zdecydowanie próbowałeś się z nim skontaktować?

– Jak zwykle. Skąd wiesz, że Abnethe zatrudniła Kalebana?

– Pochwaliła się przyjaciółce, która pochwaliła się przyjaciółce, która... I jeden Kaleban dał cynk zanim zniknął.

– Pewny jesteś, że te zniknięcia są związane z całą resztą sprawy?

– Chodźmy zapukać do drzwi temu nad morzem, to może się dowiemy – powiedział McKie.

*Język jest rodzajem kodu uzależnionego od rytmu życia rasy, która go stworzyła. Zanim zrozumie się ten rytm, język pozostaje w większości niezrozumiały.*

## **Instrukcja BuSabu**

Ostatnia żona McKie'ego wcześniej zaczęła się odnosić z niechęcią do BuSabu. „Oni cię wykorzystują”, mówiła.

Kontemplował to przez chwilę, zastanawiając się, czy to wialnie dlatego tak łatwo przychodziło mu wykorzystywanie innych. Oczywiście ona miała rację.

Jej słowa przypomniały mu się w pojeździe naziemnym, którym razem z Furuneo pędził w kierunku wybrzeża. Przyszło mu do głowy pytanie „A jak mnie teraz wykorzystują?” Nawet odrzucając alternatywę, że został wybrany na ofiarę, w rezerwie pozostawało jeszcze wiele innych możliwości. Czy potrzebne im było jego przygotowanie prawnicze? A może zainteresowało ich jego niecodzienne podejście do stosunków międzygatunkowych? Z pewnością kierowali się nadzieją na jakiś oficjalny sabotaż – ale jaki? Czemu przekazano mu tak fragmentaryczne instrukcje?

„Odszukać i skontaktować ślą z Kalebanem zatrudnionym przez Panią Mliss Abuethe, lub odszukać jakiegokolwiek innego Kalebana, z którym da się nawiązać kontakt, i podjąć odpowiednie działania „.

Odpowiednie działania? McKie potrząsnął głową.

– Czemu to właśnie tobie dali ten występ? – zapytał Furuneo.

– Wiedzą jak mnie wykorzystywać – odpowiedział McKie.

Pojazd, prowadzony przez strażnika, pokonał ostry zakręt i otworzył się przed nimi szeroki widok skalistego wybrzeża. W oddali coś błyszczało wśród urwisk z czarnej lawy i McKie zwrócił uwagę na dwa pojazdy powietrzne unoszące się nad skałami.

– To tu? – zapytał.

– Tak.

– Która tu godzina?

– Jakies dwie i pół godziny przed zachodem – odpowiedział! Furuneo, prawidłowo odgadując o co martwił się McKie. – Czy rozłasczacz nam pomoże, jeżeli w tym interesie jest Kaleban, który zdecyduje się... zniknąć?

– Szczerze mam taką nadzieję – powiedział McKie. – Czemuśmy tu nie przylecieli?

– Tu na Serdeczności wszyscy wiedzą, że podróżuję pojazdami naziemnymi, chyba że występuję oficjalnie i muszę działać szybko.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nikt jeszcze nic nie wie?

– Tylko straż wybrzeża na tym odcinku, a oni mi podlegają.

– Masz tu bardzo sprawną organizację. Nie boisz się, że staniesz się zbyt wydajny?

– Robię co mogę – Furuneo dotknął ramienia kierowcy.

Pojazd zatrzymał się na małym parkingu, z którego było widać grupę skalistych wysepek i niską półkę z lawy, na której zatrzymał się Kalebariski Arbuz.

– Wiesz, zastanawiam się, czy my tak naprawdę wiemy co to takiego te Arbuzy?

– To domy – stęknął McKie.

– Tak mówią.

Furuneo wysiadł. Zimny wiatr przeszył bólem jego obolałe biodro. – Stąd idziemy na nogach – powiedział.

Po drodze wąską ścieżką w dół, do półki z lawy, McKie był wdzięczy, że miał zainstalowaną pod skórą siatkę przeciążeniową. Gdyby się obsunął, zwolniłaby ona prędkość upadku na tyle, by nie odnieść większych obrażeń. Ale nie mógłby uniknąć poturbowania przez fale bijące w podnóże skalistego urwiska. I nie chroniła go ona ani przed zimnym wiatrem, ani przed niesionymi przez niego bryzgami wody.

Żałował, że nie włożył kombinezonu termicznego.

– Jest zimniej niż myślałem – powiedział Furuneo, kuśtykając na półkę z lawy. Pomachał do unoszących się w powietrzu pojazdów. Jeden z nich zakołysał skrzydłami, nadal krążąc w wolnych łukach ponad Arbuzem.

Furuneo ruszył w poprzek półki i McKie poszedł w jego ślady. Przeskoczył przez małe rozlewisko, zamrugał i pochylił głowę przed niosącym krople wody szkwałem. Fale z hukiem waliły o skalisty brzeg. Aby się porozumieć, musieli krzyczeć.

– Widzisz? – zawołał Furuneo. – Wygląda na trochę poobijanego.

– Podobno one są niezniszczalne – powiedział McKie.

Arbuz miał około sześciu metrów średnicy. Siedział pewnie na półce jakiegoś pół metra jego dolnej powierzchni było schowane w zagłębieniu skalnym, tak jakby wytopił sobie w skale gniazdo.

McKie poprowadził na zawietrzną stronę Arbuza, wyprzedzając Furunea na kilku ostatnich metrach. Zatrzymał się tam, wstrząsany dreszczem, z rękoma w kieszeniach. Okrągła powierzchnia Arbuza nie osłaniała od zimnego wiatru.

– Jest większy niż się spodziewałem – powiedział gdy Furuneo do niego doszedł.

– Pierwszy raz widzisz takiego z bliska?

– Tak.

McKie przyjrzał się Arbuzowi dokładniej. Jego nieprzejrzysta, metaliczna powierzchnia oznaczona była wyrostami i zagłębieniami. Wydawało mu się, że są ułożone według jakiegoś porządku. Czujniki? A może jakieś urządzenia kontrolne? Bezpośrednio przed nim znajdowało się coś, co wyglądało jak pęknięcie, może od jakiejś kolizji. Było jakby wewnątrz ściany Arbuza, przesuając po nim dłońią McKie wyczuwał tylko gładką powierzchnię.

– Co będzie, jeżeli oni się mylą na temat tych rzeczy? – spytał Furuneo.

– Co?

– No, jeżeli to wcale nie domy Kalebanów?

– Nie wiem. Pamiętasz instrukcje?

– Trzeba znaleźć „sutkowaty wyrostek” i zapukać w niego. Tego już próbowaliśmy. Taki wyrostek jest kawałek na lewo stąd.

McKie, zalewany bryzgami niesionej przez wiatr wody, ostrożnie przesunął się wokół Arbuza na lewo. Sięgnął do wskazanego mu przez Furunea wyrostka i zapukał.

Żadnej reakcji.

– Na każdym wykładzie, na którym byłem, mówili, że tu gdzieś są jakieś drzwi – mruknął McKie.

– Ale nie mówili, że drzwi się otwierają za każdym razem kiedy się zastuka – powiedział Furuneo.

McKie posuwał się dalej wokół Arbuza, znalazł następny sutkowaty wyrostek, zastukał.

Nic.

– Tego też próbowaliśmy – powiedział Furuneo.

– Czuję się jak skończony idiota – odparł McKie.

– Może nikogo nie ma w domu.

– Zdalne sterowanie? – spytał McKie.

– Albo ten Arbuz jest porzucony – wrak.

– A to co? – McKie wskazał na cienką, zieloną linię, długości mniej więcej metra, znaczącą nawietrzną stronę Arbuza.

– Chyba tego przedtem nie zauważyłem.

– Dobrze by było wiedzieć coś więcej o tych cholernych Arbuzach – mruknął McKie.

– Może za cicho pukamy – powiedział Furuneo.

McKie wyduł wargi, zamyślony. Wyciągnął swój narzędziownik, wyjął z niego kawałek słabego materiału wybuchowego.

– Wracaj na drugą stronę – powiedział.

– Pewny jesteś, że to dobry pomysł? – spytał Furuneo.

– Nie.

– W porządku – Furuneo wzruszył ramionami i wycofał się na przeciwną stronę Arbuza.

McKie umocował materiał wybuchowy wzdłuż zielonej linii na Arbuzie, przytwierdził zapalnik z opóźniaczem i dołączył do Furunea.

Po chwili dotarło do nich cłuche tąpnięcie, prawie zagłuszone przez huk fal uderzających o skały.

Nagła wewnętrzna cisza zmroziła krew w żyłach McKie'ego. Pomyślał „A co jeśli ten Kaleban się wścieknie i porazi nas czymś, o czym jeszcze nikt nawet nie słyszą?!” Popędził na drugą stronę Arbuza.

Nad zieloną linią pojawił się owalny otwór, tak jakby jakaś zatyczka została wessana do wewnątrz.

– Chyba nacisnąłeś na właściwy guzik – powiedział Furuneo.

McKie pokonał nagły przyływ irytacji. Wiedział, że to przede wszystkim skutek rozłazszczacza.

– No – powiedział. – Podsadź mnie. – Zauważył, że Furuneo kontrolował swoje reakcje prawie z perfekcją, mimo zażycia tego samego środka.

Z pomocą Furunea McKie wspiał się do otwartego luku, spojrzał do środka. Przywitało go mętnofioletowe światło i wrażenie jakiegoś ruchu w ciemnej głębi.

– Widzisz coś? – zawołał Furuneo.

– Nie wiem – McKie wdrapał się do środka, zeskoczył na pokrytą wykładziną podłogę. Przykucnął i zaczął się rozglądać w fioletowym półmroku. Zęby szczękały mu z zimna. Pomieszczenie, w którym się znajdował, najwyraźniej zajmowało całe wnętrze Arbuza – niski sufit, migająca tęcza na wewnętrznej powierzchni po lewej, wielki łyżkowaty kształt wystający ze ściany bezpośrednio vis a vis otwartego luku, małe dźwignie, rączki i gałki na ścianie po prawej.

Wrażenie ruchu pochodziło z zagłębienia łyżki.

Nagle McKie zdał sobie sprawę, że znajduje się w obecności Kalebana.

– Co tam widzisz? – zawołał Furuneo. Nie spuszczając wzroku z łyżki, McKie lekko odwrócił głowę. – Tu jest Kaleban.

– Mam do ciebie wejść?

– Nie, Zawiadom swoich ludzi i czekaj.

– W porządku.

McKie zwrócił całą swoją uwagę w kierunku zagłębienia w łyżce. Zaschło mu w gardle. Nigdy jeszcze nie był sam na sam z Kalebanem. Była to sytuacja zazwyczaj zarezerwowana dla naukowców uzbrojonych w ezoteryczne instrumenty.

– Nazywam się... ach, Jorj X. McKie, z Biura Sabotażu – powiedział.

W łyżce coś się poruszyło, wrażenie promieniującego znaczenia przyszło momentalnie po tym ruchu:

– Zapoznaję się z tobą.

McKie'emu przypomniała się poetycka treść Rozmów z Kalebanem Masararda.

„Kto wie jak Kalebany mówią” – napisał Masarard. „Ich słowa przychodzą do ciebie jak koruskady dziewięciopasmowej laski Sojewów. Jak niewrażliwie te słowa promieniają! Twierdzą, że Kaleban mówi. Gdy słowa są wysłane, czyż nie jest to mowa? Wyślij mi swoje słowa, Kalebanie, a ja będę głosić twoją mądrość w całym wszechświecie”.

Doświadczwszy słów Kalebana. McKie zdecydował, że Masarard był pretensjonalnym osłem. Kaleban promieniował. Jego słowa odbierane były przez mózg jako dźwięk, ale uszy niczego nie słyszały. Było to trochę podobne do tego, jak na Kalebanów reagowały ludzkie oczy. Wydawało ci się, że coś widzisz, ale twoje oczy niczego nie widziały.

– Mam nadzieję, że moja... ach, że ci nie sprawiłem kłopotu – powiedział McKie.

– Nie posiadam żadnego odnośnika do kłopotu – powiedział Kaleban. – Przyprowadziłeś towarzysza?

– Mój towarzysz jest na zewnątrz – odparł McKie. Żadnego odnośnika do kłopotu?

– Zaproś swojego towarzysza – powiedział Kaleban. McKie zawahał się przez chwilę.

– Furuneo! Chodź tu, do środka!

Planetarny szef Biura dołączył do McKie'ego i kucnął po jego lewej stronie, w purpurowej ciemności. – Cholera, ale tam zimno – powiedział.

– Niska temperatura i znaczna wilgotność – zgodził się Kaleban. McKie, od chwili kiedy spojrzał na wchodzącego Furunea nadal zagapiony na wejście, dostrzegł klapę wysuwającą się ze ściany obok otworu. Wiatr, bryzgi wody i huk wiatru nagle ucichły.

Temperatura wewnątrz Arbuza zaczęła się podnosić.

– Zaraz będzie gorąco – zauważył McKie.

– Co?

– Gorąco. Pamiętasz wykłady? Kalebany lubią powietrze gorące i suche – zaczynał już czuć jak mokre ubranie Przylega mu do pocącej się skóry.

– A rzeczywiście – powiedział Funraeo. – To co się tu dzieje?

– Zostaliśmy zaproszeni do środka – odpowiedział McKie. – Nie sprawiliśmy mu kłopotu, bo nie posiada odnośnika do kłopotu – odwrócił się z powrotem w kierunku łyżkowatego kształtu.

– Gdzie on jest?

– W tym czymś łyżkowatym.

– Tak... chyba, ech – tak.

– Możecie zwracać się do mnie Frania – powiedział Kaleban. – Mogę rozmnażać moją rasę i odpowiadam ekwiwalentowi rodzaju żeńskiego.

– Frania – powiedzą! McKie, zdając sobie sprawę jak bezmyślnie i głupio musiało to zabrzmieć. Jak się patrzeć na tę cholerną rzecz? Gdzie to-to ma twarz? – Mój towarzysz nazywa się Alichino Furuneo i jest planetarnym szefem Biura Sabotażu na Serdeczności. – Frania? Niech mnie szlag (rafi)

– Zapoznając się z tobą – powiedział Kaleban. – Pozwólcie na zapytanie o cel waszej wizyty.

Furuneo podrapał się w prawe ucho. – Jak my to słyszymy? – potrząsnął głową. – Wszystko rozumiem, ale...

– Tym się teraz nie martw! – powiedział McKie. Spokojnie, ostrzegł samego siebie, jak to-to przesłuchiwać? Niematerialna obecność Kalebana, jego wykręcający mu mózg sposób mówienia – to wszystko, połączone z działaniem rozzłaszczacza, zaczynało go już denerwować,

– Ja... mmm, moje rozkazy... – powiedział. – Szukam Kalebana zatrudnionego przez Mliss Abnethe.

– Odbieram twoje pytania – powiedział Kaleban.

Odbiera moje pytania?

McKie spróbował kręcić głową w te i w te, zastanawiając się jak znaleźć taki kąt widzenia aby to coś naprzeciwko niego przybrało jakieś rozpoznawalne kształty,

– Co robisz – spytał Furuneo.

– Próbuję go zobaczyć.

– Pożądasz widocznej substancji? – spytał Kaleban.

– Eee... chyba tak – odpowiedział McKie.

Frania? pomyślał. To tak jakby w pierwszym kontakcie z planetami Gowachin pierwszy człowiek z Ziemi spotkał pierwszego żabowatego Gowachina, a ten by się przedstawił jako Józek. Gdzież, do stu tysięcy diabłów, ten Kaleban wygrzebał takie imię? I dlaczego?

– Stwarzam lustro – powiedział Kaleban – które odbija na zewnątrz od wyobrażenia, wzdłuż płaszczyzny istnienia.

– Czy zobaczymy go? – szepnął Furuneo. – Nikt jeszcze nigdy nie widział Kalebana.

– Ćććć.

Nad olbrzymią łyżką pojawił się pozornie niczym nie związany z pustą obecnością Kalebana półmetrowy owal czegoś zielononiebieskoróżowego.

– Uważajcie to za scenę, na której prezentuję moją osobowość – powiedział Kaleban,

– Widzisz coś? – spytał Furuneo,

Ośrodki wzrokowe McKie'ego odbierały coś jakby pograniczne wrażenia, odczucie odległego życia, którego rytm płażał bezcieleśnie w kolorowym owalu, jak morze szumiące w pustej muszli. Przypomniawszy sobie znajomego o jednym oku i trudność, jaką sprawiało patrzenie się w to samotne oko, podczas kiedy wzrok przyciągała opaska na miejscu po drugim. Czemu ten idiota nie mógł sobie sprawić nowego oka? Czemu Ten idiota...

Przełknął ślinę.

– Nigdy w życiu jeszcze czegoś tak dziwnego nie widziałem – szepnął Furuneo. – Też to widzisz?

McKie opisał to, co wydawało mu się, że widzi. – Widzisz coś podobnego?

– Chyba tak.

– Próba wzrokowa nieudana – powiedział Kaleban – może stosuję niewystarczający kontrast.

Zastanawiając się czy się nie myli, McKie pomyślał, że wyczuwa nutę żalu w słowach Kalebana. Czyżby było możliwe, aby Kalebany martwiło, że się ich nie widzi?

– Jest bardzo dobrze – powiedział. – Czy możemy teraz porozmawiać o Kalebanie, którego...

– Być może przeoczenie nie może być połączone – Przerwa! mu Kaleban. – Znajdujemy się w stanie, którego poprawa staje się niemożliwa. „Równie dobrze można kłócić się z nocą”, jak mawiają wasi poeci.

Wrażenie ogromnego westchnienia wiejące od Kalebana oblało McKie'ego. Był w nim smutek,



bezgraniczne przygnębienie. Przyszło mu do głowy, że to depresja wywołana przedawkowaniem rozłuszczacza. Siła tego uczucia niosła w sobie terror.

– Poczujesz to? – spytał Furuneo.

-Tak.

McKie'ego zaczęły palić oczy. Zamrugał. Pomiędzy mrugnięciami zobaczył w przelocie unoszący się wewnątrz owalu kształt kwiatu – głęboko czerwony na fioletowym tle oświetlonej za nim ściany, przepleciony czarnymi żyłkami. Powoli zakwitał, zamykał się, znowu zakwitał. Chciał do niego sięgnąć, dotknąć go z odrobiną współczucia.

– Jakie to piękne – wyszeptał.

– Co to jest – odszepnął Furuneo.

– Chyba widzimy Kalebana.

– Chce mi się płakać – powiedział Furuneo.

– Weź się w garść – ostrzegł go McKie. Chrząknął, by przeczyścić sobie gardło. Szarpały nim emocje, jak kawałki zrważących się strun. Były one jakby drobinami pochodzącymi z jednej całości, rozrzuconymi by odnalazły swoje własne , kształty i formę. Wpływ rozłuszczacza rozwiął się w tej mieszance.

Obraz w owalu począł bardzo powoli znikać. Fale emocji opadły.

– Fiuuu – odetchnął Furuneo.

– Franiu – zaryzykował McKie – Co to...

– To ja jestem zatrudniona przez Mliss Abnethe – powiedział Kaleban. Poprawne zastosowanie czasownika?

– A to strzał! – powiedział Furuneo. – Prosto z mostu.

McKie spojrział na niego, potem na miejsce, przez które weszli do wewnątrz Arbuza. Po owalnym otworze nie pozostał żaden ślad. Gorąco w pomieszczeniu stawało się nie do zniesienia. Poprawne zastosowanie czasownika? Spojrział w kierunku wywołanej przez Kalebana wizji. Coś tam jeszcze błyszczało nad łyżką, ale jego ośrodki wzrokowe nie były w stanie tego opisać.

– Czy on się nas o coś pytał – spytał Furuneo.

– Zaczekaj – warknął McKie. – Muszę się nad czymś zastanowić.

Mijały sekundy. Furuneo czuł ściekające mu po szyi i pod kołnierzyk strużki potu. Czuł jego smak w kącikach ust.

McKie bez słowa wpatrywał się w ogromną łyżkę. Kaleban zatrudniony przez Abnethe. Jeszcze nie całkiem się otrząsnął z burzy emocji, których przed chwilą doświadczył. Naprzykrzała mu się myśl, że o czymś zapomina, ale nie przychodziło mu do głowy o czym.

Furuneo, obserwując McKie'ego, zaczął się obawiać czy Nadzwyczajny Sabotażysta nie został zahipnotyzowany. – Dalej się zastanawiasz? – szepnął.

McKie przytaknął.

– Franiu – powiedział – gdzie jest twoja pracodawczyni?

– Współrzędne niedozwolone – odpowiedziała Kaleban.

– Czy jest na tej planecie?

– Różne łączniki – powiedziała Kaleban.

– Chyba każde z was mówi w innym języku – wtrącił się Furuneo.

– Z tego co słyszałem o Kalebanach, w tym jest cały ambaras – powiedział McKie. – Trudności z komunikacją.

– Próbowaleś połączyć się z Abnethe zamiejscową? – spytał Furuneo, ocierając pot z czoła.

– Nie bądź głupi – odpowiedział McKie. – To była pierwsza rzecz, której spróbowałem.

– I co?

– Albo Taprisjoci mówią prawdę i rzeczywiście nie mogą jej znaleźć, albo Abnethe w jakiś sposób udało się ich przekupić. Ale co to zmienia? Załóżmy, że się z nią połączę. I tak dalej nie będę wiedział, gdzie jest. Nie mogę zarządzić sprawdzenia lokalizacji kogoś, kto nie nosi lokalizatora.

– Jak udało się jej przekupić Taprisjotów?

– A skąd ja to mogę wiedzieć? No a jak zatrudniła Kalebana?

– Inwokacja wymiany wartości – powiedziała Kaleban.

McKie zagryzł wargę.

Furuneo oparł się o ścianę. Wiedział, co sprawiało McKie'emu trudność. Do nieznanymi ras istot myślących Podchodzić trzeba bardzo ostrożnie. Nigdy nie wiadomo, co Je obrazi. Nawet sposób formułowania zdań może spowodować kłopoty. Powinni przydzielić McKie'emu do pomocy jakiegoś ksenologa. Właściwie to aż było dziwne, że tego nie zrobili.

– Abnethe zaproponowała ci coś wartościowego, Franiu? – zaryzykował McKie.

– Oferuję uwagą – powiedziała Kaleban. – Abnethe nie należy uważać za przyjazną-dobrą-miłą-sympatyczną... znośną.

– Czy to twoja... opinia? – spytał McKie.

– Wasza rasa zabrania biczowania istot rozumnych – powiedziała Kaleban. – Abnethe każe mnie biczować.

– Wiec czemu... po prostu nie odmówisz? – spytał McKie.

– Zobowiązanie kontraktowe.

– Zobowiązanie kontraktowe – mruknął McKie, rzucając wzrokiem na Furunea, który wzruszył ramionami.

– Spytaj, dokąd chodzi na te biczowania – powiedział Furuneo.

– Biczowanie przychodzi do mnie – odpowiedziała Kaleban.

– Przez biczowanie masz na myśli, że cię każe pracować? – spytał McKie.

– Wy tłumaczenie prania opisuje tworzenie piany – powiedziała Kaleban. – Nieodpowiednie wyrażenie. Abnethe każe mnie biczować.

– To mówi jak komputer – powiedział Furuneo.

– Pozwól mi się tym zająć – warknął McKie rozkazująco.

– Komputer opisuje przyrząd mechaniczny – powiedziała Kaleban. – Ja żyję.

– On nie chciał cię urazić – powiedział McKie.

– Urażenie nie doświadczone.

– Czy biczowanie powoduje u ciebie ból? – spytał McKie.

– Wy tłumacz ból.

– Czy jest przykre?

– Odnośnik przypomniany. Takie wrażenia wytłumaczone. Wytłumaczenie nie przecina żadnych łączników.

Nie przecina żadnych łączników? pomyślał McKie. – Czy z własnej woli zgodziłabyś się na biczowanie?

– Zgoda wyrażona.

– Dobrze... Czy dokonałabyś jeszcze raz takiego samego wyboru, gdyby sytuacja się powtórzyła?

– Nie rozumiacie odnośniki – odpowiedziała Kaleban. – Jeżeli jeszcze raz odnosi się do powtórzenia, mówię nie na powtórzenie. Abnethe przysłała Palenkę z biczem i biczowanie ma miejsce.

– Palenkę – Furuneo aż zadrżał.

– Nie udawaj, że nie spodziewałeś się czegoś takiego – powiedział McKie. – A cóż innego nadawałoby się do tego, jak nie coś z małym mózdzkiem i posłusznymi mięśniami?

– Ale Palenki! Nie moglibyśmy poszukać...

– Od początku wiedzieliśmy, czego musiała używać. A gdzie będziesz szukał jednego Palenkę?  
– wzruszył ramionami. ~ Czemu Kalebany nie rozumieją pojęcia bólu? Czy jest to czysto semantyczne, czy brakuje im odpowiedniego unerwienia?

– Rozumiem unerwienie – powiedziała Kaleban. – Każde stworzenie myślące musi posiadać połączenia nerwowe. Ale ból... nieciągłość znaczenia wydaje się nie do przezwyciężenia.

– Sam mówiłeś, że Abnethe nie może wytrzymać widoku bólu – Furuneo przypomniał McKiełemu.

– Taaak. A jak ona ogląda to biczowanie?

– Abnethe ogląda mój dom – odpowiedziała Kaleban.

– Nie rozumiem – powiedział McKie wobec braku dalszego wytłumaczenia. – Co to ma do rzeczy?

– Mój dom tu – odpowiedziała Kaleban. – Mój dom zawiera... leży na linii? Główne G'oko. Abnethe posiada łączniki, za które płaci.

McKiełemu przyszło do głowy, że Kaleban może bawić się z nim w jakąś sarkastyczną grę. Ale nic, co wiadomo było o Kalebanach, nie wskazywało na sarkazm. Gmatwanie słów tak, ale żadnych widocznych zniewag czy podstępów. Ale nie rozumieć bólu?

– Ta Abnethe to chyba strasznie pomieszana wiedźma – Mruknął McKie.

– „Fizycznie” nie pomieszana – powiedziała Kaleban. – Obecnie odizolowana w swoich własnych łącznikach, xv całości i dobrze się prezentująca według waszych wymogów. Tak twierdzą opinie wyrażone w mojej obecności. Jeżeli, jednakowoż, odnosisz się do psychiki Abnethe, to pomieszana przekazuje właściwy opis. Co widziałam z psychiki Abnethe bardzo zagmatwane. Zwoje dziwnych kolorów przemieszczają mój zmysł wzroku w nadzwyczajny sposób.

– Ty widzisz jej psychikę? – zakrzuszył się McKie.

– Ja widzę każdą psychikę.

– No i tyle z teorią, że Kalebany nie widzą – powiedział Furuneo. – Wszystko jest iluzją, co?

– Jak... jak to możliwe? – spytał McKie.

– Ja zajmuję miejsce pomiędzy światem psychiki a umysłu. Tak podobni tobie rozumni określają w waszej terminologii.

– Bzdury.

– Osiągasz nieciągłość znaczenia.

– Czemu przyjąłeś ofertę pracy u Abnethe? – spytał McKie.

– Brak wspólnego odnośnika do wytłumaczenia – powiedziała Kaleban.

– Osiągasz nieciągłość znaczenia – wtrącił Furuneo.

– Tak sędzę – odpowiedziała Kaleban.

– Muszę jakoś znaleźć Abnethe – powiedział McKie.

– Ostrzegam – powiedziała Kaleban.

– Uważaj – szepnął Furuneo. – Wydaje mi się, że w powietrzu wisi jakaś wściekłość, która chyba nie pochodzi od rozłłaszczacza.

McKie gestem nakazał mu ciszę.

– Franiu – powiedział – przed czym ostrzegasz?

– Potencjalności w twojej sytuacji – powiedziała Kaleban. – Pozwalam mojej... osobie? Tak,

mojej osobie. Pozwalam mojej osobie na złapanie się w związek, który inni rozumni towarzysze mogą interpretować jako nieprzyjazny.

McKie poskrobat się po głowie. Czy ta rozmowa miała w ogóle cokolwiek wspólnego z komunikacją, z przekazywaniem informacji? Chciał zapytać prosto z mostu o znikanie Kaleba-nów, o zgony i utratę zmysłów, ale obawiał się możliwych konsekwencji.

– Nieprzyjazny – odpowiedział.

– Rozumiem – odparła Kaleban. – Życie, które płynie we wszystkich niesie podwymierne łączniki. Każde jestestwo pozostaje przyłączone dopóki ostateczna nieciągłość nie usunie z... sieci?

Tak, wiązadła innych jestestw w związek z

Abnethe. W wypadku zdarzenia osobistej nieciągłości mojej osoby, wszystkie jestestwa splecione dzielą ją.

– Nieciągłość? spytał McKie, nie całkiem pewny czy rozumie o co chodzi, równocześnie mając nadzieję, że się myli.

– Splecane powstają z kontaktów rozumnych nie powstających w tej samej liniowości świadomości – powiedziała Kaleban ignorując pytanie McKie'ego.

– Nie jestem pewny, czy rozumiem co masz na myśli przez nieciągłość – napierał dalej McKie.

– W tym znaczeniu – odpowiedziała Kaleban – ostateczna nieciągłość zakłada odwrotność przyjemności – w twoim znaczeniu.

– To do nikąd nie prowadzi – powiedział Furuneo. Wysięk odbierania promieniujących impulsów jako mowy zaczynał przyprawiać go o ból głowy.

– To wygląda na problem tożsamości semantycznej – powiedział McKie. – Jej stwierdzenia są albo czarne albo białe, a my się chcemy domyślić czegoś po środku.

– Wszystkiego po środku – dodała Kaleban.

– Zakłada odwrotność przyjemności – mruknął do siebie McKie.

– W twoim znaczeniu – przypomniał mu Furuneo.

– Powiedz mi, Franiu – powiedział McKie – czy takie istoty rozumne jak my nazywają tę ostateczną nieciągłość śmiercią?

– Zakłada się przybliżoną zbieżność – powiedziała Kaleban. – Abnegacja wzajemnej świadomości, ostateczna nieciągłość, śmierć – wszystkie określenia podobne.

– Jeśli ty umrzesz, to wielu innych też umrze, tak?

– Wszyscy użytkownicy G'oka. Wszyscy spleceni.

– Wszyscy? – McKie'emu zaparło dech.

– Wszyscy na twojej... fali? Trudne pojęcie. Kalebanie posiadają nazwę tego pojęcia... płaszczyzny? Płaszczyznowość istot? Przypuszczam odpowiednie pojęcie nie wspólne. Problem ukryty we wzrokowym wykluczeniu, przesłaniającym wzajemną skojarzalność.

Furuneo dotknął ramienia McKie'ego.

– Czy ona mówi, że jeśli umrze, to wszyscy, którzy kiedykolwiek użyli skokwłazu Głoka leż umrą? – powiedział.

– Na to wygląda.

– Nie bardzo mi się chce w to uwierzyć!

– Ostatnie wypadki wydają się wskazywać, że musimy jej wierzyć.

– Ale. . .

– Ciekawe, czy coś jej grozi w najbliższej przyszłości – pomyślał McKie na głos.

– Jeżeli założymy, że się nie mylisz, to też bym chciał wiedzieć – powiedział Furuneo.

– Co poprzedza twoją ostateczną nieciągłość, Franiu? – spytał McKie.

- Wszystko poprzedza ostateczną nieciągłość.
- No tak. Ale czy zbliżasz się do tej ostatecznej nieciągłości?
- Wszyscy, bez możliwości wyboru, zbliżają się do ostatecznej nieciągłości.

McKie otarł pot z czoła. Temperatura wewnątrz Arbuza nadal rosła.

– Wypełniam wymagania honoru-powiedziała Kaleban.

– Zapoznaję cię z perspektywą. Rozumni twojej... płaszczyz-nowości wydają się nie być w stanie, nie mają możliwości wycofania się z konsekwencji mojego związku z Abnethe. Przekaz zrozumiany?

– McKie – powiedział Furuneo – czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile istot rozumnych używało skokwłazu?

– Cholera, prawie wszyscy.

– Przekaz zrozumiany? – powtórzył Kaleban.

– Nie wiem – stęknął McKie.

– Trudności w dzieleniu się pojęciami – powiedziała Kaleban.

– Dalej nie bardzo mogę w to uwierzyć – powiedział McKie. – Chociaż to się zgadza z częścią tego, co podobno mówiły inne Kalebany, na tyle na ile udało się nam to zrekonstruować po bajzlu jaki został po ich zniknięciu.

– Rozumiem odejście towarzyszy powoduje zamieszanie

– powiedziała Kaleban. – Zamieszanie to samo co bajzel?

– Mniej więcej – odparł McKie. – Powiedz mi, Franiu, czy istnieje natychmiastowe niebezpieczeństwo twojej... ostatecznej nieciągłości?

– Wytłumacz natychmiastowe.

– Niedługo! – krzyknął McKie. – Krótki czas!

– Pojęcie czasu trudne – odpowiedziała Kaleban. – Zapytujesz o własną zdolność przetrwania biczowania?

– Może być – powiedział McKie. – Ile jeszcze biczowań możesz przeżyć?

– Wytłumacz przeżyć,

– Ile jeszcze zostało biczowań, zanim doświadczysz ostatecznej nieciągłości? – spytał McKie, starając się przewyciężyć zdenerwowanie potęgowane przez rozżłoszczacz.

– Może dziesięć biczowań – odparła Kaleban. – Może mniejsza ilość. Może większa.

– I twoja śmierć zabije nas wszystkich? – spytał McKie, mając nadzieję, że jednak coś źle zrozumiał.

– Mniejszą ilość niż wszystkich – odpowiedziała Kaleban.

– Tylko ci się wydaje, że ją rozumiesz – powiedział Furuneo.

– Mam nadzieję, że jej nie rozumiem!

– Towarzysze Kalebanie rozumieją pułapkę, dokonują odejścia. W ten sposób unikają nieciągłości.

– Ilu Kalebanów nadal pozostaje na naszej... płaszczyźnie? – spytał McKie.

– Jedyne jestestwo mojej osoby – odpowiedziała Kaleban.

– Tylko ten jeden – mruknął McKie. – Wisimy na włosku.

– Ciężko mi uwierzyć, że śmierć jednego Kalebana ma wywołać całe to spustoszenie – powiedział Furuneo.

– Wytłumaczę przez porównanie – powiedziała Kaleban. – Naukowcy waszej p łaszczy znowości tłumaczą reakcje, osoby gwiazdnej. Masa gwiazdna wchodzi w stan ekspansji. W tym stanie masa gwiazdna pochłania i redukuje wszystkie napotkane substancje do innych kształtów

energii. Wszystkie substancje napotkane przez masę gwiazdną dokonują zmiany. Ostateczna nieciągłość własnej osoby sięga w podobny sposób wzdłuż wiązań łączników G'oka, przekształcając wszystkie napotkane jestestwa.

– Osoba gwiazdna – powtórzył Furuneo kręcąc głową.

– Niepoprawne pojęcie? – spytała Kaleban. – Może więc osoba energii.

– Ona twierdzi – powiedział McKie – że używanie skokwłazów G'oka w jakiś sposób splątało ją z nami. Jej śmierć osiągnie nas jak eksplodująca gwiazda, wzdłuż tej splątanej sieci i, w efekcie, wszyscy umrzemy.

– To ty myślisz, że ona tak twierdzi – sprzeciwił się Furuneo.

– W tej chwili muszę jej wierzyć – powiedział McKie. – Może nam się trudno dogadać, ale myślę, że ona jest szczerą. Nie czujesz jakie z niej dalej emanują uczucia?

– Dwie różne rasy mogą dzielić uczucia jedynie w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu – powiedział Furuneo. – Ona nawet nie rozumie co to jest ból.

– Naukowcy waszej płaszczyznowości – powiedziała Kaleban – tłumaczą uczuciową podstawę porozumiewania się. Przy braku wspólności uczuciowej jednakowość pojęć niepewną. Pojęcie uczuć niepewne dla Kalebanów. Zakłada się trudności w porozumieniu.

McKie kiwnął głową potakująco, raczej do siebie samego. Widział jeszcze jedno utrudnienie: problem tego, czy słowa Kalebana były wymawiane, czy promieniowane w jakiś niesamowity sposób, dodatkowo potęgując niezrozumiałość i chaos całej sytuacji.

– Uważam, że w jednym masz rację – powiedział Furuneo.

– No?

– Musimy założyć, że ją rozumiemy. McKie przełknął przez zaschnięte gardło.

– Franiu – spytał – czy wytłumaczyłaś Mliss Abnethe te perspektywy ostatecznej nieciągłości?

– Problem wytłumaczony – odpowiedziała Kaleban. – Towarzysze Kalebanie próbują naprawić błąd. Abnethe nie osiąga zrozumienia, albo nie zważa na konsekwencje. Trudne łączniki.

– Trudne łączniki – mruknął McKie.

– Wszystkie łączniki pojedynczego G'oka – powiedziała Kaleban. – Główne G'oko własnej osoby wywołuje wzajemny Problem.

– Nie udawaj, że to rozumiesz – wtrącił Furuneo.

– Abnethe zatrudnia Główne G'oko własnej osoby – powiedziała Kaleban. – Umowa kontraktowa daje Abnethe uprawnienia użytkownika. Jedno Główne G'oko własnej osoby. Abnethe użytkuje.

– Więc ona otwiera skokwłaz i wysyła przez niego Palenkę – powiedział Furuneo. – Może po prostu poczekajmy tu na nią i złapmy ją jak się pokaże.

– Zamknij włącznik, zanim ci się ją uda dotknąć – mruknął McKie. – Nie, w tym co ten Kaleban mówi jest coś więcej. Wydaje mi się, że ona mówi, że jest tylko jedno Główne G'oko, może jakiś system centralnego sterowania wszystkich skokwłazów... a nasza Frania tym zawiaduje albo steruje, albo...

– Albo coś – warknął Furuneo.

– Abnethe zarządza G'okiem przez uprawnienia zakupu – powiedziała Kaleban.

– Widzisz, co jest grane? – powiedział McKie. – Franiu, czy możesz nie dopuścić do tego aby ona miała pełną kontrolę nad G'okiem? Czy możesz zapobiec temu, aby ona robiła z nim co chce?

– Warunki zatrudnienia wykluczają ingerencję.

– Ale możesz dalej używać swoje własne skokwłazy G'oka? – nalegał McKie.

– Wszyscy używają – powiedziała Kaleban.

– To zupełnie wariactwo! – wybuchnął Furuneo.

– Wariactwo zdefiniowane jako brak uporządkowanego postępowania procesów myślowych według wzajemnego zrozumienia pojęć logicznych – powiedziała Kaleban. – Wariactwo częste w opinii jednej rasy o innych. Prawidłowa interpretacja przeciwnie.

– Zdaje się dostałem klapsa – powiedział Furuneo.

– Słuchaj – powiedział McKie. – Wszystkie zgony i pomieszanie zmysłów związane ze znikaniem Kalebanów dają nam powody do takiej, a nie innej interpretacji. Mamy do czynienia z czymś potencjalnie wybuchowym i na pewno niebezpiecznym.

– Więc musimy odnaleźć Abnethe i powstrzymać ją za wszelką cenę.

– Taak... To brzmi bardzo prosto – powiedział McKie, W porządku, oto twoje rozkazy: Wyjdź stąd i zaalarmuj Biuro. Rozmowa z Kalebanem nie nagrała się na twoim rejestratorze, ale wszystko zostało w twojej pamięci. Każ im to odczytać.

– Dobra. Ty zostajesz?

-Tak.

– Mam im powiedzieć, że co tu robisz?

– Chciałbym zerknąć na paczkę Abnethe i jej otoczenie. Furuneo chrząknął. Cholerny świat, ale gorąco!

– Czy myślałeś o... no wiesz, po prostu pif-paf? – Furuneo zamarkował mierzenie z miotacza.

– Nie wszystko i nie z każdą prędkością przechodzi przez skokwłaz – obsztorcował go McKie.

– Dobrze o tym wiesz.

– Może ten właz jest inny.

– Wątpię.

– Dobrze, jak się już zamelduję, to co potem?

– Siedź cierpliwie tu na zewnątrz i czekaj, aż cię zawołam. Chyba, że dadzą ci dla mnie jakieś wiadomości. Acha, no i zacznij przeszukiwać Serdeczność... na wszelki wypadek.

– Oczywiście. – Furuneo się zawahał. – Aż kim w Biurze mam się skontaktować? Z Bildoonem?

McKie spojrzał na niego. Czemu Furuneo pyta się, z kim się ma w Biurze kontaktować? O co mu chodzi?

I wtedy zaświtało mu w głowie, że Furuneo miał rację. Dyrektor BuSabu, Napoleon Bildoon, należał do rasy Pan Spechi, pięcioistnych istot rozumnych, jedynie z wyglądu przypominających człowieka. Ponieważ człowiek, McKie, teoretycznie prowadził tę sprawę, mogło to sprawiać wrażenie, że kontrola nad nią zawęży się do jednej tylko rasy, wykluczając innych członków Konfederacji. Wynik politycznych przetargów i potyczek pomiędzy rasami istot rozumnych nie mógł być do przewidzenia w warunkach zwiększonego zagrożenia. Dlatego byłoby bezpieczniej rozszerzyć nadzór w tej sprawie na szerszą grupę przedstawicieli kilku ras.

– Dzięki – powiedział McKie. – Nie zastanawiałem się nad niczym poza najbardziej nagłymi kwestiami.

– To jest nagła kwestia.

– Oczywiście. Dobra, zostałem wybrany do tej sprawy przez naszego Dyrektora Dyskrecji.

– Gitchela Sikera?

-Tak.

– To mamy jednego Laklaka, a Bildoon to Pan Spechi. Kogo by jeszcze?

– Złap kogoś z Działu Obsługi Prawnej.

– Murowanie człowiek.

– W porządku. Jak tyłu ich już będzie, to wszyscy się połapią – zgodził się McKie. – Wciągną w

to innych, zanim jakiegokolwiek oficjalne decyzje zostaną podjęte.

Furuneo przytaknął.

– Jeszcze jedno – powiedział.

-Co?

– Jak się stąd wydostać?

McKie odwrócił się w kierunku olbrzymiej łyżki. – Dobre pytanie. Franiu, jak mój towarzysz może stąd wyjść?

– Dokąd życzysz sobie podróżować?

– Do domu.

– Łączniki oczywiste.

McKie poczuł nagły powiew powietrza. Uszy zatkały mu się na moment z powodu niespodziewanej zmiany ciśnienia. Rozległ się odgłos jak wyciągnięcie korka z butelki. Odwrócił się na pięcie. Furuneo zniknął.

– Eee... wysłałaś go do domu? – spytał.

– Tak jest – powiedziała Kaleban. – Wybrany cel podróży widoczny. Wysłanie błyskawiczne. Zapewnienie utrzymania odpowiedniego poziomu temperatury zachowane.

– Ciekawe, jak to zrobiłaś – powiedział McKie. Czuł jak strużki potu spływają mu po policzkach. – Czy ty rzeczywiście widzisz nasze myśli?

– Widzę tylko zdecydowane łączniki – odparł Kaleban.

Nieciągłość znaczenia, pomyślał McKie.

Przypomniała mu się uwaga Kelebana na temat temperatury. Jaki jest dla niej odpowiedni poziom temperatury? Psiakrew! W pomieszczeniu się gotowało. Oblana potem skóra zaczynała swędzieć. W gardle mu zaschło. Odpowiedni poziom temperatury?

– Co jest odwrotnością odpowiedniego? – spytał,

– Fałszywy – odpowiedziała Kaleban.

*Gra słów może doprowadzić do obudzenia pewnych nadziei, których samo życie nie jest w stanie spełnić. Jest to źródłem wielu zaburzeń psychicznych i innych form niezadowolenia.*

**Przysłowie Wreawów**

Przez pewien czas, którego długości nie potrafiłby określić, McKie rozmyślał o rozmowie z Kalebanem. Czuł się jak ktoś zagubiony w nieznanym terenie, nie mogący znaleźć żadnych znajomych punktów orientacyjnych. Jak fałszywy może być odwrotnością odpowiedniego! Jeżeli nie mógł mierzyć znaczeni, jak mógł mierzyć czas?

Przesunął ręką po czole, zbierając pot, który spróbował otrzeć o marynarkę. Marynarka była wilgotna.

Niezależnie od tego, jak szybko czas upływał, McKie czuł, że dalej wie, gdzie się znajduje na tym świecie. Nadal otaczały go wewnętrzne ściany Arbuza. Niewidoczna anty-obecność Kalebana nie stawała się nic mniej tajemnicza, ale mógł chociaż spojrzeć na błyszczące istnienie tego czegoś i odnieść jakieś zadowolenie z faktu, że to z nim rozmawia.

Nie dawała mu spokoju myśl, że każda istota rozumna, która kiedykolwiek użyła skokwłazu umrze, jeżeli ten Kaleban padnie. Aż ciarki chodziły mu po plecach na samą myśl. Skórę miał mokrą od potu, nie tylko z gorąca. W powietrzu Unosiły się dźwięki śmierci. Wydawało mu się, że jest otoczony przez rzesze błagających go stworzeń rozumnych – tryliony trylionów osób. Pomóż nam! zdawali się wołać.



Wszyscy, którzy kiedykolwiek użyli skokwłazu.

Do jasnej cholery! Czy na pewno dobrze zrozumiał Kalebana? To była logicznie jedyna alternatywa do przyjęcia.

Zgony i utrata zmysłów towarzyszące znikaniu Kalebanów dowodziły, że każdą inną alternatywę należy wykluczyć.

Krok po kroku, pułapka została zastawiona. Świat zapełni się trupami.

Błyszczący owal ponad olbrzymią łyżką nagle zafalował, wybrzyszył się i skurczył, uniósł do góry, opadł w dół i na lewo. McKie odebrał wyraźne wrażenie uczucia zaniepokojenia. Owal zniknął, ale McKie oczyma nadal podążał za antyobecnością Kalebana.

– Coś nie tak? – spytał.

W odpowiedzi tuż za Kalebanem pojawiła się okrągła tuba wirtunelu skokwłazu G'oka. Na przeciwnym jej końcu stała kobieta. Jej maleńka figurka była widoczna w głębi, jakby przez odwrotny koniec lunety. McKie rozpoznał ją natychmiast z programów wiadomości i hologramów, które przeglądał przygotowując się do tej sprawy.

Stał twarzą w twarz z Mliss Abnethe, skąpaną w jasno-czerwonym świetle, zwolnionym do tego koloru przejściem przez skokwłaz.

Na pierwszy rzut oka widać było, że niedawno zajmowali się nią Kosmetykerzy ze Steadyonu i to za nielada grosz. Zanotował w pamięci, żeby to sprawdzić. Jej figura miała młodzieńcze kształty rozkosznicy. Jej twarz otaczały bajkowo błękitne włosy, a usta przypominały karminowy płatek róży. Wielkie oczy, koloru letniej zieleni i wyzywająco rozdęte nozdrza wywoływały niecodzienny kontrast dostojności z arogancją. Była niedoskonałą królową – pomieszaniem podeszłego wieku z młodzieńczością. Musiała mieć co najmniej osiemdziesiąt standardowych lat, ale Kosmetykerom udało się osiągnąć tę zaskakującą kombinację – gotowa do usług rozkosznica i żądna władzy potężna osobowość.

Jej kosztowną figurę pokrywała długa suknia z szarych pereł deszczowych, naśladowująca jej ciało w każdym ruchu jak druga, mieniąca się światłem skóra. Podeszła bliżej do tuby wirtunelu, której krawędzie przysłoniły najpierw jej stopy. potem łydki, uda, a w końcu i talię.

McKie poczuł, że przez czas kiedy podchodziła w jego kierunku, kolana postarzały mu się o tysiąc lat. Nadal był tam gdzie się znalazł zaraz po wejściu do Arbuza – przykucnięty pod jedną ze ścian.

– Ach, Franiu – powiedziała Mliss Abnethe – widzę, że masz gościa. Skokwłaz zakłócał nieco fale dźwiękowe, stąd głos jej wydawał się być ledwo zauważalnie zachrypnięty.

– Jestem Jorj X. McKie, Nadzwyczajny Sabotażysta – powiedział.

Czyżby źrenice jej oczu nagle się zwężyły? McKie nie był pewny. Zatrzymała się dopiero gdy w okręgu tuby widoczne były jedynie jej ramiona i głowa.

– \ja jestem Mliss Abnethe, prywatny obywatel.

Prywatny obywatel! – pomyślał McKie. Ładne sobie. Ta baba włada zdolnościami produkcyjnymi co najmniej pięciuset planet. Powoli podniósł się na nogi.

– Biuro Sabotażu pragnie cię oficjalnie przesłuchać – powiedział, by ją oficjalnie powiadomić, zadośćczyniąc wymogom prawa.

– Jestem prywatnym obywatelem! – zasyczała. Jej rozdrażniony głos był pełen dumy i pychy.

McKie'ego ucieszyła ta ujawniona oznaka słabości. Była to skaza częsta wśród bogatych i potężnych. Miał duże doświadczenie w wykorzystywaniu takich słabości.

– Franiu, czy jestem twoim gościem? – spytał.

– W rzeczywistości – odpowiedziała Kaleban. – Otwieram dla ciebie drzwi.

– A czy ja jestem twoim pracodawcą, Franiu? – rozkazująco zapytała Abnethe.

– W rzeczywistości, to ty mnie zatrudniasz. Jej twarz przybrała wyraz drapieżnika szykującego się do skoku. Oczy zwęziły się do szparek.

– Bardzo dobrze – zasyczała – w takim razie przygotuj się do wypełnienia warunków...

– Chwileczkę – zawołał McKie, zupełnie zdesperowany. Czemu ona posuwa się tak szybko? Co znaczy ta skamlająca nuta w jej głosie?

– Goście niech się do tego nie mieszają – rozkazała Abnethe.

– BuSab sam decyduje do czego się mieszać – odparł McKie.

– Wasze uprawnienia mają swoje granice! – zawołała Abnethe.

McKie słyszał początki wielu akcji w tym stwierdzeniu: wynajęci agenci, gigantyczne sumy wydane na łapówki, fałszowane umowy, traktaty, historie umieszczane w wiadomościach o tym, jak ta praworządna i porządna kobieta została skrzywdzona przez rząd, osobiste zaangażowanie się na szeroką skalę tylko po to by usprawiedliwić – co? Użycie przeciw niemu przemocy. Nie sądził. Raczej zdyskredytowanie go, obciążenie go uciekaniem się do złośliwości.

Na myśl o potędze, jaką Abnethe miała do swojej dyspozycji, McKie sam się sobie zdziwił. Po co się na to narażać? Czemu wybrał pracę w BuSapie? Bo trudno mu było zadowolić, odpowiedział sam sobie. Jestem Sabotażystą z wyboru. Było już za późno, aby ten wybór cofnąć. BuSab znajdował się zawsze w samym środku największych galimatiasów, a jednak zawsze wychodził z tego górą.

Także i tym razem BuSab wydawał się nieść większość świata istot rozumnych na swoich barkach. Był to bardzo delikatny ładunek, przestraszony i zarazem budzący grozę. Trzymał się kurczowo jego pleców, zapuściwszy w nie ostre szpony.

– Zgadza się – warknął – mamy swoje granice, ale wątpię, czy kiedykolwiek je zobaczysz. A teraz powiedz, co się tu dzieje.

– Nie jesteś policjantem! – szczeękła Abnethe.

– Może powinienem wezwać policję – powiedział.

– Na jakiej podstawie? – uśmiechnęła się. Miała rację i wiedziała o tym. Jej adwokaci z pewnością wytłumaczyli jej klauzulę wolności stowarzyszania się z Konstytucji Konfederacji Ras Rozumnych: „Kiedy członkowie różnych ras formalnie stowarzyszą się w związku, Z którego czerpią obopólne korzyści, bo strony w takiej umowie będą jedynymi sędziami tych korzyści, pod warunkiem, że ich umowa nie łamie Żadnych praw, regulacji, lub przepisów ustawowych, do zachowania których strony są zobowiązane; oraz pod warunkiem, że wymieniona umowa została zawarta na warunkach dobrowolności, a z jej dochowania nie wynika zakłócenie porządku publicznego.”

– Twoje działania spowodują śmierć tego Kalebana – powiedział McKie. Nie pokładał zbyt wiele nadziei w tej linii ataku, ale pozwalało mu to grać na zwłokę.

– Będziesz musiał wykazać, że Kalebański koncept nieciągłości równa się śmierci – powiedziała Abnethe. – Nie uda ci się to, bo to nieprawda. Czemu się mieszasz do nieswoich spraw? To, co robimy, to tylko niewinna, dobrowolna zabawa pomiędzy pemolet...

– Więcej niż zabawa – powiedziała Kaleban.

– Frania! – warknęła Abnethe. – Nie wolno ci przerywać! Nie zapominaj o kontrakcie.

McKie gapił się w kierunku anty-obecności Kalebana, próbując rozgryźć to płomieniste spektrum, wymykające się jego zmysłom.

– Zauważam konflikt pomiędzy ideałami i strukturą państwa – powiedziała Kaleban.

– Właśnie! – zawołała Abnethe. – Zostałam zapewniona, że Kalebany nie odczuwają bólu, że nawet nie wiedzą, co to jest. Jeżeli mam zachciankę zaaranżować pozorne biczowanie i obserwować

reakcje...

- Czy pewna jesteś, że ona nie cierpi? – spytał McKie. Uśmiech triumfu okrył twarz Abnethe.
- Nigdy nie widziałam jej cierpiącej. A może ty widziałeś?
- A widziałaś ją w jakimkolwiek innym stanie?
- Widziałam jak przychodzi i odchodzi.
- Czy cierpisz, Franiu? – spytał McKie.
- Brak odnośnika do tego pojęcia – odpowiedziała Kaleban.
- Czy te biczowania wywołają twoją ostateczną nieciągłość? – spytał McKie.
- Wytlumacz wywołają – odparła Kaleban.
- Czy istnieje związek pomiędzy biczowaniem i twoją ostateczną nieciągłością?
- Całość łączników we wszechświecie obejmuje wszystkie zdarzenia – odpowiedziała Kaleban.

– Dobrze płacę za swoją zabawę – wtrąciła Abnethe. – Przestań się wtrącać. McKie.

– Jak płacisz?

– Nie twój interes!

– W tej chwili już mój. Franiu?

– Nie odpowiadaj mu – szczerzyła Abnethe.

– Mogę wezwać policję i urzędników Sądu Dyskrecjonalnego – powiedział McKie.

– Ależ proszę, bardzo – ton Abnethe pełen był triumfu.

– Jesteś oczywiście przygotowany do odpowiedzi na oskarżenie o uniemożliwienie wypełnienia kontraktu zawartego pomiędzy pełnoletnimi przedstawicielami różnych ras?

– Mogę zawsze dostać tymczasowy zakaz sądowy kontynuowania waszego kontraktu. Jaki jest twój obecny adres?

– Odmawiam odpowiedzi za radą mojego adwokata.

McKie wpatrywał się w nią ze złością. Znowu go miała. Nie mógł jej oskarżyć o unikanie udziału w dochodzeniu, zanim nie wykazał zajścia przestępstwa. Aby udowodnić przestępstwo, musiał najpierw spowodować postępowanie sądowe, pozwać ją dostarczając pozwu w obecności świadków, doprowadzić ją przed sąd i pozwolić bronić się przed oskarżeniem. A jej adwokaci podkładaliby mu nogę na każdym kroku.

– Oferuję opinię – wtrąciła się Kaleban. – Nic w kontrakcie Abnethe nie zakazuje wyjawienia zapłaty. Pracodawca dostarcza edukację.

– Edukację? – spytał McKie.

– No dobrze – poddała się Abnethe. – Dostarczam Franiu najlepszych instruktorów i najlepsze pomoce naukowe dostępne w naszej cywilizacji. Ona chłonie naszą kulturę. Dostała wszystko, czego chciała. I nie było to tanie.

– I ona dalej nie wie, co to ból? – zawołał McKie.

– Posiadam nadzieję uzyskania odpowiednich odnośników – powiedziała Kaleban.

– Czy wystarczy ci czasu na uzyskanie tych odnośników?

– spytał McKie.

– Pojęcie czasu trudne – odpowiedziała Kaleban. – Wypowiedzenie instruktora, cytuję: „Wymogi czasowe w nauce wahają się od rasy do rasy”. Czas posiada długość, nieznaną cechę zwaną trwaniem, wymiary subiektywne i obiektywne. Niezrozumiale.

– Pytam teraz oficjalnie – powiedział McKie. – Abnethe, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że doprowadzasz obecnego tu Kalebana do śmierci?

– Nieciągłość i śmierć to nie to samo – zaprotestowała Abnethe. – Nieprawda, Franiu!

– Szeroka rozbieżność ekwiwalentów występuje pomiędzy oddzielnymi falami istnienia – odpowiedziała Kaleban.

– Pytam dalej oficjalnie, Mliss Abnethe – ciągnął McKie – czy ten Kaleban, nazywający się sam Franią, wyjawiał ci konsekwencje wypadku, który ona nazywa ostateczną nieciągłością?

– Usłyszałeś przecież, że nie ma ekwiwalentów!

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Czepiasz się drobiazgów!

– Franiu – powiedział McKie – czy opisałaś Mliss Abnethe konsekwencje...

– Zobowiązanie łącznikami kontraktowymi – odpowiedziała Kaleban.

– No widzisz! – zaatakowała go Abnethe. – Ona jest zobowiązana prawomocnym kontraktem, a ty się wtrącasz. Abnethe wykonała gest w kierunku kogoś niewidocznego przez tubę wirtunelu.

Otwór nagle podwoił średnicę. Abnethe usunęła się na bok, pozostawiając jedynie pół twarzy z jednym okiem w polu widzenia McKie'ego. Za jej plecami dał się teraz zauważyć tłum gapiących się istot rozumnych. Na miejscu poprzednio zajmowanym przez Abnethe, ruchem szybkim jak błyskawica, pojawiła się olbrzymia, żółtawozielona sylwetka Palenki. Setki maleńkich nóżek migają pod jego wielkim ciałem. Pojedyncze ramię, wyrastające z czubka głowy uwieńczonej pierścieniowatymi oczyma, dzierżyło w dłoni o dwóch kciukach długi bicz. Ramię sięgnęło przez tubę, nagłym ruchem pchnęło bicz przez stawiający opór otwór skokwłazu, szerokim zamachem wprawiło bicz w ruch. Bicz z głośnym trzaskiem strzelił ponad niecką łyżki.

Krystaliczny deszcz zielonych iskier skapał w blasku miejsce, gdzie nadal niewidoczny był Kaleban. Zabłyszczał przez chwilę jak fluoryzujący wybuch ogni sztucznych, opadł i zgasł.

Pełen ekstazy jęk wydobył się przez tubę wirtunelu. McKie opanował zalewającą go nagle falę intensywnego uczucia niepokoju i rzucił się naprzód. Skokwłaz G'oka natychmiast się zamknął, wypływając na podłogę pomieszczenia odcięte ramię Palenki, z dłonią nadal zaciskającą bicz.

Wiło się ono i kręciło po podłodze, wolniej... wolniej, coraz wolniej. W końcu ruch ustał.

– Franiu? – zawołał McKie.

– Tak?

– Czy ten bicz cię uderzył?

– Wytłumacz bicz uderzył.

– Napotkał twoją substancję!

– W przybliżeniu.

McKie podszedł do niecki łyżki. Nadal odczuwał zaniepokojenie, ale zdawał sobie sprawę, że to mógł być uboczny skutek rozłuszczacza połączony ze świadomością wypadku, którego właśnie stał się świadkiem.

– Opisz przebieg biczowania – powiedział.

– Nie posiadasz odpowiednich odnośników.

– Spróbuj.

– Wdycham substancję bicza, wydycham moją własną substancję.

– Oddychałaś tym?

– W przybliżeniu.

– No dobrze. Opisz swoją reakcję fizyczną.

– Brak wspólnych odnośników fizycznych.

– Jakąkolwiek reakcję, do cholery!

– Bicz nieodpowiedni do mojego glssrrk.

– Twojego czego?

- Brak wspólnych odnośników.
- Co to był ten zielony deszcz, kiedy bicz w ciebie uderzył?
- Wy tłumacz zielony deszcz.

Opierając się na długościach fal świetlnych i opisując unoszące się w powietrzu krople wody, z dygresją na temat ruchu fal i wiatru, McKie, jak sądził, wyjaśnił w przybliżeniu pojęcie zielonego deszczu.

- Obserwujesz ten fenomen?
- Tak, to właśnie widziałem. ^
- Niezwykłe!

McKie zawahał się, do głowy przyszła mu dziwna myśl. Czy my możemy wydawać się Kalebanom tak pozbawieni substancji, jak oni wydają się nam?

Zapytał.

– Wszystkie stworzenia posiadają substancję odnoszącą się do ich kwantowego istnienia – odpowiedziała Kaleban.

- Ale czy, kiedy na nas patrzysz, widzisz naszą substancję?
- Podstawowa trudność. Twoja rasa powtarza to pytanie. Nie posiadam pewnej odpowiedzi.
- Spróbuj mi wytłumaczyć. Zaczynaj od tego co to jest ten zielony deszcz.
- Zielony deszcz nieznany fenomen.
- Ale co to mogło być?
- Być może fenomen międzypłaszczyznowy, reakcja na wydech mojej substancji.
- Czy istnieje górna granica ilości twojej substancji, którą możesz wydychać bez obawy o ostateczną nieciągłość?

– Stosunki kwantowe określają ograniczenia twojej płaszczyzny. Ruch istnieje pomiędzy źródłami płaszczyznowymi. Ruch zmienia odnośne względności.

Brak stałych odnośników? – zastanawiał się McKie. Ale musiały jakieś być. Podjął ten temat z Kalebanem, ale zarówno pytania, jak i odpowiedzi stawały się dla obojga coraz bardziej bezsensowne.

- Ale musi być jakaś stała wartość! – wybuchnął wreszcie McKie.
- Łączniki posiadają aspekt tej stałej, której szukasz.
- Co to są łączniki?
- Brak...
- Odnośników! – W McKie'im się gotowało. – To po co używasz tego pojęcia?
- Pojęcie przybliżone. Dokładny zgryz inne pojęcie wyraża coś podobnego.
- Dokładny zgryz – mruknął McKie. I dodał głośniejszym głosem: – Dokładny zgryz?

– Towarzysz Kaleban sugeruje to pojęcie po dyskusji z rozumnym Laklakiem posiadającym niecodzienną intuicję.

- Jeden z was pogadał sobie o tym z jakimś Laklakiem, co? A co to był za Laklak?
- Tożsamość nie przekazana, ale zawód znany i zrozumiały.
- Ach tak? A jaki to zawód?
- Dentysta.

Kiedy McKie już odetchnął po tym, jak go zatkało, potrząsnął głową w absolutnym osłupieniu.

– Dentysta? I to dla ciebie zrozumiałe?

– Wszystkie gatunki wymagające przyjmowania jako pokarmu źródeł energii, wymagają zredukowania tych źródeł do dostępnej formy.

– Masz na myśli, że gryzą?

- Wytłumacz gryzą.
- Myślałem, że rozumiesz co to dentysta!
- Dentysta – ktoś, kto remontuje system używany przez rozumnych do przekształcania energii w celu przyjmowania jej jako pokarm – powiedziała Kaleban.
- Dokładny zgryz – stęknął McKie. – Wytłumacz, co rozumiesz przez zgryz.
- Odpowiednie dobranie powiązanych części w kształtowaniu systemu.
- To nas nigdzie nie prowadzi.
- Każde stworzenie gdzieś – odparła Kaleban.
- Ale gdzie? Na przykład, gdzie ty jesteś?
- Związki płaszczyznowe niewytłumaczalne.
- Spróbujmy czegoś innego – powiedział McKie. – Słyszałem, że potraficie czytać nasze pismo.
- Sprowadzenie tego co nazywasz pismem do zrozumiałych łączników sugeruje komunikację stałą w czasie – powiedziała Kaleban. – Jednak brak pewności co do stałego czasu i wymaganych łączników.
- No dobrze... spójrzmy na słowo widzieć – powiedział McKie. – Powiedz mi, co rozumiesz pod czynnością widzenia.

– Widzieć – odbierać zmysłową świadomość zewnętrznej energii – odpowiedziała Kaleban.

McKie pograżył twarz w dłoniach. Czuł się wypluty z sił, jego umysł drętwiał już, poddany ciągłemu bombardowaniu mową Kalebana. Jakim zmysłem to odbierał? Zdawał sobie sprawę, że takie pytanie posłałoby ich w nową pogoń za pustą formułą.

Równie dobrze mógłby słuchać oczyma lub jakimś innym zmysłem tak samo prymitywnym i nieprzystosowanym do tego zadania. Zbyt wiele zależało teraz od niego. Jego wyobraźnia wywoływała obrazy pustki, która będzie musiała nastąpić po

śmierci tego Kalebana – tej gigantycznej, pełnej samotności pustki. Trochę dzieci ocaleje, ale na krótko – wszystkie skazane będą na rychłą zagładę. Całe dobro, piękno, zło... wszystkie przejawy kultury... to wszystko będzie musiało zniknąć. Przy życiu zostaną jedynie bezmyślne stworzenia, które nigdy nie weszły do skokwłazu. A wiatr, kolory, zapachy kwiatów i śpiew ptaków – to wszystko będzie trwać nadal po roztrzaskaniu się cywilizacji istot rozumnych.

Ale wszystkie marzenia zginą, pogrzebane w porze śmierci. Nastąpi bardzo szczególny rodzaj ciszy – umilknie na zawsze piękna mowa przepojona ziarenkami znaczenia.

Kto będzie mógł pocieszyć wszechświat po takiej stracie?

Opuścił ręce od twarzy i zwrócił się ponownie do Kalebana.

– Czy możesz gdzieś przenieść ten Ar... twój dom, tak aby Abnethe go nie znalazła?

– Wycofanie się możliwe.

– Więc na co czekasz? Zrób to!

– Nie mogę.

– Czemu?

– Kontrakt zabrania.

– To zerwij ten cholerny kontrakt!

– Niehonorowe działanie przynosi ostateczną nieciągłość wszystkim istotom rozumnym na twojej... sugeruję wyrażenie na twojej fali, jako lepsze. Fala. Znacznie dokładniejsze niż płaszczyzna. Proszę, zastąp słowem fala wszelkie wypadki użycia w naszej rozmowie słowa płaszczyzna.

To stworzenie jest absolutnie niemożliwe – pomyślał McKie.

Podniósł ręce w geście rozpaczony i w tej samej chwili poczuł jak całe jego ciało wzdrygnęło się, pobudzone szyszynką rozpaloną nadejściem zamiejscowego połączenia. Wiedział, że jest w

chichotransie, że jego ciało pomrukuje, chichocze i, od czasu do czasu, wpada w drgawki. Ale tym razem połączenie nie wprawiło go w złość.

*Wszelkie definicje, bez względu w jakim są języku, winny być przyjmowane jedynie na próbę..*

**Dwel Hartavid, Zagadnienia Kalebańskie**

– Tu Gitchel Siker – usłyszał McKie.

Wyobraził sobie Dyrektora Dyskrecji Biura Sabotażu, niskiego, eleganckiego Laklaka, siedzącego w swoim luksusowo wykończonym biurze na planecie Centrum. Siker z pewnością był zupełnie zrelaksowany, jego macka bojowa schowana pod fałdem skórny, twarz widoczna spod odsłoniętych pokryw, ciało w rozluźnionej pozycji na najlepszym krześle, nauczonym bezbłędnie wypełniać każde życzenie swojego pana, w zasięgu ręki od guzika mogącego przywołać zastępy wykwalifikowanych podwładnych.

– No, najwyższy czas – powiedział McKie. – Na co tak długo czekałeś?

– Na co ja czekałem? – zdziwił się Siker.

– Przecież Furuneo musiał przekazać ci wiadomość już da...

– Jaką wiadomość?

McKie'emu zdawało się, że jego umysł właśnie został dotknięty kołem szlifiernym i myśli posypały się jak deszcz rozpędzonych iskier. Co się stało z wiadomością, którą miał przekazać Furuneo?

– Furuneo – powiedział – wyszedł stąd wystarczająco dawno by...

– Chciałem z tobą porozmawiać – przerwał mu Siker – bo żaden z was nie dawał znaku życia od cholernie długiego czasu i strażnicy Furunea zaczynają się martwić. Jeden z nich... A niby gdzie Furuneo wyszedł i jak?

McKie'emu nagle zaświtało w głowie. – Wiesz gdzie się Furuneo urodził?

– Urodził? Na Landy-B. Czemu pytasz?

– Bo chyba tam teraz właśnie jest. Kaleban wysłał go do domu przez G'oko. Jeżeli do tej pory się z tobą nie skontaktował, wyślij kogoś po niego. Miał się...

– Landy-B ma tylko trzech Taprisjotów i jeden skokwłaz. To planeta dla poszukujących spokoju, pełna samotników i...

– Taak. To tłumaczy, czemu mu to tyle czasu zajęło. A teraz niech ci powiem jak sprawy wyglądają...

McKie opowiedział Sikerowi przebieg swojego spotkania z Kalebanem.

– A ty, ty wierzysz w tę ostateczną nieciągłość? – Przerwał mu Siker.

– Musimy w to wierzyć. Wszystkie dowody na to wskazują.

– No tak, może... ale...

– A możemy sobie teraz pozwolić na jakieś moje, Siker?

– Chyba powinniśmy powiadomić policję.

– Wydaje mi się, że ona właśnie tego chce.

– Chce... Dlaczego?

– A kto musiałby podpisać zażalenie? Cisza.

– Kapujesz? – nalegał McKie.

– Na twoją odpowiedzialność, McKie.

– Wszystko jest zawsze na moją odpowiedzialność. Ale jeżeli się nie mylimy, to jest to i tak bez

znaczenia.

– W takim razie proponuję skontaktować się z kimś z naczelstwa Centralnego Biura Policji – tylko w celu zasięgnięcia opinii. Zgoda?

– Przedyskutuj to z Bildoone. A teraz musisz mi załatwić parę spraw. Zwołaj zebranie Rady Ras w Biurze, przygotujcie tekst następnego maxi-alertu. Skoncentruj go na Kalebanach, ale włącz też Palenków i zacznij badać powiązania Abnethe z...

– Dobrze wiesz, że tego nam nie wolno!

– Nie wolno, ale musimy!

– Kiedy podjąłeś się tego zadania, zostało ci dokładnie tłumaczone, dlaczego...

– Maksymalna dyskrecja nie znaczy nie dotykać – przerwał mu McKie. – Jeżeli jeszcze tak myślisz, to zupełnie nie rozumiałeś wagi...

– McKie, nie mogę uwierzyć, że...

– Skończmy tę rozmowę, Siker – powiedział McKie. – Pomijam drogę służbową i idę za twoimi plecami bezpośrednio do Bildoona, a jego rozkazów już nie będziesz mógł podważać.

Cisza.

– Wyłącz się! – zawołał McKie.

– To nie jest konieczne.

– Niby dlaczego?

– Natychmiast zacznę śledztwo w sprawie Abnethe. Rozumiem o co ci chodzi. Jeżeli założymy że...

– Już założyliśmy – powiedział McKie.

– Rozkazy oczywiście będą wydane w twoim imieniu – powiedział Siker.

– Trzymaj swoje ręce czyste tak, jak ci się podoba – odparł McKie. – Każ komuś zająć się Kosmetykerami ze Steadyonu. Ona tam była, i to niedawno. Przyślę ci też bicz, którego ona...

– Bicz?

– Byłem przed chwilą świadkiem jednego z biczowań. Abnethe zamknęła skokwłaz, kiedy jej Palenki miał jeszcze w nim ramię. Ucięło go jak brzytwą. Palence ramię odrośnie, ona pewnie i tak ma ich jeszcze kilku w zanadrzu, ale w międzyczasie ramię i bicz mogą dostarczyć nam jakichś śladów. Palenki nie mają banków danych genetycznych, ale to wszystko, co w tej chwili mamy.

– Rozumiem. Co jeszcze widziałeś w czasie tego... zajścia?

– Gdybyś mi tyle nie przerywał to już bym ci dawno powiedział.

– Może lepiej przyjdź tu osobiście i złóż sprawozdanie bezpośrednio do transkodera.

– Ty to zrób za mnie. Lepiej będzie, jeżeli się przez jakiś czas nie będę osobiście pokazywał w Centrali.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Jak tylko zrobimy przeciw niej pierwszy krok na drodze sądowej, to na pewno nie ujdzie ci bez powództwa wzajemnego.

– Jeżeli się nie mylę. A teraz wszystko, co widziałem. Kiedy otworzyła właz, to zasłaniała sobą prawie cały otwór, ale widziałem za nią coś, co wyglądało na okno. Jeżeli to było okno, to za nim było widać zachmurzone niebo. To znaczy był dzień.

– Zachmurzone niebo?

– Tak. Czemu?

– U nas od rana są chmury.

– Nie myślisz, że ona... nie, nie odważyłaby się.

– Pewno nie, ale dla pewności przeczeszemy całą Centrum. Jak się ma tyle pieniędzy co ona, to kto wie, kogo da się przekupić.



– Taak... ale wracając do Palenki. Jego pancerz był ozdobiony wzorem, składającym się z trójkątów, czerwonych i pomarańczowych rombów i obiegającego go wokół żółtego paska, czy wężyka.

– Znaki plemienne – powiedział Siker.

– Tak. Ale jakiego plemienia?

– Sprawdzimy to. Co jeszcze?

– W czasie biczowania za jej plecami stała duża grupa różnych istot rozumnych. Pewny jestem, że było kilku Preylingów, widziałem te ich drutowate macki. Zauważyłem też Chithersów, Soboripów, kilku Wreavów...

– Wygląda na zwyczajny tłum pochlebców. Rozpoznałeś kogoś?

– Zobaczę później, czy nie uda mi się kogoś zidentyfikować, ale tak z widzenia, to do nikogo nie potrafię przypasować nazwiska. Chociaż był tam jeden ciekawy Pan Spechi. Jeżeli się nie przewidziałem to był utrwalony.

– Utrwalony w fazie osobowości? Pewny jesteś?

– Wiem tyle co widziałem, a widziałem na jego czole wyraźne blizny – jeśli nie po operacji osobowości, to po czym?

– To przeciwko każdej zasadzie moralnej, prawnej i etycznej Pan Spechi...

– Blizny były purpurowe. Zgadza się, tak?

– I nie krył się z tym? Żadnego makijażu, żadnego nakrycia głowy?

– Nic takiego. O ile się na tym znam, to musiał być jedynym Pan Spechi w tym tłumie. Każdy inny zabiłby go na sam widok.

– Gdzie może być takie miejsce, gdzie jest tylko jeden Pan Spechi?

– Cholera wie. Ach, było też kilku ludzi – zielone mundury.

– Prywatna straż Abnethe.

– Też tak myślałem.

– Wygląda na niezły tłumek. Jak oni wszyscy mogą się ukrywać?

– Jeżeli kogokolwiek na to stać, to na pewno ją.

– Jeszcze jedno – powiedział McKie. – Poczułem zapach drożdży. – Drożdży?

– Jestem pewny. W skokwłazie jest zawsze różnica ciśnienia. Wiało w moją stronę. Drożdże.

– No, to wszystko razem to całkiem niezły pakiecik obserwacji.

– Ja mam zawsze oczy otwarte.

– Jak zawsze dość otwarte. Czy jesteś zupełnie pewny odnośnie tego Pan Spechi?

– Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Podkrążone, poszczególne komórki zacierające się w jedną całość?

– Na to wyglądało.

– Gdyby jakiś inny Pan Spechi tego ptaszka oficjalnie zaobserwował, to by nam to dało pewien atut. Wiesz... podejrzenie o ukrywanie przestępcy.

– Nie wiesz za dużo o Pan Spechich – zauważył McKie. – Jak oni cię zrobili Dyrektorem Dyskrecji?

– W porządku McKie. Nie zaczynajmy teraz...

– Dobrze wiesz, że każdy Pan Spechi by na widok tego gagatka upadł w kompletny szal. Nasz obserwator rzuciłby się przez skokwłaz i...

– No to co?

– A Abnethe by właz zamknęła. No i my byśmy mieli pół naszego obserwatora, a ona drugie pół. Tego chcesz?

– Ale to by już było morderstwo!

– Nieszczęśliwy wypadek, nic więcej.

– To babsko jest faktycznie nieźle ustosunkowane, ale...

– I zedrze z nas pasy, jeżeli uda się jej udowodnić, że jest prywatnym obywatelem, którego my usiłujemy sabotować.

– Co za bajzel! Mam nadzieję, że nie poczyniłaś przeciw niej żadnych oficjalnych kroków.

– Ależ poczyniłem. Jak najbardziej.

– Czyś ty oszalał?

– Kazałem jej złożyć oficjalne zeznania.

– McKie; miałaś zachowywać się z najwyższą dys...

– Słuchaj, Siker. W naszym interesie jest, by ona zaczęła jakieś postępowanie sądowe. Spytaj się adwokatów z Obsługi Prawnej. Może mnie pozwać osobiście z powództwa wzajemnego, ale jeżeli poczyni jakiegokolwiek kroki przeciwko Biuru, to możemy zażądać rozprawy seratori, osobistej konfrontacji. Jej adwokaci ją o tym na pewno poinformują. Nie, ona spróbuje...

– Może nie pozwać Biura do sądu, ale gwarantowanie poszczuje na nas swoje psy. A trudno sobie na to wyobrazić gorszą chwilę. Bildoonowi już się kończy okres osobowości. Lada chwila będzie wracał do gniazda. Wiesz z czym się to wiąże.

– Pozycja Naczelnego będzie do wzięcia – powiedział McKie. – Spodziewałem się tego.

– Tak, ale w międzyczasie będzie tu niezły bałagan.

– Ty jesteś kandydatem na ten stołek, Siker.

– Ty też, McKie.

– Ja pasuję.

– Akurat ci wierzę! Natomiast martwi mnie Bildoon. Krew go zaleje, kiedy usłyszy o tym Pan Spechi z utrwaloną osobowością. To może stać się tą kroplą, która...

– Poradzi sobie z tym – zapewnił McKie, choć sam miał pewne wątpliwości.

– Nie bądź taki pewny. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że ja nie zrezygnuję.

– Wszyscy wiemy, że ostrzysz sobie zęby na tę dyrekturę.

– Już słyszę te wszystkie ploty.

– Warte to tego?

– Kiedyś ci powiem.

– Na pewno.

– Jeszcze jedno – powiedział Siker. – Wiesz, że Abnethe nie da ci teraz odetchnąć. Jak się jej chcesz pozbyć?

– Zostanę nauczycielem.

– Może lepiej mi już tego nie wyjaśniaj – powiedział Siker i wyłączył się.

McKie nadal siedział w skąpanym fioletem wnętrzu Arbuza. Pływał we własnym pocie. Temperatura była jak w piecu. Przyszło mu na myśl, że może trochę tłuszczu roztopi mu się od gorąca. Na pewno straci na wadze przez odparowanie wody. Na myśl o wodzie przypomniał sobie, jak bardzo zaschło mu w gardle.

– Jesteś tu jeszcze? – zachrypiał.

Cisza.

– Franiu?

– Pozostaję w swoim domu – odparła Kaleban.

Fakt, że słyszał te słowa bez słyszenia ich naprawdę, zdenerwował go; spotęgowany efektem rozłazszczacza wywołał wybuch wściekłości. Cholerny Kalebański dureń! To jego poczucie

wyższości! A w jakie tarapaty nas wpędził'.

– Czy masz zamiar z nami współpracować, aby położyć kres tym biczowaniom?

– W zakresie dozwolonym w kontrakcie.

– W porządku. W takim razie zażądaj, żebym został twoim nauczycielem.

– Wykonujesz funkcję nauczyciela?

– Nauczyłaś się czegoś ode mnie? – spytał McKie.

– Wszystkie splątane łączniki dostarczają instruktażu.

– Łączniki – mruknął McKie. – Chyba się zacznę starzeć.

– Wytłumacz starzeć.

– To nieważne. Powinniśmy byli pierwszą rzecz omówić twój kontrakt. Może jest jakiś sposób na zerwanie go. Według jakich praw był zawarty?

– Wytłumacz praw.

– Według jakiego systemu zasad honorowania warunków?

– Naturalny system honorowy łączników istot my ślących.

– Abnethe nie wie co to honor.

– Ja rozumiem honor.

McKie westchnął. – Czy byli świadkowie, podpisy, coś w tym stylu? – spytał.

– Wszyscy towarzysze Kalebanie świadkami łączników. Podpisy niezrozumiałe. Wytłumacz.

McKie zrezygnował z zagłębiania się w zagadnienie podpisów.

– W jakich warunkach mogłabyś odmówić wywiązania się z umowy z Abnethe? – zapytał w zamian.

– Zmiany w warunkach powodują zmienne stosunki. Nie dochowanie przez Abnethe łączników, lub próba redefinicji istoty kontraktu może wywołać linijność otwierającą przede mną możliwość wyplątania się.

– No tak – powiedział McKie. – Powiniennem się być tego spodziewać.

Kręcąc głową w geście rezygnacji, zagapił się w pustkę nad olbrzymią łyżką. Kalebany! Nie da się ich zobaczyć, nie da usłyszeć, a już z pewnością nie da zrozumieć.

– Czy ja mogę korzystać z twojego systemu G'oka? – spytał.

– Wykonujesz funkcję mojego nauczyciela.

– Czy to znaczy tak?

– Odpowiedź potwierdzająca.

– Odpowiedź potwierdzająca – powtórzył McKie jak echo. – Dobra. Czy mogę też prosić cię o wysyłanie różnych rzeczy tam, gdzie będę chciał?

– Dopóki łączniki będą oczywiste.

– Mam nadzieję, że miałaś na myśli to, co miałaś na myśli – mruknął do siebie McKie. – Czy wiesz, że tam na podłodze leży ramię Palenki, razem z biczem? – wskazał brodą w kierunku nieruchomego już przedmiotu.

– Wiem.

– Chciałbym je wysłać do pewnego pomieszczenia na Centum. Możesz to dla mnie zrobić?

– Myśl o pomieszczeniu – powiedziała Kaleban. McKie wykonał polecenie.

– Łączniki dostępne – powiedziała Kaleban. – Pragniesz wysłać do miejsca badań.

– Masz rację.

– Wysłać teraz?

– Od razu.

– Razu, tak. Raz. Wielokrotne wysyłanie pozostaje poza naszymi możliwościami.

– Że co?

– Przedmioty wysłane. Ramię i bicz zniknęły w mgnieniu oka z głośnym trzaskiem eksplodującego powietrza.

– Czy Taprisjoci działają na zasadach podobnych do tego, jak ty przenosisz przedmioty? – spytał McKie.

– Przekazywanie wiadomości niewielki poziom energii – odpowiedziała Kaleban. – Kosmetykerzy jeszcze mniejszy.

– Tak też myślałem – powiedział McKie. – Ale mniejsza o to. Mamy mały problem z Alichino Furuneem, moim przyjacielem. Wysłałaś go do domu, prawda?

– Tak jest.

– Wysłałaś go nie do tego domu, co trzeba.

– Stworzenia posiadają tylko jeden dom.

– My możemy mieć więcej niż jeden dom.

– Ale obserwowałam łączniki!

McKie'iem zatrzęsł powiew sprzeciwu ze strony Kalebana. Szybko się opanował.

– Bez wątplenia – powiedział – ale on ma drugi dom, tu na Serdeczności. .. – Wypełnia mnie zdziwienie.

– Nie wątpię. Ale nadal mamy problem. Czy możesz te. sytuację naprawić?

– Wytłumacz sytuację.

– Czy możesz wysłać go do jego domu, tu na Serdeczności? Nastąpiła krótka cisza.

– To miejsce nie jego dom – powiedziała w końcu Kaleban.

– Ale czy możesz go tam wysłać?

– Pragniesz tego?

– Pragnę tego.

– Twój przyjaciel rozmawia przez Taprisjota.

– Ach – powiedział McKie – słyszysz tę rozmowę?

– Treść rozmowy niedostępna. Łączniki widoczne. Posiadam świadomość, że twój przyjaciel oddaje się wymianie poglądów z istotą rozumną innej rasy.

– Jakiej rasy?

– Tej, którą wy nazywacie Pan Spechi.

– Co się stanie, jeśli teraz, w tej chwili, wyślesz Furunea do... jego domu na Serdeczności?

– Zerwanie łączników. Ale wymiana poglądów dochodzi do konkluzji w tej linijności. Wysłałam go. Gotowe.

– Wysłałaś go?

– Przecież przekazałaś łączniki.

– Jest już tu, na Serdeczności?

– Zajmuje miejsce w nie jego domu.

– Mam nadzieję, że się rozumiemy – mruknął McKie.

– Twój przyjaciel – powiedziała Kaleban – pragnie z tobą obcować.

– Chce tu przyjść?

– Tak jest.

– Dobrze, czemu nie? Przyślij go tu.

– Jaka korzyść powstaje z obecności twojego przyjaciela w moim domu?

– Chcę, żeby został tu z tobą i uważał na Abnethe, podczas gdy ja będę się zajmował innymi sprawami.

– McKie?

-Tak?

– Czy posiadasz świadomość, że obecność twoja i tobie podobnych przedłuża ingerencję mojej osoby w waszej fali.

– Nie szkodzi.

– Twoja obecność skraca bicowanie.

– Spodziewałem się tego.

– Spodziewałeś?

– Rozumiem!

– Zrozumienie prawdopodobne. Łączniki wskazujące.

– Nawet sprawy sobie nie zdajesz, jaką mi to sprawia przyjemność – zakpił McKie.

– Pragniesz przybycia przyjaciela?

– A co on teraz robi?

– Furuneo wymienia zdania z... podwładnym.

– Wyobrażam sobie.

McKie pokręcił głową w rozpacz. Przy każdej próbie porozumienia się, grzął w bagnie nieporozumień. W żaden sposób nie dawało się tego uniknąć. W żaden sposób. W momencie kiedy wydawało się, że wreszcie się dokładnie zrozumieli okazywało się, że w ogóle nie wiadomo o czym to drugie mówi.

– Kiedy Furuneo zakończy tę rozmowę, przyślij go tutaj

– powiedział McKie. Z powrotem przysiadł pod ścianą. Wielcy bogowie! Gorąco było już nie do zniesienia. Czemu Kalebany potrzebowały takiej temperatury? Może ciepło było czymś innym dla Kalebanów, na przykład jakimś widocznym promieniowaniem, koniecznym z jakichś niewyobrażalnych powodów.

McKie'emu wydawało się że oddaje się wymianie bezwartościowych hałasów, dźwięków-cieni. Brakowało w tym sensu, jakby rozsądek ich całkiem opuścił. Zawierali z Kalebanem błędne umowy, próbując wydostać się z tego chaosu. Jeśli im się to nie uda, śmierć zabierze zarówno niewinnych, jak i grzeszników, dobrych i złych, wszystkich. Puste statki będą dryfować po nieprzeliczonych oceanach, wieże runą, zawałą się balkony, a słońca będą się przesuwać po opustoszałych niebach.

Niespodziewany powiew stosunkowo chłodniejszego powietrza oznajmił pojawienie się Furunea. McKie odwrócił się na pięcie, zobaczył Furunea rozciągniętego jak długi na podłodze, właśnie zaczynającego się zbierać.

– Na wszystkie świętości, McKie – jęknął Furuneo. – Co ty ze mną robisz?

– Potrzebowałem świeżego powietrza – powiedział McKie.

– Że co? – Furuneo spojrział na niego spod oka.

– Miło mi cię widzieć.

– Miło ci, co? – Furuneo podniósł się do kucek obok McKie'ego. – Czy masz w ogóle pojęcie co się ze mną działo?

– Byłeś na Landy-B – odpowiedział McKie.

– Skąd wiesz? Maczałeś w tym palce?

– To tylko lekkie nieporozumienie. Landy-B to twój dom.

– Absolutnie nie!

– Możesz się o to kłócić z Franią – powiedział McKie.

– Zacząłeś już poszukiwania na Serdeczności?

– Ledwie zdążyłem wydać rozkazy, kiedy ty...

– Dobrze, dobrze. Zacząłeś?

– Zacząłem.

– W porządku. Frania będzie cię o wszystkim informować i będzie ci tu dostarczać twoich ludzi, żeby mogli ci składać sprawozdania i tak dalej, czego tylko będziesz potrzebował. Musisz ją tylko poprosić. Zgoda, Franiu?

– Łączniki pozostają dostępne. Kontrakt zezwala.

– Dzięki.

– Cholera, prawie już zapomniałem, jak tu gorąco – Furuneo otarł pot z czoła. – Więc mogę tu wzywać swoich ludzi. Jeszcze coś?

– Uważaj na Abnethe.

– To wszystko?

– Jak tylko się tu pojawi z jednym ze swoich biczących Palenków, to sholograruj wszystko co się będzie dziać. Masz swój narzędziownik?

– Oczywiście.

– W porządku. Gdy będziesz holografować, postaraj się podejść ze swoimi instrumentami jak najbliżej do skokwłazu.

– Pewnie i tak go zamknie, jak tylko się zorientuje, co robię.

– Nie bądź taki pewny. Ach, jeszcze jedno.

– Tak?

– Jesteś teraz pomocnikiem nauczyciela.

– Co takiego?

McKie wytłumaczył mu szczegóły kontraktu Abnethe z Kalebanem.

– Więc nie będzie się nas mogła pozbyć bez naruszenia warunków kontraktu z Franią – powiedział Furuneo. – Nieźle to wymyśliłeś – wydał wargi. – To wszystko?

– Jeszcze nie. Chcę, żebyś z Franią przedyskutował łączniki.

– Łączniki?

– Łączniki. Postaraj się zorientować co takiego, do stu tysięcy wściekłych diabłów, Kalebany rozumieją pod pojęciem łączników.

– Łączniki – powtórzył Furuneo. – Czy da się tu jakoś przykręcić ogrzewanie?

– Tego możesz się też spróbować dowiedzieć. A przy okazji dowiedz się co wywołuje taką temperaturę.

– Jeżeli wcześniej się nie roztopię. A gdzie ty będziesz?

– Na polowaniu – Jeżeli dogadam się z Franią na temat łączników.

– O czym ty mówisz?

– No, może nie na polowaniu, ale w każdym razie postaram się wpaść na jakiś trop, jeżeli uda mi się namówić Franię, żeby mnie wysłała tam gdzie jest zwierzyna.

– Uważaj – powiedział Furuneo – żebyś nie wpadł w pułapkę.

– Może nie wpadnę. Franiu, słuchasz nas?

– Wytłumacz słuchać.

– To bez znaczenia.

– Ale znaczenie zawsze jest!

McKie zamknął oczy i przełknął ślinę.

– Franiu – powiedział, czy zrozumiałaś wymianę zdań, która właśnie się odbyła pomiędzy mną i moim towarzyszem?

– Wytłumacz odby...

– Zrozumiałaś? – ryknął McKie.

– Nagłośnienie przyczynia się bardzo niewiele do zrozumienia – powiedziała Kaleban. –

Posiadam żądane zrozumienie – prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie – mruknął McKie. – Czy możesz wysłać mnie gdzieś w pobliże Abnethe, tak żeby ona nie odkryła mojej obecności, ale żeby ją ją widział?

– Nie.

– Czemu?

– Wyraźne zabronienie kontraktowe.

– W porządku – McKie się zamyślił. – Wobec tego czy możesz mnie wysłać w takie miejsce, z którego będę ją mógł odnaleźć przy pewnym wysiłku z mojej strony?

– Może. Pozwól na zbadanie łączników.

McKie czekał cierpliwie. Gorąco wewnątrz Arbuza przytłaczało go niemal fizycznie, jakby posiadało własną, wyczuwalną materię. Zauważył, że Furuneo zaczynał już więdnąć w tym upale.

– Spotkałem się ze swoją matką – powiedział Furuneo, zauważywszy, że McKie mu się przygląda.

– Świetnie.

– Była właśnie w basenie razem z grupką przyjaciół, kiedy Kaleban mnie tam wrzucił. Woda była wspaniała.

– Pewnie nieźle się zdziwili.

– Myśleli, że to świetny kawał. Ciekawy jestem, na jakiej zasadzie działa ten system G'oka.

– Ciekawych są miliardy. Na samą myśl o energii jakiej to musi wymagać, przechodzą mnie dreszcze.

– Chętnie bym teraz podrgał z zimna. Wiesz, to strasznie dziwne uczucie. Stoisz i gadasz do starych znajomych i nagle paf i wydzierasz gębę w pustym pokoju, tu na Serdeczności. Ciekawe, co oni sobie o tym musieli pomyśleć.

– Pomyśleli sobie, że to czary.

– McKie – powiedziała Kaleban – kocham cię.

– Co? – zakrztusił się McKie.

– Kocham cię – powtórzyła Kaleban. – Sympatia jednej osoby do drugiej. Takie uczucie jest ponadrasowe.

– Może tak, ale...

– Ponieważ posiadam tę sympatię do ciebie, łączniki są otwarte, zezwalając na wypełnienie twojej prośby.

– Możesz wysłać mnie w pobliże Abnethe?

– Tak jest. Wypełniam z przyjemnością. Tak.

– A gdzie to jest? – zapytał McKie.

Zauważył, owiany nagle zimnym powietrzem, uderzając całym ciałem o zakurzoną ziemię, że zwraca to pytanie do obrośniętego mchem kamienia. Ogłupiały, przyglądał mu się przez chwilę, próbując przyjść do siebie. Kamień, około metra wysoki, pocięty był białozłotymi żyłkami kwarcu i upstrzony maleńkimi płatkami czegoś błyszczącego, w czym odbijało się stojące wysoko nad horyzontem żółte słońce. Wokół rozciągała się otwarta łąka. Z pozycji słońca McKie wywnioskował, że musiał być późny ranek.

Dalej, za kamieniem, za łąką i otaczającym ją kręgiem nastroszonych krzaków, rozciągał się piaski horyzont, przzerwany jedynie wysokimi, błyszczącymi bielą iglicami odległego miasta.

– Kocha mnie? – zwrócił się do kamienia.

Nigdy nie lekceważ tego, jak nadzieja potrafi przetworzyć to, co oczy widzą a uszy słyszą.  
Akta Sprawy Abnethe, Tajne Akta BuSabu

Kiedy bicz i ramię Palenki przybyły do odpowiedniego laboratorium BuSabu, nie było w nim nikogo. Kierownik laboratorium, wysoki, przygarbiony Wreave, weteran BuSabu nazwiskiem Treej Tuluk, brał wówczas udział w zebraniu zwołanym w związku z ostatnimi rewelacjami przyniesionymi przez McKie'ego.

Jak większość garbatych Wreawów, Tuluk był id-zapachowcem. Miał zupełnie przeciętną jak na Wreawa budowę – dwa i pół metra wysokości, walcowate kształty, był dwunożny, z pionowo otwierającą się pokrywą twarzy, uwieńczonej w dolnej części zestawem organów chwytnych. Przebywając od lat z humanoidami nauczył się chodzić szybko, z głową pochyloną do przodu, ubierać w stroje pełne kieszeni i mówić bardzo nietypowym dla Wreawów tonem pełnym cynizmu. Jego zielone oczy, umieszczone na końcach czterech macek wieńczących czubek otworu pokrywy twarzowej, miały nadzwyczaj łagodny wyraz.

Wchodząc do laboratorium po zebraniu, natychmiast rozpoznał z opisu Sikera leżące na podłodze przedmioty. Początkowo oburzony niedbałością doręczyciela eksponatów, szybko pograżył się całkowicie w badaniach. Wezwani współpracownicy pomogli mu w wykonaniu kompletu holografii, zanim bicz został oddzielony od zaciśniętej na nim dłoni.

Jak się tego spodziewali, struktura genetyczna ramienia Palenki nie pasowała do żadnych danych dostępnych w Biurze. Nie pochodziło ono od żadnego z Palenków, których DNA zostało zarejestrowane w kartotekach Konfederacji Ras Rozumnych. Tulukjednak sporządził szczegółowy grafik DNA pobranego z ramienia. Mógł się on kiedyś przydać do zidentyfikowania właściciela odciętego ramienia, gdyby wpadł im w ręce.

Równocześnie toczyły się badania bicza. Raport rzeczowy, podany przez komputer, zidentyfikował go jako „Bicz, kopia antycznych biczków z planety Ziemia”. Był wykonany z byczej skóry, co wywołało u Tuluka i jego asystentów wegetarian moment obrzydzenia – spodziewali się, że będzie syntetyczny.

Jeden z pracowników laboratorium nazwał go „nieapetycznym archaizmem”. Wszyscy pozostali, nawet jeden Pan Spechi, którego cykl gniazdowy wymagał czasowego powrotu do formy mięsożernego drapieżnika, zgodzili się z tym określeniem.

Niecodzienna struktura niektórych cząsteczek komórek, ułożonych w równoległe szeregi, zwróciła uwagę pracowników laboratorium. Badania ramienia i bicza posuwały się naprzód, każde w swoim tempie.

Me ma czegoś takiego jak czysty obiektywizm.

Przysłowie Gowachinów

McKie nie przeszedł jeszcze trzech kilometrów szutrową drogą, kiedy nadeszło do niego połączenie zamiejskowe. Szedł piechotą, coraz bardziej zirytowany dziwną okolicą. Miasto, jak się dość szybko okazało, było jedynie fatamorganą zawieszoną nad zakurzoną równiną pokrytą cherlawą trawą i kolczastymi krzakami.

Na równinie panowało gorąco niewiele mniejsze od tego, którego doświadczył wewnątrz Kalebańskiego Arbuza.



Jedynymi oznakami życia jakie do tej pory napotkał, było kilka burych zwierzątek i niezliczone rzesze owadów – latających, skaczących i pełzających gdzie okiem sięgnąć. Na rdzawej drodze, koloru starego żelastwa, wyraźnie rysowały się dwie równoległe koleiny. Zdawała się ona wychodzić gdzieś spośród odległego pasma niebieskawych pagórków po prawej i ciągnęła się przez całą równinę, by zniknąć za zakurzonym i rozedrganym od gorąca horyzontem po lewej. Droga była absolutnie pusta, nawet żadna chmura kurzu w oddali nie oznajmiała obecności innego podróżnika.

McKie przyjął nadejście chichotransu prawie z ulgą.

– Tutaj Tuluk – usłyszał. – Powiedzieli mi, żebym się z tobą skontaktował, jak tylko będę coś wiedzieć. Mam nadzieję, że nie przerywam ci niczego ważnego.

– Mów – odpowiedział McKie, zawsze odnoszący się do Tuluka z szacunkiem, jak czeladnik pełen uznania dla sztuki mistrza.

– Nie mam wiele na temat ramienia. Oczywiście to ramię jakiegoś Palenki. Jeżeli kiedykolwiek dostaniemy jego właściciela, to będziemy w stanie go zidentyfikować. To ramię już jest odrostem, wygląda na to że poprzednie zostało odcięte jakimś ostrym narzędziem, może mieczem, jeszcze jest blizna.

– Cokolwiek na temat znaków plemiennych?

– Jeszcze to sprawdzamy.

– A bicz?

– To zupełnie co innego. Jest z byczej skóry. Prawdziwej byczej skóry.

– Prawdziwej?

– Bez wątplenia. Moglibyśmy zidentyfikować jej właściciela, choć nie sądzę, by jeszcze się gdzieś pasł.

– Masz makabryczne poczucie humoru. Jeszcze coś?

– Sam bicz to następny archaizm, zrobiony w stylu tych jakie kiedyś były na Ziemi. Określił to komputer, ale sprowadziliśmy też eksperta z muzeum. Myślał, że wykonanie jest nieco prymitywne, ale nie miał wątpliwości, że to kopia autentycznego bicza z Ziemi. Na dodatek stosunkowo niedawno wykonana.

– Gdzie mogli znaleźć taki bicz do skopiowania?

– Sprawdzamy to, bo może nas to naprowadzić na jakiś ślad. Tych bieży nie ma na świecie zbyt wiele.

– Niedawno wykonany – powiedział McKie. – Jesteś pewny?

– Zwierzę, z którego ta skóra została zdarta, zostało zabite nie więcej niż dwa standardowe lata temu. Struktura wewnątrzkomórkowa nadal reaguje na katalizację.

– Dwa lata! Skąd wzięli prawdziwego byka?

– To dość zawęża pole poszukiwań. Trochę ich służy jako rekwizyty w różnych ośrodkach mediów rozrywkowych i tym podobnych. Kilka prowincjonalnych planet, które nie mają jeszcze technologii pseudomięsa, hoduje je do jedzenia.

– Im bardziej w tę sprawę wchodzimy, tym bardziej wydaje się zagmatwana – zauważył McKie.

– Nam też się tak wydaje. Acha, jeszcze jedno. Na biczu jest pył czalfowy.

– Czalf! To stąd ten zapach drożdży!

– Tak, dalej pachnie dość mocno.

– A cóż oni mogliby zrobić z taką ilością proszku szybkoopisowego? – spytał McKie. – Nigdzie tam nie widziałem czalfowej laski pamięciowej, ale to oczywiście niczego nie dowodzi.

– To tylko hipoteza, ale kto wie? Ten znak plemienny na Palence mógł być zrobiony czalfopisem.

- Po co?
- Żeby zataić jego przynależność plemienną?

– Może.

- Jeżeli poczułeś czalf, kiedy bicz się pojawił w skok-włazie, to musiało go być dość dużo.

Zastanawiałeś się nad tym?

- Pomieszczenie było małe i bardzo gorące.

– Tak... wysoka temperatura może to tłumaczyć. Przykro mi, że jeszcze nie mamy dla ciebie nic więcej.

- To wszystko?

– Nie wiem, czy ci się to do czegokolwiek przyda, ale ten bicz musiał kiedyś wisieć na drucie stalowym.

- Stalowym? Jesteś pewny?

– Absolutnie.

- Kto jeszcze używa stali?

– Stal nie jest aż tak rzadka na niektórych, co nowszych planetach. Mamy w rejestrach nawet takie, na których używają stali w budownictwie.

- Aż trudno uwierzyć!

– Właśnie.

- Wiesz co? Mówimy o prowincjonalnych planetach, a ja chyba na takiej właśnie jestem.

- A gdzie jesteś?

– Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia?

McKie wytłumaczył swoją obecną sytuację.

- Czy ty czasem nie idziesz na zbyt duże ryzyko?

– To moja praca.

– Nosisz lokalizator. Mogę kazać temu Taprisjotowi cię zlokalizować. Powołać się na klauzulę lokalizacyjną?

– Wiesz ile to może kosztować – odpowiedział McKie. – Nie jest ze mną jeszcze tak źle, żebym musiał ryzykować bankructwem Biura. Postaram się najpierw zidentyfikować tę planetę w jakiś inny sposób.

- To co ja mam teraz robić?

– Skontaktuj się z Furuneem. Niech mi da jeszcze sześć godzin, a potem niech Kaleban mnie stąd zabierze.

– Może cię tak o po prostu zabrać? Siker mówił, że masz jakiś bezwłazowy system G'oka. To prawda? Może cię zabrać skąd chcesz?

- Tak mi się wydaje.

– Dobra. Już dzwonię do Furunea.

*Te same fakty mogą dla każdego znaczyć coś innego. Uczy nas tego teoria względności.*

**Instrukcja BuSabu**

Po dalszych dwóch godzinach marszu McKie zobaczył cieniutkie spirale szarego dymu, unoszące się na tle odległych, niebieskawych wzgórz.

Podczas marszu przyszło mu do głowy, że być może znalazł się na planecie, na której przyjdzie mu umrzeć z pragnienia lub głodu, zanim natrafi na jakikolwiek ślad cywilizacji. Ogarnęło go

przygnębie, wyrzucał sobie, że to nie pierwszy raz zdarza mu się, że jakiś błąd w maszynierii, której działanie przyjmuje tak bezkrytycznie, może okazać się dla niego śmiertelny.

Ale w maszynierii jego własnego umysłu? Wściekły był sam na siebie za tak bez troskie użycie kalebańskiego systemu G'oka w sytuacji, kiedy świetnie wiedział, że niczego co mówi Kaleban nie można brać dosłownie, ani nie można liczyć, że zrozumie co się do niego mówi.

Na piechotę!

Komu mogłoby przyjść do głowy, że będzie trzeba szukać schronienia na piechotę?

McKie uświadomił sobie, jak bardzo istoty rozumne były uzależnione od maszyn. Wieczne poleganie na nich mogło stać się poważnym problemem, gdy niespodziewanie trzeba było zacząć polegać tylko na własnych, zwiotczałych mięśniach.

Tak jak właśnie teraz.

Zdawało mu się, że zbliża się coraz bardziej do unoszącego się ponad równiną dymu, choć pagórki nadal były tak samo odległe.

Na piechotę.

Ale się wrobił! Mając do wyboru cały wszechświat, czemu Abneth wybrała to idiotyczne miejsce do prowadzenia swojej brudnej gry? O ile w ogóle to stąd ją prowadziła. O ile Kaleban znowu czegoś źle nie zrozumiał.

Miłość zawsze potrafi znaleźć drogę. Ale cóż, u diabła, miłość ma z tym wspólnego?

McKie mozolnie wędrował dalej, zły, że nie pomyślał, żeby zabrać ze sobą choć trochę wody. Najpierw ukrop w Arbuzie, a teraz to. W gardle zaschło mu na kość. Droga się kurzyła. Każdy krok podnosił chmury różowawego kurzu spod nóg. Kurz, lekko zatęchły w zapachu, zatykał mu nos i gardło.

Namacał narzędziownik w kieszeni marynarki. Miotacz mógłby wypalić wąską dziurę w tej spalonej na pieprz ziemi, może nawet aż do wody, ale i tak nie miałyby jej jak stamtąd wydostać. Skąd tu zdobyć choćby kapkę wody?

Owadów za to nie brakowało. Bzyczały zataczając mu kręgi wokół głowy, pełzały wzdłuż krawędzi drogi, lądowały na jego nieosłoniętej skórze. W końcu wyjął pistolet ogłuszający, ustawił go na minimalny ogień i niósł przed sobą, kołysząc nim jak wachlarzem, zostawiając za sobą chmury drgających na zakurzonej drodze owadów.

Stopniowo do jego świadomości zaczęło dochodzić coraz wyraźniejsze dudnienie, jakby ktoś głośno walił w coś pustego i twardego. Dochodziło z tego samego kierunku, w którym widać było smugi dymu.

Mogło to być jakieś zjawisko naturalne, powiedział sobie. Może jakieś dzikie zwierzęta. Może trawy płonęły od uderzenia piorunem. Ale dla pewności wyjął z narzędziownika miotacz i włożył go do bocznej kieszeni marynarki, skąd mógłby go w razie potrzeby szybko wyciągnąć.

Dudnienie stawało się coraz głośniejsze, skokowo, jakby je pogłaśniano za każdym razem, co przebył jakiś odcinek drogi. Kolczaste zarośla i lekko sfałdowana rzeźba terenu nadal zasłaniały jego źródło.

Ciągle trzymając się drogi, McKie podszedł pod lekkie wzniesienie.

Przejmował go smutek. Był rozbitkiem na jakiejś zabitej deskami planecie, na samą myśl o której dostawał dreszczy. Został aktorem w bajce z morałem, w bajce w której nawet wróżki miały podcięte skrzydła. Był wyczerpanym wędrowcem z gardłem jak podeszwa, spalonym na popiół. Przepelniała go udręka. Podążał za osamotnionym, mozolnym snem, który mógł się całkowicie rozwiać w przebudzeniu wywołanym tragicznym końcem jednego Kalebana.

Przytłaczała go wizja straszliwego żniwa, które mogła przynieść śmierć Kalebana.

Uświadamiało mu to, jakim był pyłkiem w materii wszechświata, obdzierało z resztek radości życia. W tej kolosalnej pożodze jego śmierć byłaby jak jeden samotny trzask płonącej gałązki.

McKie potrząsnął głową, odpędzając takie myśli. Strach mógł go pozbawić całego rozsądku. Na to sobie nie mógł pozwolić.

Jednego był pewny, słońce zbliżało się do zachodu. Od kiedy wyruszył w tę idiotyczną drogę, opadło znacznie bliżej horyzontu.

Co, do diabła, znaczyło to cholerne dudnienie? Oblewało go, jakby unoszone na falach gorąca, monotonne, nieustanne. W jego takt zaczynało mu pulsować w skroniach – bum, bum, bum...

McKie zatrzymał się na grzbiecie wzniesienia. Poniżej niego rozciągała się rozległa, płytka niecka, oczyszczona z zarośli. Pośrodku, kolczaste ogrodzenie otaczało około dwudziestu stożkowatych, glinianych chat z dachami pokrytymi trawą. Dym wydobywał się krętymi wstęgami z otworów w dachach i z palenisk umieszczonych opodal niektórych chat. Na trawiastym dnie niecki pasło się bydło, od czasu do czasu unosząc wielkie pyski pełne zwisających jak rzadkie brody długich traw.

Stad pilnowali czarnoskórzy młodzieńcy dźwigający długie drągi. Grupy czarnoskórych mężczyzn, kobiet i dzieci wykonywały najrozmaitsze czynności wewnątrz otoczonej kolczastym płotem osady.

Widok ten dziwnie zaniepokoił McKie'ego, który miał wśród swoich przodków Murzynów z planety Caoleh. Dotknął on jakiejś genetycznej pamięci, która zadrgała złym rytmem. Gdzie we współczesnym świecie ludzie mogli być zdegradowani do życia w tak prymitywnych warunkach? Rozciągająca się przed nim niecka wyglądała jak zdjęta z obrazka w podręczniku o zamierzchłych czasach na planecie Ziemi.

Większość dzieci i niektórzy mężczyźni byli całkiem nadzy. Kobiety nosiły spódniczki z trawy.

Czy mógł to być jakiś dziwny powrót do natury? McKie nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nagość sama w sobie mu szczególnie nie przeszkadzała, a jedynie ta kombinacja nagości z prymitywizmem.

Wąska ścieżka wiodła w dół zagłębienia, przez otwór w kolczastym ogrodzeniu, by wyjść drugą jego stroną, wspiąć się na przeciwległe wzgórze i w końcu zniknąć za jego grzbietem.

McKie ruszył w dół. Miał nadzieję, że w wiosce znajdzie wodę.

Dudnienie dochodziło z wnętrza dużej chaty blisko środka osady. Tuż obok stała dwukółka zaprzęzona w cztery wielkie, rogate bestie.

Podchodząc, McKie przyglądał się dwukółce. Pomiędzy jej wysokimi burtami piętrzyły się najrozmaitsze przedmioty – jakieś płaskie, deskowate sprzęty, bale jaskrawego materiału, długie drągi zwieńczone ostrymi, metalowymi nasadkami.

Bębnienie ustało i McKie uświadomił sobie, że został zauważony. Dzieci rozproszyły się z wrzaskiem wśród chat, wskazując go palcami. Dorośli odwracali się z powolną godnością, przyglądając mu się z uwagą.

Nad całą wioską zapanowała dziwna cisza.

McKie wszedł przez otwór w ogrodzeniu. Pozbawione wyrazu czarne twarze obracały się, śledząc jego przejście przez wioskę. Do nozdrzy dochodziły mu tale smrodu przenikającego osadę – gnijącego mięsa, łajna, dymu, spalenizny, całe plejady kwaśnych, ostrych zapachów, których pochodzenia wołał nie próbować się nawet domyślić.

Chmury czarnych owadów, ignorując leniwie oganiające je ogony, osiadały na zaprzęzonych do dwukółki zwierzętach.

Biały, rudobrody mężczyzna wyszedł z dużej chaty na spotkanie McKie'ego. Na głowie nosił

kapelusze z płaskim rondem, resztę jego stroju dopełniała zakurzona kurtka i brązowe spodnie. W rękę trzymał bicz podobny do tego, który McKie widział już w obciętym ramieniu Palenki w Arbuzie. Ten widok upewnił go, że znalazł się we właściwym miejscu.

Mężczyzna stał w drzwiach, świdrując McKie'ego parą złośliwych oczu – złowroga postać o cienkich, zaciśniętych wargach widocznych spod rudej brody. Oderwał na chwilę wzrok, tylko po to by skinąć na kilku czarnych mężczyzn po lewej McKie'ego. Wykonał ręką gest w kierunku dwukółki i z powrotem poświęcił swoją uwagę zbliżającemu się agentowi.

Dwóch wysokich Murzynów podeszło do bestii zaprzężonych do wózka.

McKie przyjrzał się dokładnie zawartości wózka. Deskowate przedmioty były rzeźbione i malowane w dziwne wzory. Przypominały mu pancerze Palenków. Trochę niepokoił go sposób w jaki przyglądali mu się dwaj stojący przy wózku mężczyźni. Doświadczenie ostrzegało go o ich wrogim nastawieniu. Zaciśnął prawą dłoń na ukrytym w kieszeni marynarki miotaczu. Widział i czuł przez skórę, jak czarnoskórzy mieszkańcy wioski otaczali go od tyłu. Jego plecy wydawały mu się straszliwie nieosłonięte i narażone na niebezpieczeństwo.

– Jestem Jorj X. McKie, Nadzwyczajny Sabotażysta – powiedział zatrzymując się jakieś dziesięć kroków od rudobrodego mężczyzny. – A kto ty jesteś?

Mężczyzna splunął na zakurzoną ziemię i powiedział coś, co zabrzmiało jak „Getnabent”.

McKie przełknął ślinę. Nie rozpoznał języka mężczyzny. Dziwne, pomyślał. Wydawało mu się, że w Konfederacji nie ma języków, których nie potrafiłby rozpoznać. Może to była jakaś nowa, nieznaną planetą.

– Jestem tu na oficjalnej misji z Biura – powiedział. – Podaję to wszystkim do wiadomości – dodał, by formalności stało się zadość.

– Kauderuelsz – wzruszył ramionami mężczyzna.

– KrauFikido – powiedział ktoś za plecami McKie'ego.

Brodaty mężczyzna spojrział w kierunku, z którego doszedł głos. z powrotem zwrócił wzrok na McKie'ego.

McKie przeniósł swoją uwagę na bicz. Jego koniec spoczywał na ziemi. Zauważywszy spojrzenie McKie'ego, mężczyzna szybkim ruchem nadgarstka poderwał koniec bicza, chwycił go w dwa palce, podczas kiedy pozostałymi nadal trzymał rączkę. Cały czas nie spuszczał wzroku z McKie'ego.

Niedbała wprawa w tym ruchu przeszła McKie'ego dreszczem.

– Skąd masz ten bicz – zapytał.

– Pitsch – odpowiedział mężczyzna, spojrzawszy na trzymany w rękę przedmiot. – Brauzenbulla.

McKie podeszedł bliżej, wyciągnął rękę po bicz.

Brodaty mężczyzna pokręcił przecząco głową. McKie nie miał wątpliwości co do znaczenia tego gestu.

– Majkeli – mężczyzna zastukał końcem rękojeści bicza w burtę wózka, kiwnął głową w kierunku spiętrzonego na nim ładunku.

McKie ponownie przyjrzał się przedmiotom na dwukółce. Bez wątplenia ręczna robota. Wiedział, że wyroby ezoteryczne i dekoracyjne mogą przynosić duże zyski. Ręcznie wykonywane, jedyne w swoim rodzaju przedmioty zaspokajały pragnienia zbieraczy znudzonych masową, niekończącą się reprodukcją praktycznych, seryjnych wyrobów zautomatyzowanych fabryk. Jeżeli te przedmioty były wykonywane w tej wiosce, to wszystko razem wyglądało mu na pracę niewolniczą. Albo pańszczyźnianą, co w praktyce było prawie tym samym.

Gra Abnethe może nabierała coraz bardziej zdegenerowanych kolorów, ale jej motywy stawały się bardziej zrozumiałe.

– Gdzie jest Mliss Abnethe? – spytał.

Wrażenie, jakie to pytanie wywołało było piorunujące. Mężczyzna poderwał głowę do góry, świdrując McKiego przeszywającym wzrokiem. Z otaczającego ich tłumu wyrwał się niezrozumiały okrzyk.

– Abnethe? – powtórzył McKie.

– Sjiuss Abnethe – odpowiedział mężczyzna. Tłum wokół nich zaczął skandować: – Epah Abnethe! Epah Abnethe! Epah Abnethe!

– Rujk! – krzyknął brodaty mężczyzna. Skandowanie się urwało jak nożem uciętym.

– Jak się nazywa ta planeta? – spytał McKie. Rozglądając się po gapiących się na niego czarnych twarzach. – Gdzie jesteśmy?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

McKie spojrzał prosto w oczy brodatemu mężczyźnie. Ten nie odwrócił wzroku, wpatrywał się w McKie'ego drapieżnie, z wyrachowaniem. Skinął głową, jakby nagle podjął jakąś decyzję.

– Diispong – powiedział.

McKie zmarszczył brwi, zaklął pod nosem. W tej cholernej sprawie z nikim się nie można było dogadać! Ale to, co tu widział, wystarczało mu, aby zażądać pełnego dochodzenia przez policję. Nie trzyma się ludzi w tak prymitywnych warunkach. Abnethe musiała w tym maczać palce. Bicz, reakcja na jej imię – to były pewne dowody. Cała wioska śmierdziała ręką Abnethe. McKie zauważył blizny na ramionach i piersiach niektórych mężczyzn. Od bicia? Jeżeli tak, to nawet wszystkie pieniądze Abnethe nie mogłyby już jej nic pomóc. Nawet jeżeli znowu skończy się tylko na następnym leczeniu warunkującym, to na pewno tym razem będzie ono znacznie dokładniejsze...

Coś nagle boleśnie eksplodowało o tył głowy McKie'ego, rzucając nim do przodu. Brodaty mężczyzna podniósł rękojeść bicia i McKie ujrzał jak pędzi ona w jego kierunku. Spotkanie to oblało go olbrzymią, trzeszczącą ciemnością, w którą zapadał się głębiej i głębiej. Rozpaczliwie próbował wyciągnąć miotacz z kieszeni, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Zrobił jeszcze jeden chwiejny krok do przodu, ale miękkie nogi nie chciały go dalej nieść. Widział wszystko jakby przez krwawą mgłę.

Poczuł następne uderzenie w tył głowy.

Utonął w koszmarną nicość. Ostatnią jego myślą było, że jeżeli umrze, to gdzieś jakiś Taprisjot poderwie się na sygnał wysłany przez jego monitor życia i wyśle ostatnie sprawozdanie na temat agenta BuSabu Jorja X. McKie.

Dużo mi to pomoże, zdążył jeszcze pomyśleć, nim otoczyła go całkowita ciemność.

*W jaki sposób zmuszam cię do poddaństwa? Za każdym razem, kiedy otwierasz usta dajesz mi do rąk niezawodną broń.*

## **Zagadka Laklaków**

Najpierw zobaczył księżyc. Ten blask, który padał mu w oczy, musiał pochodzić od księżyca. Kiedy McKie to sobie uświadomił, zrozumiał również, że już od pewnego czasu – bez odzyskania pełnej przytomności – oglądał księżyc nawet sobie z tego sprawy nie zdając. Księżyc wznosił się ponad zastygniętymi w bezruchu sylwetkami prymitywnych dachów.

A więc nadal znajdował się w wiosce.

Jego potylicą i lewą skroń były bolesnym pulsem. Ostrożnie wypróbował swoje obolałe

zmysły przekonał się, że leży na wznak, przywiązany za ręce i nogi do wbitych pod gołym niebem palików.

Być może był w jakiejś innej wiosce.

Sprawdził siłę więzów, były mocne, ani na jotę nie poddawały się jego ruchom.

Leżał w bardzo niezręcznej pozycji – rozciągnięty na plecach, z nogami szeroko rozkraczonymi i rękoma rozrzuconymi na boki.

Przez chwilę śledził ślimaczą wędrówkę dziwnych konstelacji przez nieboskłon, który wypełniał całe jego pole widzenia. Gdzież, do licha, była ta planeta?

Gdzieś po lewej ciemność rozświetliły płomienie ogniska. Rozbłysnęły na krótko i znów przygasły do pomarańczowego żaru. McKie spróbował odwrócić głowę w kierunku niewidocznego ogniska, ale zamarł w bezruchu, gdy ostry ból przeszył go jak nożem od karku aż po czaszkę.

Jęknął.

Gdzieś dalej, w ciemności, odezwało się jakieś zwierzę. Dźwięk przeszedł w głęboki, zachrypnięty ryk. Ten sam ryk ponowił się powtórnie. Znowu nastąpiła cisza. I jeszcze jeden ryk. Dźwięki marszczyły gładką materię ślepej nocy, nadawały jej nowego wymiaru. Usłyszał nadchodzące kroki.

– Chyba jęknął – powiedział męski głos.

McKie zauważył, że mężczyzna mówił poprawnym galaktykiem. Dwa cienie wyłoniły się z ciemności i zatrzymały się u stóp McKie'ego.

– Myślisz, że jest przytomny? – to był głos kobiety, zamaskowany użyciem dystortera.

– Oddycha jakby był przytomny – powiedział mężczyzna.

– Kto tu jest? – zachrypiał McKie. Konieczny do tego wysiłek przyniósł falę agonii jego obolałej głowie.

– Jak to dobrze, że twoi ludzie potrafią wykonywać rozkazy – powiedział mężczyzna. – Strach pomyśleć, co by było, gdyby on się tu dłużej kręcił.

– Jak się tu dostałeś, McKie? – spytała kobieta.

– Na piechotę – warknął McKie. – Czy to ty, Abnethe?

– Na piechotę! – parsknął mężczyzna.

McKie'ego uderzyła jakaś dziwna nuta w tym głosie. Był w nim ślad jakiejś obcości. Czy pochodził on od człowieka, czy od humanoida? Wśród wszystkich ras inteligentnych jedynie Pan Spechi – którzy genetycznie przekształcili swoją budowę na kształt ciała ludzkiego – mogli wyglądać aż tak podobnie do ludzi.

– Jeżeli mnie natychmiast nie uwolnicie – powiedział McKie – to nie odpowiadam za konsekwencje.

– Odpowiesz za nie, odpowiesz – w głosie mężczyzny kryła się spora doza śmiechu.

– Musimy mieć pewność, jak on się tutaj dostał – powiedziała kobieta.

– A jaką to nam zrobi różnicę?

– Może zrobić wielką. A co, jeżeli Frania nie dotrzymuje warunków umowy?

– Niemożliwe – prychnął mężczyzna.

– Nic nie jest niemożliwe. On nie mógł tu przyjść na piechotę bez pomocy tego Kalebana.

– Może jest jeszcze jeden Kaleban?

– Frania mówi, że nie.

– Proponuję, żebyśmy się tego intruza natychmiast pozbyli – powiedział mężczyzna.

– A co będzie, jeżeli on nosi monitor? – spytała.

– Frania twierdzi, że żaden Taprisjot nie znajdzie tego miejsca. ... .

– Ale McKie się tu dostał!

– I prowadziłem już stąd jedną rozmowę przy pomocy przekaźnika Taprisjota – dodał McKie.

Żaden Taprisjot nie znajdzie tego miejsca? Co to znaczy? – zastanawiał się McKie. Czemu coś takiego powiedzieli?

– Nie starczy im czasu, by nas tu znaleźć. Ani tym bardziej by nam przeszkodzić – powiedział mężczyzna. – Ja mówię, żeby się go pozbyć.

– To nie byłoby najmądrzejsze – powiedział McKie.

– No proszę, kto się odzywa na temat mądrości! – parsknął mężczyzna.

McKie usiłował rozpoznać szczegóły ich twarzy, ale było za ciemno, widział jedynie pozbawione wyrazu cienie. Co takiego kryło się w głosie mężczyzny? Dystorter zmieniał głos kobiety, ale po co w ogóle go używała?

– Noszę monitor życia – powiedział.

– Czym prędzej, tym lepiej – powiedział mężczyzna.

– Ja mam już tego dość – powiedziała kobieta.

– Jak mnie zabijecie, to mój monitor natychmiast wyśle sygnał – powiedział McKie. – Taprisjoci przeczeszą tę okolicę i zidentyfikują wszystkie osoby wokół mnie. Nawet jeżeli nie będą wiedzieć, gdzie jesteście, będą wiedzieć, kim jesteście.

– Drzę na samą myśl – powiedział mężczyzna.

– Musimy się dowiedzieć, jak on się tu dostał – powiedziała kobieta.

– Co to robi za różnicę?

– To idiotyczne pytanie!

– No więc Kaleban złamał warunki kontraktu.

– Albo jest w nim jakiś kruczek, o którym nic nie wiemy.

– To trzeba go zlikwidować.

– Nie jestem pewna, czy to się uda. Nie wiem na ile się nawzajem rozumiemy. Co to są łączniki?

– Abnethe, po co mówisz przez ten dystorter? – zapytał McKie.

– Czemu nazywasz mnie Abnethe? – spytała.

– Możesz zakamuflować swój głos, ale nie możesz ukryć swojego zbrocenia, ani swojego stylu – powiedział McKie.

– Czy to Frania cię tu przysłała? – rozkazująco zapytała kobieta.

– Czyż któreś z was właśnie nie powiedziało, że to niemożliwe? – odparował McKie.

– No proszę, jaki dzielny facet – zaśmiała się kobieta.

– Niewiele mu to pomoże.

– Nie sądzę, by Kaleban mógł złamać naszą umowę – powiedziała kobieta. – Przypominasz sobie klauzulę o ochronie? Prawdopodobnie go tu wysłał, żeby się go pozbyć.

– To się go pozbadźmy.

– Nie to miałam na myśli!

– Wiesz doskonale, że musimy to zrobić.

– Sprawisz mu cierpienie, a ja się na to nie zgadzam! – krzyknęła kobieta.

– To zostaw mnie z nim samego, a ja już się tym zajmę.

– Nie mogę wytrzymać myśli, że on będzie cierpiał! Nie możesz tego zrozumieć?

– Nie będzie cierpiał.

– Nigdy nie wiadomo.

To murowanie Abnethe, pomyślał McKie. Wiedział, że Abnethe przeszła leczenie



uwarunkowujące i nie może teraz znieść widoku cierpienia. Ale kim jest ten drugi?

– Boli mnie głowa – powiedział McKie. – Wiesz o tym, Mliss? Twój ludzie praktycznie mi mózg rozwalili.

– Jaki mózg? – spytał mężczyzna.

– Musimy go zabrać do lekarza – powiedziała kobieta.

– Co ty wygadujesz? – warknął mężczyzna.

– Słyszałeś, co mówi. Boli go głowa.

– Dostyc, Mliss!

– Powiedziałaś moje imię – zaprotestowała.

– To nie robi żadnej różnicy. I tak cię już dawno rozpoznał.

– Co będzie, jeżeli ucieknie? \*»

– Stąd? 'M -

– Jakoś się tutaj dostał, nie?

– Za co powinniśmy mu być wdzięczni.

– Ale on cierpi! – zawołała.

– Kłamie!

– Cierpi! Wiem to!

– A co, jeśli zabierzemy go do lekarza, Mliss? – spytał mężczyzna. – Co, jeżeli go zabierzemy, a on ucieknie? Wiesz, że ci agenci BuSabu mają w zanadrzu niejedną sztuczkę.

Cisza.

– Nie mamy innego wyjścia – powiedział mężczyzna. – Frania wysłała go do nas a teraz my musimy go zabić.

– Doprowadzasz mnie do szału! – krzyknęła.

– Nie będzie cierpieć – powiedział mężczyzna. Cisza.

– Obiecuję – powiedział mężczyzna. – Na pewno?

– Przecież ci obiecałem.

– Idę – powiedziała. – Nie chcę wiedzieć, co się z nim stanie. Nigdy mi o nim więcej nie wspominaj, Cheo. Słyszysz?

– Tak, kochanie, słyszę.

– A teraz idę – powiedziała.

– On mnie pokroi na drobne kawałki – powiedział McKie – a ja będę przez cały czas ryczał z bólu.

– Każ mu się zamknąć! – zawyła.

– Chodźmy, kochanie – mężczyzna objął ją ramieniem. – Chodźmy stąd.

– Abnethe! – krzyknął zrozpaczony McKie. – On mi sprawi straszliwe cierpienia! Musisz o tym wiedzieć! Zaczęła łkać, gdy mężczyzna wiódł ją w ciemności.

– Proszę... Proszę... – błagała. Po chwili jej szloch zniknął w oddali.

Furuneo. myślał McKie, nie zwlekaj. Pospiesz tego Kalebana. Chcą się stąd wydostać. Zaraz!

Zaczął szarpać więzy. Rozciągnęły się odrobinę, na tyle by się przekonał, że więcej ich nie da rady rozciągnąć. Paliki ani drgnęły.

Dalej, dalej, Kaleban! – myślał McKie. Przecież nie wysłałaś mnie tu na śmierć. Powiedziałaś, że mnie kochasz.

*Nie wierzę w ciebie, ponieważ do mnie mówisz.*

Cytat z Kalebana

Po kilku godzinach pytań i wypytywań, na które odpowiedziami były albo następne pytania, albo bezsensowne stwierdzenia, Furuneo sprowadził strażnika do pilnowania Kalebana. Na jego życzenie Frania otworzyła luk i Furuneo wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza na półce z lawy. Na dworze było zimno, zwłaszcza w porównaniu z temperaturą panującą wewnątrz Arbuza. Jak zwykle przed zachodem słońca, wiatr przycichł. Fale nadal biły z wściekłością o skaliste brzegi i wspinały się na urwisko poniżej Arbuza. Ale zaczął się już odpływ i tylko nieliczne kropelki rozbryzgującej się wody docierały na półkę.

Łączniki, myślał Furuneo cierpko. Ona twierdzi, że to nie chodzi o połączenia, wiać o co? Chyba nigdy jeszcze nie czuł się tak sfrustrowany.

– To, co sięga od jednego do ośmiu – mówiła Kaleban – jest łącznikiem. Poprawne użycie czasownika być? – Co?

– Czasownik tożsamości – powiedziała. – Dziwna koncepcja.

– Nie, nie! Co to było wcześniej, od jednego do ośmiu?

– Tworzywo rozdzielające – powiedziała Kaleban.

– Coś takiego jak rozpuszczalnik?

– Przed rozpuszczalnikiem.

– Co, do cholery, przed ma do czynienia z rozpuszczalnikiem?

– Być może bardziej wewnętrzne niż rozpuszczalnik.

– Szaleństwo – powiedział Furuneo kręcąc głową. – Wewnętrzne?

– Nieograniczone miejsce łączników – powiedziała Kaleban.

– Z powrotem jesteśmy tam, skąd zaczęliśmy – jęknął Furuneo. – Co to jest łącznik?

– Nieobjęty otwór pomiędzy – odpowiedziała Kaleban.

– Pomędzy czym? – zawył Furuneo.

– Pomędzy jeden a osiem.

– Och, nie!

– Także pomiędzy jeden a x – powiedziała Kaleban. Tak jak uczynił to kiedyś McKie, teraz Furuneo ukrył twarz w dłoniach. Po chwili powiedział:

– Co jest pomiędzy jeden a osiem, poza dwa, trzy, cztery, pięć, sześć i siedem?

– Nieskończoność – powiedziała Kaleban. – Otwarte pojęcie. Nic nie zawiera wszystkiego.

Wszystko zawiera nic.

– Wiesz, co ja myślę? – spytał Furuneo.

– Nie czytam myśli – odpowiedziała Kaleban.

– Myślę, że się z nami bawisz – powiedział Furuneo. – Ot, co myślę.

– Łączniki zobowiązują – powiedziała Kaleban. – Czy to rozszerza zrozumienie?

– Zobowiązują... zobowiązanie?

– Spróbuj ruchu – powiedziała Kaleban.

– Spróbować czego?

– To co pozostaje nieruchome, gdy wszystko inne się porusza – powiedziała Kaleban. – W ten sposób łącząc. Koncepcja nieskończoności opróżnia się bez łącznika.

– Aaaaa!

To właśnie wtedy postanowił wyjść odpocząć na zewnątrz.

Nie osiągnął też żadnych wyników w próbie zorientowania się, czemu Kaleban utrzymywał taką wysoką temperaturę w Arbuzie.

– Konsekwencja szybkości – powiedziała, na przemian zastępując to pod ogniem jego pytań

przez zbieżność pospieszności. A potem: Być może koncepcja wywołanego ruchu jest bliższa.

– Jakiś rodzaj tarcia? – sądował dalej Furuneo.

– Niezrównoważone zależności wymiarów być może staje się najlepszym przybliżeniem – odparła Kaleban.

Zastanawiając się teraz powtórnie nad tymi pełnymi frustracji wymianami zdań, dmuchał sobie na zmarznięte ręce. Słońce już zaszło i od skał zerwał się zimny wiatr.

Albo marznę na śmierć, albo się gotuję, pomyślał. Gdzież do jasnej cholery jest McKie?

Dokładnie w tej chwili, przez jednego z Taprisjotów Biura skontaktował się z nim Tuluk. Furuneo, który właśnie rozglądał się po zawietrznej stronie Arbuza za jakimś miejscem trochę bardziej osłoniętym od wiatru, poczuł jak jego szyszynka budzi się pod wpływem tego kontaktu. Zdążył jeszcze opuścić stopę, którą właśnie podniósł w kroku, postawił ją mocno w. dużej kałuży i stracił całkowicie poczucie swojego ciała. Myśl i rozmowa stały się jednym.

– Tu Tuluk w laboratorium – usłyszał Furuneo. – Przepraszam za wtargnięcie i tak dalej.

– Przez ciebie właśnie postawiłem nogę w głębokiej kałuży zimnej wody – powiedział Furuneo.

– Mam dla ciebie trochę więcej zimnej wody. Masz dopilnować, żeby ten Kaleban zabrał McKie'ego za sześć godzin, mierzonych od czasu cztery godziny i pięćdziesiąt jeden minut temu. Zsynchronizuj.

– Sześć standardowych godzin?

– Oczywiście standardowych!

– Gdzie on jest?

– Nie wie. Tam gdzie go ten Kaleban wysłał. Wiesz jak on to robi?

– Robi to przy pomocy łączników.

– Naprawdę? A co to takiego te łączniki?

– Jak się zorientuję to pierwszy się dowiesz.

– To brzmi jak sprzeczność w czasie, Furuneo.

– I pewno jest. Dobra, pozwól mi wyjąć nogę z wody. Pewnie już mi zamarzła na kość.

– Zsynchronizowałeś współrzędne czasowe do sprowadzenia McKie'ego z powrotem?

– Tak jest. Ale mam nadzieję, że ona nie wyśle go do domu.

– O co chodzi? Furuneo wytłumaczył.

– Bardzo skomplikowane.

– Cieszę się, że do tego doszedłeś. A przez chwilę już się zaczynałem obawiać, że nie podchodzisz do naszego problemu z wystarczającą powagą.

Wśród Wreavów powaga i szczerść są cechami prawie tak samo podstawowymi jak wśród Taprisjotów, ale Tuluk pracował z ludźmi wystarczająco długo, by zrozumieć żart Furunea.

– No tak – powiedział. – Każde stworzenie jest na swój sposób zwariowane.

Było to przysłowie Wreavów, ale zabrzmiało wystarczająco blisko do tego, jak wyrażała się Kaleban, by – pobudzona działaniem rozłuszczacza – obudziła się w nim chwilowa wściekłość i Furuneo poczuł, jak zaczyna wymykać mu się własna osobowość. Zadrzał cały i zmusił się do powrotu do równowagi.

– Czy właśnie prawie się zatraciłeś? – spytał Tuluk.

– Skończ już i pozwól mi wyjąć nogę z wody!

– Odnoszę wrażenie, że jesteś zmęczony – powiedział Tuluk. – Odpocznij sobie trochę.

– Jak tylko będę mógł. Mam nadzieję, że nie zasnę w tej kalebańskiej łaźni. Obudziłbym się w sam raz gotowy na danie dla kanibali.

– Wy ludzie macie skłonności do wyrażania się w obrzydliwy sposób – powiedział Wreave. –

Ale lepiej jeszcze nie zasypiaj przez jakiś czas. Dla McKie'ego punktualność może okazać się ważna.

*Należał do tego rodzaju ludzi, którzy bywają twórcami własnej śmierci.*

**Epitafium Alichina Furunea**

Było ciemno, ale jej czarne myśli nie wymagały światła.

Niech szlag trafi tego głupiego sadystą Cheo! Błędem było sfinansowanie operacji, która zmieniła tego Pan Spechi w potworka z utrwaloną osobowością. Czemu nie mógł dalej być takim, jakiego go spotkała po raz pierwszy? Wtedy był taki egzotyczny... taki... taki... podniecający.

Co prawda, dalej był przydatny. I nie można było zaprzeczyć, że to On pierwszy dostrzegł te fantastyczne możliwości w ich odkryciu. Przynajmniej to było nadal podniecające.

Rozsiadła się wygodnie na pokrytym miękkim futrem krześlaku. jednym z tych rzadko spotykanych kotowatych okazów, nauczonych do uspokajania swoich panów mručeniami. Kojące drgania kursowały po jej ciele, szukając zadrażnień potrzebujących załagodzenia.

Jej apartament zajmował najwyższy poziom w wieży, którą zbudowali na tej planecie, bezkarni w przeświadczeniu, że nie sięgnie tu żadne prawo ani żadne połączenie komunikacyjne, poza tymi które kontrolował jeden jedyny Kaleban – któremu na dodatek nie zostało już wiele życia.

Ale jak się tu dostał McKie? I czemu powiedział, że odbył rozmowę dalekosiężną przez przekaźnika Taprisjota?

Krześlak, wyczulony na każdą zmianę jej nastroju, przerwał swoje mruczenie, gdy Abnethe oderwała od niego plecy i siadła prosto jak świeca. Czyżby Frania kłamała?

Czyżby gdzieś został się jeszcze jeden Kaleban, który potrafił odnaleźć ich kryjówkę?

Nawet biorąc pod uwagę to, że słowa Kalebana były trudne do zrozumienia – no tak, tego nie dało się zapomnieć – więc nawet biorąc to pod uwagę, nie mogła przecież zajść pomyłka w kwestii tak zasadniczej. Klucz do świata, na którym się znajdowali, leżał w jednym tylko mózgu, w mózgu jej samej, pani Mliss Abnethe.

Gdyby to było możliwe, wyprostowałyby się jeszcze bardziej.

A już niedługo śmierć wolna od cierpienia uczyni to miejsce bezpiecznym na zawsze – gigantyczny orgazm śmierci. Były tylko jedne drzwi, a te zamknie śmierć. Ci, którzy przeżyją, wszyscy wybrani osobiście przez nią samą, będą tu żyć długo i szczęśliwie, wolni od wszystkich... łączników.

Czymkolwiek one są.

Podniosła się na nogi i poczęła nerwowo przechadzać się tam i z powrotem wśród ciemności. Dywan, zwierzę wyhodowane podobnie jak krześlaki, marszczył swoją kosmatą skórę pod pieszczotą jej stóp.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Pomimo wszystkich komplikacji i pomimo tego, że można to było wykonywać jedynie w ściśle określonych porach, będzie trzeba przyspieszyć tempo biczowania. Trzeba doprowadzić Franię do nieciąłości jak najszybciej się tylko da. Zabijać tak, aby ofiary nie cierpiały, tak, to był prospekt, który nadal mogła rozważać.

Ale teraz trzeba się pospieszyć.

Furuneo stał, przysypiając, oparty o ścianę wewnątrz Arbuza. Gorąco nadal było nie do wytrzymania. Według jego zegara mózgowego do czasu kiedy będzie trzeba ściągnąć McKie'ego z powrotem została już niecała godzina. Jakiś czas temu Furuneo spróbował wytłumaczyć Kalebanowi kiedy to powinno nastąpić, ale ona w zadem sposób nie mogła go zrozumieć.

– Długości się wyciągają i kurczą – powiedziała. – Zakrzywiają się i przekształcają w nieprecyzyjnych ruchach pomiędzy jednym a drugim. A więc czas jest niestały.

Niestały?

Tuba wirtunelu skokwłazu G'oka otworzyła się z trzaskiem tuż nad olbrzymią łyżką Kalebana. W otworze pokazała się twarz i nagie ramiona Abnethe.

Furuneo odsunął się od ściany, parokrotnie wstrząsnął głową by przepędzić resztki snu. Psiakrew, ale było gorąco!

– Nazywasz się Alichino Furuneo – powiedziała Abnethe. – Czy wiesz, kim ja jestem?

– Wiem.

– Poznałam cię od razu – powiedziała. – Rozpoznaję większość agentów waszego głupiego Biura. Nieraz mi się to przydało.

– Czy przychodzisz tu po to, by biczować tego biednego Kalebana? – spytał Furuneo. Namacał w kieszeni aparat holograficzny i, zgodnie z poleceniem McKie'ego, przygotował się do skoku w kierunku wirtunelu.

– Nie zmuszaj mnie do zamknięcia włazu, zanim trochę nie porozmawiamy – powiedziała Abnethe.

Furuneo się zawahał. Daleko mu wprawdzie było do Nadzwyczajnego Sabotażysty, ale nie został szefem Biura na całą planetę bez nauczania się, że istnieją sytuacje, w których niekoniecznie musi się wykonywać rozkazy przełożonych.

– A o czym mamy rozmawiać? – spytał.

– O twojej przyszłości – odpowiedziała.

Furuneo spojrzał jej prosto w oczy. Pustka, którą w nich zobaczył, wypełniła go obrzydzeniem. Widać było, że powoduje ją potrzeba sytuacji.

– O mojej przyszłości? – spytał.

– O tym, czy w ogóle będziesz miał jakąś przyszłość.

– Nie groź mi.

– Cheo mówi – powiedziała – że możesz nadać się do naszego planu.

Nie wiedział czemu, ale przekonany był, że to kłamstwo. Zabawne, jak łatwo się wydała. Wargi jej wyraźnie zadrżały, kiedy wymówiła to imię: Cheo.

– A kto to Cheo? – spytał.

– W tej chwili to nieważne.

– A jaki jest ten wasz plan?

– Przeżycie.

– To miłe – powiedział. – Co jeszcze nowego masz do powiedzenia? – zastanawiał się jaka będzie jej reakcja na to gdy wyjmie aparat holograficzny i zacznie rejestrować.

– Czy to Frania wysłała McKie'ego w pogoń za mną? – spytała.

Furuneo zobaczył, że to było dla niej bardzo ważne. McKie musiał nieźle narozrabiać.

– Widziałaś McKie'ego? – spytał.

– Nie będę teraz rozmawiać o McKie'im. Co za idiotyczna odpowiedź, pomyślał Furuneo. Przecież to ona sama zaczęła rozmawiać o McKie'im.

Abnethe wydeła wargi, przyglądając mu się z uwagą.

– Jesteś żonaty, Furuneo? – spytała.

Zmarszczył brwi. Znowu zadrżały jej wargi. Na pewno знаła jego dane personalne. Jeżeli przydawało jej się móc go rozpoznać, to trzykrotnie ważniejsze musiało być znać jego mocne i słabe strony. Na co ona grała?

- Moja żona nie żyje – odpowiedział.
- Jakie to przykre – szepnęła.
- Daję sobie radę – powiedział ze złością. – Nie można żyć przeszłością.
- Aaa, tu się możesz mylić – powiedziała.

– O co ci chodzi, Abnethe?

– Posłuchaj – powiedziała – masz sześćdziesiąt trzy lata, jeżeli sobie dobrze przypominam.

– Dobrze sobie przypominasz, dobrze o tym. do cholery, wiesz.

– Jesteś jeszcze młody – powiedziała – i wyglądasz jeszcze młodziej. Wyglądasz na kogoś, kto potrafi cieszyć się życiem.

– Każdy potrafi.

A więc to próba przekupienia, pomyślał.

– Cieszymy się życiem tylko wtedy, gdy ma ono w sobie wszystkie konieczne składniki – powiedziała. – Dziwne, żeby ktoś taki jak ty był w tym idiotycznym Biurze.

Było to na tyle bliskie myślom, które sam czasem miewał, że zaciekowił się możliwościami tego tajemniczego planu i tym jakimś Cheo. Co chcieli mu zaoferować?

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Mierzyli się wzrokiem jak dwoje zapaśników przed walką.

Czy zaproponuje mu siebie samą? – zastanawiał się Furuneo. Była ładną kobietą: pełne usta, wielkie, zielone oczy w przyjemnej, owalnej twarzy. Widział nieraz holografy całej jej postaci – Kosmetykerzy zrobili świetną robotę. Dbała o siebie nie szzczędząc pieniędzy. Ale czy zaproponuje mu siebie samą? Nie bardzo chciało mu się w to wierzyć. Ani motywy, ani stawka do tego nie pasowały.

– Czego się boisz? – zapytał.

Była to dobra linia ataku, ale ona odparła mu z nutą niespodziewanej szczerości:

– Cierpienia.

Furuneo z trudem przełknął ślinę przez zaschnięte gardło. Co prawda po śmierci Mady nie żył w celibacie, ale ich małżeństwo było naprawdę specjalne, niepowtarzalne. Sięgało poza słowa i ciało. Jeżeli w ogóle cokolwiek było stałego i podstawowego – łącznego – we wszechświecie, to miłość taka jak ich. Wystarczyło zamknąć oczy, by czuł pamięć jej obecności. Tego nic nie może zastąpić a Abnethe musi sobie z tego zdawać sprawę. Cóż takiego może mu zaproponować, czego nie mógłby sam znaleźć gdzie indziej?

A może jednak...?

– Franiu – powiedziała Abnethe – jesteś gotowa zrobić to, o czym mówiłam ci wcześniej?

– Łącznik jest odpowiedni – odparła Kaleban.

– Łączniki! – wybuchnął Furuneo. – Co to są łączniki?

– Nie wiem – powiedziała Abnethe – ale okazuje się, że mogę z nich świetnie korzystać nie wiedząc.

– Co ty kombinujesz, Abnethe? – zapytał ostro Furuneo. Mimo panującego w Arbuzie upału przeszedł go nagle zimny dreszcz.

– Franiu, pokaż mu – powiedziała Abnethe.

Wirtunel tuby skokwłazu zadrgał, otworzył się szerzej, zamknął, zatańczył i rozbłysnął nagle dziwnym światłem. Abnethe zniknęła. Właz otworzył się znów, ale tym razem widać w nim było złoty piasek słonecznej plaży rozciągającej się pomiędzy tropikalną dżunglą a lekko falującym błękitem oceanu i zawieszony nad nią w polu siłowym owal żyro-jachtu. Górne tarcze jachtu, stojące otworem do lazurowego nieba, odsłaniały główny pokład, a na nim, prawie w samym środku, młodą

kobietę, leniwie wyciągniętą plecami do słońca na lewitohamaku. Jej gładka skóra chłonęła słoneczne ciepło filtrowane przez pokładowe pochłaniacze promieni.

Furuneo wpatrywał się w tę scenę w bezruchu, jakby nogi mu w ziemię wrosły. Dziewczyna podniosła głowę wypatrując czegoś w morzu, po chwili opuściła ją z powrotem na poduszkę

– Poznajesz? – spytała Abnethe. Jej głos dochodził prosto znad jego głowy, bez wątplenia z drugiego skokwłazu, ale Furuneo nie był w stanie oderwać wzroku od roztaczającego się przed nim widoku, żeby to sprawdzić.

– To Mada – wyszeptał.

– Oczywiście.

– O mój Boże – szeptał – kiedyś ty to zarejestrowała?

– Pewny jesteś, że to twoja ukochana?

– To... to nasz miesiąc miodowy – Furuneo dalej szeptał. – Pamiętam dokładnie ten dzień. Poszedłem z przyjaciółmi do oceanarium, ale ona nie chciała pływać, więc została na jachcie.

– Skąd wiesz, że to właśnie ten dzień?

– Widzisz ten kwiat-parasol na samym skraju dżungli? To flambok, drzewo które kwitło tylko w ten jeden dzień i dlatego ja go nigdy nie zobaczyłem.

– A rzeczywiście. Więc nie masz zastrzeżeń co do autentyczności tej sceny?

– Śledziłaś nas już wtedy?

– Nie. To my śledzimy to teraz. To co widzisz, odbywa się w tej chwili.

– Niemożliwe! To było przeszło czterdzieści lat temu!

– Nie krzycz tak. bo ona cię usłyszy.

– Jak ona może mnie usłyszeć? Nie żyje już od...

– Mówię ci, że to co widzisz dzieje się teraz! Franiu?

– W osobie Furunea pojęcie teraz zawiera względne łączniki – powiedział Kaleban. – Terazność sceny prawdziwa.

Furuneo potrząsał głową na boki.

– Możemy ją zdjąć z tego jachtu i przenieść was oboje na miejsce, którego Biuro nigdy nie znajdzie – powiedziała Abnethe. – Co ty na to, Furuneo?

Furuneo otarł łzy ciekące mu po policzkach. Czuł zapach oceanu, słodkawą woń kwitnącego flamboka. Ale to musiało być nagranie. Musiało.

– Jeżeli to się dzieje teraz, to czemu ona nas nie widzi? – spytał.

– Na moje polecenie Frania nas przed nią maskuje. Ale z dźwiękiem nic się nie da zrobić. Dlatego nie podnoś głosu.

– Kłamiesz! – zasyczał.

Jakby na ten znak dziewczyna przewróciła się na wznak, wstała i, nucąc piosenkę, którą Furuneo świetnie pamiętał, zaczęła przyglądać się kwitnącemu flambokowi.

– Myślę, że wiesz, że nie kłamię – powiedziała Abnethe. – To jest właśnie ten nasz sekret. To jest nasze odkrycie o Kalebanach.

– Ale... jak możecie...

– Mając odpowiednie łączniki, cokolwiek to znaczy, mamy dostęp nawet do przeszłości. Spośród wszystkich Kalebanów, którzy mogliby nas połączyć z tą przeszłością, pozostała jedynie Frania. Żaden Taprisjot, żadne Biuro, nic nie może nas tam osiągnąć. Możemy się tam przenieść i na zawsze uwolnić od tego wszystkiego.

– To jakaś sztuczka!

– Przecież widzisz, że nie. Powąchaj kwiaty, morze.

– Ale czemu? Czego ode mnie chcesz?

– Twojej pomocy w pewnej drobnej sprawie.

– Jakiej?

– Obawiamy się, że ktoś może odkryć naszą tajemnicę, zanim będziemy gotowi. Jeżeli jednak ktoś komu Biuro ufa i wierzy, będzie tu obecny w celu obserwacji i składania raportów – a te raporty będą nieprawdziwe...

– To znaczy?

– Że nie ma już więcej biczowań, że Frania jest szczęśliwa, że...

– A niby czemu miałbym to robić?

– Kiedy Frania doświadczy swojej... ostatecznej nieciągłości, możemy bezpiecznie już być daleko stąd – a ty możesz być razem ze swoją ukochaną. Mam rację, Franiu?

– Prawdziwa podstawa w stwierdzeniu – powiedziała Kaleban. Furuneo spoglądał w głąb włazu. Mada! Była tak blisko. Zaprzesła nucenia piosenki i smarowała się teraz olejkim ochronnym. Gdyby Kaleban odrobinką przybliżył właz, to mógłby ją dotknąć.

Ból w piersi uświadomił mu, jak bardzo łamie mu się głos.

– Czy... ja też jestem gdzieś tam w dole?

– Tak – powiedziała Abnethe.

– I przyjdę na jacht?

– Jeżeli kiedyś rzeczywiście to zrobiłeś.

– I co bym tam znalazł?

– Nie znalazłbyś żony. Zniknęła.

– Ale...

– Myśleliby, że to jakieś zwierzę – albo z morza, albo z dżungli – ją zabiło. Może, że poszła się kąpać i...

– Żyła jeszcze przez trzydzieści jeden lat – wyszeptał.

– I możesz teraz mieć te trzydzieści jeden lat jeszcze raz – powiedziała Abnethe.

– Ja... ja nie byłbym ten sam. Ona...

– Na pewno cię pozna.

Na pewno? Nie był taki pewny. Może tak. Tak, chyba by go poznała. Może nawet zrozumiałaby jego motywy. Ale był przekonany, że nigdy by mu nie wybaczyła. Nie. nie Mada.

– Przy podjęciu odpowiednich kroków nie musiałyby może nawet umrzeć za te trzydzieści jeden lat – powiedziała Abnethe.

Furuneo skinął potakująco głową, ale przytakiwał tylko swoim myślom.

Nie wybaczyłaby mu, tak samo jak i ten młody człowiek powracający na pusty jacht nigdy by mu nie wybaczył. A ten młody człowiek jeszcze żył.

Nigdy bym sobie nie mógł wybaczyć, pomyślał. Ten młody człowiek, którym kiedyś byłem, nigdy by mi nie wybaczył tych straconych lat.

– Jeżeli się martwisz – powiedziała Abnethe – że zmienisz świat, albo bieg historii, albo jakiś inny nonsens, to możesz się tym nie przejmować. Tak się wcale nie dzieje, jak twierdzi Frania. Zmieniasz jedną osobną sytuację, nic więcej. Nowa sytuacja biegnie swoim własnym tokiem i nic innego w zasadzie się nie zmienia.

– Rozumiem.

– Zgadzasz się w takim razie na moją propozycję? – spytała Abnethe.

-Co?

– Mam kazać Frani, żeby ją zdjęła z tego pokładu?



– Po co? – zapytał. – Nie mogę się na coś takiego zgodzić.

– Chyba żartujesz!

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Stała po drugiej stronie maleńkiego skokwłazu otwartego tuż nad jego głową. Przez niewielki otwór widoczne były jedynie jej oczy, nos i usta.

– Nie żartuję.

We włazie ukazała się jej dłoń, wskazująca w kierunku drugiego włazu.

– Spójrz na to, co odrzucasz – powiedziała. – Mówię ci, spójrz dobrze! Czy możesz z czystym sumieniem powiedzieć, że nie chcesz tego odzyskać?

Odwrócił się.

Mada leżała znów w lewitohamaku z twarzą zanurzoną w poduszce. Furuneo przypomniał sobie, że właśnie w takiej pozycji ją zastał wracając z oceanarium.

– Nic mi nie masz do zaoferowania – powiedział.

– Ależ mam! Wszystko co ci powiedziałam to prawda!

– Głupia jesteś – odparł – jeżeli nie potrafisz dojrzeć różnicy pomiędzy tym co Mada i ja mieliśmy, a tym co ty oferujesz. Żal mi...

Coś złapało go za gardło z wielką siłą, nie pozwalając mu dokończyć zdania. Jego ręce próbowały kurczowo czegoś się chwycić, ale czuł, że podnosi się wyżej... coraz wyżej... Poczuł, jak głowa przechodzi mu przez lepki opór skokwłazu. Jego szyja była dokładnie w świetle otworu, gdy właz się zamknął. Jego bezgłowe ciało spadło na podłogę Arbuza.

*Żargon ciała i tryskające hormony to jut początki komunikacji.*

**Spóźniona Kultura, Rękopis Jorj X. McKie**

– Mliss, ty idiotko! – ryczał Cheo. – Ty skończona, kompletna, durna idotko! Gdybym nie przyszedł, kiedy...

– Zabiłeś go! – zachrypiała, cofając się od zakrwawionej głowy toczącej się po podłodze jej pokoju. – Zabiłeś... Zabiłeś go! I to kiedy ja już prawie go...

– Kiedy prawie już wszystko zepsułaś – warknął Cheo, podchodząc bliżej, aż jego pokryta bliznami twarz zatrzymała się w odległości kilku centymetrów od niej. – Co wy ludzie macie w głowach zamiast mózgu?

– Ale on był...

– On był gotowy wezwać swoich ludzi i opowiedzieć im wszystko, co mu wypaplałaś.

– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób!

– Tam gdzie chodzi o moją głowę, będę się do ciebie odzywał jak mi się podoba.

– Sprawiliś mu cierpienie! – rzuciła to jak oskarżenie.

– Tego co ja mu zrobiłem nawet nie zdążył poczuć. To ty sprawiłaś mu cierpienie.

– Jak możesz tak mówić? – cofnęła się w tył od jego przerażającej twarzy, tak przesadnie ludzkiej.

– Ciągłe gadasz o tym, jak to niby nie możesz znieść widoku cierpienia – warknął – ale ty to kochasz. Wszędzie wokół siebie siejesz cierpienie. Wiedziłaś, że Furuneo nie przyjmie twojej idiotycznej propozycji, ale kusiłaś go mimo

wszystko, kusiłaś go tym, co utracił. Nie nazywasz tego cierpieniem?

– Słuchaj, Cheo, jeżeli...

– Cierpiał aż do chwili, kiedy ja to przerwałem. Świetnie sobie z tego zdajesz sprawę!

– Przestań! – krzyknęła. – To nie było tak! On wcale nie cierpiał!

– Cierpiał, a ty świetnie o tym wiedziałaś, przez cały czas świetnie o tym wiedziałaś.

Rzuciła się na niego, uderzając pięściami w jego pierś.

– Kłamiesz! Kłamiesz! – krzyczała. Chwycił ją za nadgarstki, zmusił do ukłęknięcia. Opuściła głowę, po policzkach spływały jej łzy.

– Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo – pochlipywała.

– Mliss, posłuchaj mnie – powiedział łagodniejszym, spokojnym tonem. – Nie potrafimy ocenić, jak długo Kaleban jeszcze się utrzyma przy życiu. Bądź rozsądna. Mamy ograniczoną ilość okresów, kiedy możemy używać G'oka i powinniśmy je jak najlepiej wykorzystać. Zmarnowałaś jedną z takich okazji. Nie stać nas na takie pomyłki, Mliss.

Z opuszczoną głową nadal wpatrywała się w podłogę. Nie podniosła na niego oczu.

– Wiesz, że nie lubię być dla ciebie ostry, Mliss – powiedział – ale mój sposób jest naprawdę najlepszy – sama się z tym zgodziłaś setki razy. Musimy się martwić o siebie samych.

Przytaknęła mu skinieniem, nadal nie podnosząc głowy.

– Chodźmy teraz tam gdzie są wszyscy – Plouty wymyślił nową, ciekawą zabawę.

– Jeszcze jedno – powiedziała.

– Tak?

– Zostawmy McKie'ego przy życiu. Będzie interesującym dodatkiem do...

– Nie.

– Co nam może zrobić? Może nawet się przyda. Nie będzie miał swojego kochanego Biura do zmuszenia...

– Nie! Poza tym już za późno. Wysłałem przed chwilą jednego Palenkę z... no wiesz. Zwolnił jej dłonie z uścisku.

Abnethe podniosła się na nogi, rozděła nozdrza. Pochylając głowę do przodu, spojrzała na niego spod długich rzęs. Nagle kopnęła z całych sił prawą nogą, trafiając Chea twardą piętą w lewą goleń.

Odskoczył w tył, jedną ręką masując obolałe miejsce. Mimo bólu był rozbawiony.

– Widzisz? – uśmiechnął się. – A jednak lubisz zadawać cierpienie.

Rzuciła się na niego, całując, przeprasząc. Na nową zabawę Plouty'ego już nie dotarli.

*Możesz mówić o rzeczach, których nie da się wykonać. To oczywiste. Sztuka leży w tym, żeby trzymać uwagę słuchaczy na rym co jest powiedziane, a nie co jest wykonywalne.*

## **Instrukcja BuSabu**

Gdy w momencie śmierci Furunea włączył się jego monitor życia, Taprisjoci przeszukali – na odległość, ze swojego centum i sobie tylko wiadomymi sposobami – okolicę Arbuza. Znaleźli tam tylko Kalebana i czterech strażników krążących w powietrzu ponad skałami. Zastanawianie się nad czynami, motywami czy winą nie leżało w gestii Taprisjotów. Zgłosili jedynie fakt śmierci, jej lokalizację i tożsamość wszystkich istot rozumnych znajdujących się w pobliżu.

W rezultacie, czwórkę strażników czekało kilka dni ostrego przesłuchania. Natomiast Kaleban przedstawiał zupełnie inny problem. Musiano zwołać pełne zebranie zarządu BuSabu. zanim udało się zdecydować, co robić w sprawie Kalebana. Okoliczności śmierci Furunea były co najmniej podejrzane – brak głowy, zupełnie niezrozumiałe wyjaśnienia od Kalebana.

Gdy Tuluk. wyrwany ze snu po to by wziąć udział w zebraniu zarządu, wszedł na salę konferencyjną, zastał tam Sikera uderzającego w stół. Czynił to środkowym palcem swojej macki bojowej, co było bardzo nietypowym przejawem wzburzenia jak na nie ulegających emocjom Laklaków.

– Nic nie będziemy robić, zanim nie wezwiemy McKie'ego! – mówił właśnie podniesionym głosem. – Sytuacja jest nazbyt delikatna!

Tuluk zajął miejsce przy stole, na przygotowanym specjalnie dla Wreawów podeście.

– Jeszcze się nie skontaktowali z McKie'im? – powiedział spokojnie. – Furuneo miał dopilnować, żeby Kaleban...

Zanim zdążył dokończyć zdanie zasypano go wyjaśnieniami i informacjami.

– Gdzie jest ciało Furunea? – spytał w końcu.

– Strażnicy mają je lada chwila sprowadzić do laboratorium.

– Powiadomiliście już policję?

– Oczywiście.

– Wiadomo coś na temat brakującej głowy?

– Wszelki ślad po niej zaginął.

– To musiało się stać w skokwłazie – powiedział Tuluk. – Czy policja przejmie dochodzenie?

– Nie ma mowy. Furuneo to nasz człowiek.

– Zgadzam się z Sikerem – Tuluk skinął przytakująco głową. – Nie możemy nic zrobić bez McKie'ego. Jemu zleciliśmy tę sprawę zanim jeszcze ktokolwiek wiedział, jakie przyjmie rozmiary. To nadal jego sprawa.

– Może powinniśmy ponownie rozważyć tę decyzję – powiedział ktoś z końca stołu.

– To by było w bardzo złym stylu – zaprotestował Tuluk. – Ale wszystko po kolei. Furuneo nie żyje, a miał dopilnować powrotu McKie'ego już jakiś czas temu.

Bildoona, Pan Spechi sprawujący funkcję dyrektora Biura przysłuchiwał się tej wymianie zdań w absolutnej ciszy. Od siedemnastu lat – co w jego rasie było okresem dość przeciętnym – był nosicielem osobowości swojego pięcioistnego gniazda. Mimo że sama ta myśl budziła w nim odrazę nie do pojęcia przez inne rasy, wiedział, że niedługo będzie tę osobowość musiał przekazać najmłodszemu członkowi gniazda. To przekazanie osobowości nadejdzie wcześniej niż powinno z powodu ciągłego stresu związanego ze sprawowaniem funkcji kierowniczej w Biurze. Jakiej straszliwej ceny wymaga służba dla Ras Rozumnych, pomyślał.

Humanoidalny wygląd, jaki jego rasa wykształciła dzięki manipulacjom genetycznym sprawiał, że często zapominano, iż Pan Spechi są tak bardzo różni od człowieka. Ale już

niedługo, w przypadku Bildoona, te różnice staną się oczywiste. Jego bliscy współpracownicy w Biurze nie będą w stanie nie dostrzec początków zmiany – zamglonych, błyszczących oczu, sztywnych ust...

Lepiej o tym teraz nie myśleć, przypomniał sobie. Potrzebna mu będzie cała przytomność umysłu.

Odnosił już wrażenie, że nie jest panem swojej własnej osobowości, a to było dla Pan Spechi gorsze od najbardziej wyrafinowanej tortury. Ale czarna wizja śmierci wszystkich inteligentnych stworzeń w całym wszechświecie wymagała poświęcenia osobistych lęków. Nie wolno pozwolić umrzeć Kalebanowi. Dopóki nie zapewni Kalebanowi przeżycia, musi trzymać się każdej brzytwy, której życie mu dostarczy, wytrzymać każdy terror, nie pozwolić sobie na opłakiwanie własnej prawie-śmierci, rodem z najgorszych koszmarów Pan Spechi. Znacznie gorsza śmierć czaiła się teraz na nich wszystkich.

Zauważył, że Siker wpatrywał się w niego z milczącym pytaniem w oczach.

Bildoona powiedział tylko dwa słowa:

– Przeprowadźcie Taprisjota.

Ktoś siedzący przy drzwiach rzucił się wykonać polecenie.

- Kto ostatni kontaktował się z McKie'im – spytał Bildoon.
- Chyba ja – odpowiedział Tuluk.
- To najlepiej będzie, jeżeli zrobisz to znowu. I nie gadaj za długo.

Tuluk zmarszczył pokrywę twarzy w przytakującym geście.

Do sali wprowadzono Taprisjota i umieszczono go na stole. Narzekał głośno, że nie obchodzą się wystarczająco delikatnie z jego igłami głosowymi, że zakotwienie nie jest doskonałe, że nie dano mu wystarczająco czasu na przygotowanie energii.

Dopiero kiedy Bildoon powołał się na specjalną klauzulę nagłej potrzeby z kontraktu jaki Biuro miało zawarty z Taprisjotami, zgodził się działać. Ustawił się przed Tulukiem i powiedział:

- Data, godzina i miejsce.

Tuluk podał mu lokalne współrzędne.

- Zamknąć pokrywę twarzową – zakomenderował Taprisjot.

Tuluk się zastosował.

- Myśleć o kontakcie – zaskrzeczał Taprisjot.

Tuluk pomyślał o McKie'im.

Czas upływał i nic się nie działo. Tuluk otworzył pokrywę twarzową, wyrzwał. 1 – Zamknąć pokrywę twarzową – rozkazał Taprisjot.

Tuluk się zastosował.

- Czy coś jest nie w porządku? – spytał Bildoon.

– Zachować ciszę – odpowiedział Taprisjot, szeleszcząc igłami głosowymi. – Nie zaburzać zakotwienia. Putcza, putcza. Połączenie nastąpi za pośrednictwem Kalebana.

- Za pośrednictwem Kalebana? – zdziwił się Bildoon.

– Niemożliwe inaczej – odpowiedział Taprisjot. – McKie odizolowany w łącznikach innej istoty.

- Nie obchodzi mnie jak go znajdziesz, ale znajdź go natychmiast! – rozkazał Bildoon.

Tuluk nagle zadrzał, jego pobudzona szyszynka wprowadziła go w chichotrans.

- McKie? – spytał. – Tu Tuluk.

Te słowa wyrzeczone wśród pomruków i chichotów chichotransu były ledwie słyszalne dla zebranych wokół niego.

McKie powiedział, najspokojniejszym tonem na jaki go było stać:

– McKie'ego już nie będzie za jakieś trzydzieści sekund, jeżeli natychmiast nie powiesz Furuneowi, żeby kazał Kalebanowi mnie stąd zabrać.

- Co się dzieje? – spytał Tuluk.

– Jestem skrępowany, leżę na wznak, a jakiś Palenki już tu idzie, żeby mnie zabić. Widzę go w świetle ogniska. Niesie z sobą coś, co wygląda na siekiere. Za chwilę będzie mnie rąbał. Wiesz jak oni...

- Nie mogę nic powiedzieć Furuneowi. On nie...

- To powiedz Kalebanowi!

- Wiesz dobrze, że z Kalebanami nie da się połączyć!

- Zrób to natychmiast, ośle!

Ponieważ McKie się tego domagał, Tuluk – przypuszczając że McKie może wiedzieć, o czym mówi – przerwał kontakt i podał zlecenie Taprisjotowi. Było to sprzeczne ze

zdrowym rozsądkiem – wszystkie dane wskazywały, że Taprisjoci nie mogą łączyć ras rozumnych z Kalebanami.

Obserwujący pomrukającego i chichoczącego Tuluka zgromadzeni w sali konferencyjnej zauważyli, że nagle się uspokoił, z powrotem wrócił do chichotransu, wreszcie zastygł w bezruchu. Bildoon, gotowy już krzyknąć do Tuluka, czego, do licha, się dowiedział, zawahał się. Walcowate ciało wysokiego Wreava było takie... takie nieruchome.

– Ciekawe, czemu Tapek powiedział, że musi łączyć się przez Kalebana – szepnął Siker. Bildoon wzruszył ramionami.

– Wiecie – powiedział jakiś Chither siedzący niedaleko Tuluka – mógłbym przysiąc, że on kazał temu Taprisjotowi połączyć się z Kalebanem.

– Nonsens – odpowiedział Siker.

– Nic z tego nie rozumiem – ciągnął dalej ten sam Chither. – Jak McKie może nie wiedzieć gdzie jest? Przecież sam tam musiał się dostać.

– Czy Tuluk jest jeszcze w chichotransie, czy już nie? – spytał Siker z lękiem w głosie. – Zachowuje się jakby go w ogóle nie było.

Wszyscy zamilkli, zmrozeni tą myślą. Wiedzieli co Siker chciał powiedzieć. Czy Wreave dał się pogrążyć bez wyjścia w tym połączeniu? Czy już go stracili, zawieszono w tej dziwnej odchłani. z której osobowość nigdy nie wracała?

– NATYCHMIAST! – ryknął jakiś głos.

Zebrani odskoczyli od stołu, gdy ciało McKie'ego potoczyło się po nim w chmurze pyłu i piachu. Wylądował na plecach bezpośrednio przed Bildoonem, który aż poderwał się z fotela. McKie wyglądał strasznie – miał pokrwawione nadgarstki, oszalałe oczy i rude włosy zmierzwiłone jak kupa splątanych wodorostów.

– Natychmiast – wyszeptał McKie. Przewrócił się na bok. zobaczył Bildoona i, jakby to miało wszystko wyjaśnić, powiedział:

– Siekiera już opadała.

– Jaka siekiera? – spytał Bildoon, siadając z powrotem na swoim fotelu.

– Ta, którą Palenki celował w moją słowę.

– CO?!

McKie usiadł, rozmasowując miejsca po więzach na nadgarstkach. Po chwili uczynił to samo z kostkami u nóg. Wyglądał zupełnie jak bożek-żaba Gowachinów.

– McKie, wytłumacz natychmiast co się tu dzieje – rozkazał Bildoon.

– Ja... no dobrze, czemu Furuneo czekał do ostatniej chwili? Ona prawie rzeczywiście okazała się moją ostatnią. Powiedziałem sześć godzin, nie więcej. Nie tak? – McKie spojrzał na Tuluka, który nadal był całkiem sztywny, siedząc na swoim specjalnym podeście jak szara rura od komina.

– Furuneo nie żyje – powiedział Bildoon.

– A niech to – szepnął McKie. – Jak? Bildoon krótko wyjaśnił okoliczności śmierci Furunea.

– A gdzie ty byłeś? – zapytał. – Co to było z tym Palenką z siekierą?

McKie, nie schodząc ze stołu, złożył chronologiczny raport z ostatnich wydarzeń. Mówił jakby jego opowiadanie dotyczyło kogoś innego. Zakończył prostym stwierdzeniem:

– Nie mam pojęcia, gdzie byłem cały ten czas.

– Zamierzali cię... porąbać? – spytał Bildoon.

– Siekiera już opadała – odpowiedział McKie. – Była dokładnie tu – McKie podniósł rękę na jakieś sześć centymetrów ponad swój nos.

– Z Tulukiem coś nie w porządku – chrząknął Siker. Wszyscy się odwrócili.

Tuluk nadal spoczywał z zamkniętą pokrywą twarzową na swoim podeście. Jego ciało było obecne, ale nie on sam.

– Czy on... czyśmy go stracili? – wychrypiał Bildoona i odwrócił głowę. Jeżeli Tuluk nie wróci... to jakże to będzie podobne do utraty osobowości doświadczanej Przez Pan Spechi.

– Niech ktoś tam szturchnie tego Taprisjota – rozkazał McKie.

– Po co? – to był głos jednego z mężczyzn z działu obsługi prawnej. – Nigdy nie odpowiadają na pytania o... no wiecie – spojrzał niespokojnie na Bildoona, siedzącego dalej z odwróconą głową.

– Tuluk połączył się z Kalebanem – przypomniał sobie McKie. – Powiedziałem mu... nie dało się tego zrobić inaczej bez Furunea – wstał i przeszedł po stole do Taprisjota. Pochylił się nad nim.

– Hej, ty! – krzyknął. – Taprisjocie!

Odpowiedziała mu tylko cisza.

McKie przesunął palcem wzdłuż gałązki igieł głosowych. Zaklekotały jak pas drewnianych kołatek, ale z Taprisjota nie wydobył się żaden zrozumiały dźwięk.

– Nie powinno się ich dotykać – ktoś powiedział.

– Sprowadźcie tu jeszcze jednego Taprisjota – rozkazał McKie.

Ktoś wybiegł z sali.

McKie otarł czoło z potu. Z trudem udawało mu się zmobilizować wystarczająco siły by nie drżeć jak osika. Czekać na cios siekiery Palenki pożegnał się już ze światem. Na dobre, na zawsze i nieodwołalnie. Nadal nie mógł całkiem powrócić do świata żywych, wydawało mu się, że to kto inny jest w jego ciele, ktoś obcy, ale jakby znajomy, że ogląda jego wybryki jak jakiś bezstronny obserwator. Ten pokój, słowa które słyszał, wszystko co się wokół niego działo, wszystko to wydawało się być jakby częścią jakiejś wypaczonej, nierealnej rzeczywistości, tak wypolerowanej, że pozostawała jedynie naga sterylność. W chwili kiedy zaakceptował fakt swojej śmierci uświadomił sobie, że tyle jeszcze zostało rzeczy, których chciałby doświadczyć. Ani przebywania na tej sali. ani wykonywania obowiązków agenta BuSabu nie było na tej liście. Ta rzeczywistość była zupełnie przesłonięta przez egoistyczne wspomnienia. Mimo to, jego ciało nadal było posłuszne nałożonym nań obowiązkom. Ot, co czyniły lata szkolenia.

Następny Taprisjot został zagoniony na salę konferencyjną, głośno protestując skrzypliowymi piskami swoich igieł głosowych. Nie przestał narzekać, nawet gdy go windowano na stół.

– Macie Taprisjota! Czego chcecie?

Bildoona odwrócił się do stołu, przyglądał się rozgrywającej się przed nim scenie bez słowa, zamknięty w sobie. Kto raz wpadł w pułapkę połączenia dalekosiężnego, ten już tam zawsze zostawał, nigdy nikogo jeszcze nie udało się uratować.

– Połącz się z tym tu Taprisjotem! – zarządał McKie, zwracając się do nowo wprowadzonego Taprisjota.

– Putcza, putcza... – zaczął nowy Taprisjot.

– Nie żartuję! – ryknął McKie.

– Asyda dej-dej – zaczął Taprisjot.

– Jak się natychmiast nie pospieszysz to każę cię pociąć na podpałkę – warknął McKie. – Łącz się!

– Z kim chcesz łączyć?

– Nie ja, ty choino! – zawył McKie. – Ich masz połączyć – wskazał na Tuluka i pierwszego Taprisjota.

– Oni przyczepieni do Kalebana – odpowiedział nowy Taprisjot. – Z kim chcesz łączyć?

– Jak to, przyczepieni? – zdziwił się McKie.

– Splątani? – zaryzykował Taprisjot.

– Czy można się z którymkolwiek z nich połączyć? – spytał McKie.

– Niedługo rozplątani, wtedy łączyć – odpowiedział Taprisjot.

– Patrzcie! – zawołał Siker.

McKie okręcił się na pięcie jak błyskawica. Pokrywa twarzowa Tuluka otworzyła się częściowo. Ssawka ustna wysunęła się na kilka centymetrów do przodu, po czym cofnęła z powrotem.

McKie wstrzymał oddech.

Pokrywa twarzowa Tuluka otworzyła się nieco szerzej.

– Fantastyczne – powiedział Tuluk. – Tuluk? – powiedział McKie.

Pokrywa otworzyła się całkowicie, odsłaniając oczy Wreava.

– Tak? Ach, McKie. Udało ci się – powiedział Tuluk.

– Łączyć teraz? – zaskrzypiał nowy Taprisjot.

– Zabierzcie go stąd – rozkazał McKie. Taprisjota, krzyczącego „Jeśli nie łączyć, to po co wołasz?!” wyniesiono z sali.

– Co się z tobą działo, Tuluk? – spytał McKie.

– Trudno to będzie wytłumaczyć – odparł Tuluk.

– Spróbuj.

– Zakotwienie – powiedział Tuluk. – To ma coś do czynienia ze wzajemnymi pozycjami planet, z tym czy punkty pomiędzy którymi odbywa się połączenie są odpowiednio do siebie ustawione w przestrzeni kosmicznej. Z tym połączeniem był jakiś kłopot, może jakaś gwiazda zasłaniała, czy coś takiego. No i to był kontakt z Kalebanem.. Nie ma takich słów, żeby o rym wam można było opowiedzieć.

– A ty, czy ty rozumiesz co się z tobą stało?

– Chyba tak. Wiesz, nie zdawałem sobie sprawy z tego gdzie my żyjemy.

– Co? – McKie przyglądał mu się w zdumieniu.

– Coś tu jest nie w porządku – powiedział Tuluk. – Ach tak, Furuneo.

– Mówiłeś coś, że nie wiedziałeś gdzie żyjemy – nalegał McKie.

– Zajmowanie przestrzeni, rzeczywiście – powiedział Tuluk. – Żyjemy w przestrzeni zajmowanej przez wielu... eee, synonimicznych? tak, synonimicznych użytkowników.

– O czym ty mówisz?

– Połączyłem się z Kalebanem, wtedy kiedy z tobą rozmawiałem – mówił dalej Tuluk. – Zdawało mi się, że nasza rozmowa przechodzi przez maleńką dziurkę w wielkiej, czarnej kurtynie, a tą dziurką jest Kaleban.

– Więc byłeś w kontakcie z Kalebanem?

– Och tak. Rzeczywiście byłem w kontakcie z Kalebanem – ssawka ustna Tuluka poruszała się w sposób zdradzający podniecenie. – Widziałem! Tak jest, widziałem.. eee, wiele klitek równoległych filmów. Oczywiście, tak naprawdę to ich nie widziałem. To było to oko.

– Oko? Jakie oko?

– Ta dziurka – tłumaczył Tuluk. – Jest oczywiście też naszym okiem.

– Rozumiesz coś z tego, McKie? – spytał Bildoon.

– Moim zdaniem on mówi tak, jak mówią Kalebany – McKie wzruszył ramionami. – Może jakoś został tym nasycony. Splatany?

– Obawiam się – powiedział Bildoon – że informacje przekazywane przez Kalebanów są zrozumiałe tylko dla kompletnych wariatów.

McKie otarł pot z górną wargi. Wydawało mu się, że prawie rozumie, co mówi Tuluk. Znaczenie jego słów unosiło się gdzieś na granicy świadomości, już prawie, prawie je miał, ale

jakoś mu się wymykało.

– Tuluk – powiedział Bildoan – spróbuj nam wytłumaczyć, co się z tobą stało. Nic z tego co mówisz nie rozumiemy.

– Staram się.

– Próbuj dalej – zachęcił go McKie.

– Byłeś w kontakcie z Kalebanem – powiedział Bildoan.

– Jak się to stało? Zawsze myśleliśmy, że to niemożliwe.

– Po części było to dzięki temu, że Kaleban chyba pośredniczył w mojej rozmowie z McKie'im

– odparł Tuluk.

– Wtedy... McKie kazał mi połączyć się z Kalebanem. Może to usłyszał.

Tuluk zamknął oczy, pogrążył się w zadumie.

– No i co dalej? – spytał Bildoan.

– Ja... to było... – Tuluk pokręcił bezradnie głową, otworzył oczy, rozglądając się błagalnym wzrokiem po sali. Spotkały go wszędzie zaciekawione, pytające oczy. – Wyobraźcie sobie dwie pajęczyny – powiedział – naturalne pajęczyny, nie takie jakie są robione na zamówienie... przypadkowe pajęczyny. Wyobraźcie sobie, że one muszą się... skontaktować ze sobą... pewna zgodność między nimi, pewna styczność, zgryz...

– Jak zgryz w szczęce? – spytał McKie.

– Może. W każdym razie, ta konieczna zgodność – ten kształt konieczny do kontaktu – zakłada odpowiednie łączniki. McKie ciężko westchnął.

– Co to, do jasnej cholery, są łączniki? – spytał.

– Ja teraz idę? – wtrącił się nagle pierwszy Taprisjot.

– Psiakrew! – zaklął McKie. – Wyrzucicie to stąd! Taprisjota pośpiesznie wyniesiono z sali.

– Tuluk, co to są łączniki – spytał jeszcze raz McKie.

– Czy to takie ważne? – wtrącił się Bildoan.

– Uwierzcie mi na słowo – powiedział McKie – i dajcie mu odpowiedzieć. To ważne. Tuluk?

– Mmmmmmm... – powiedział Tuluk. – Zdajecie sobie sprawę, oczywiście, że kopia może zostać udoskonalona do punktu w którym staje się praktycznie nierozróżnialna od oryginalnego pierwowzoru?

– Co to ma do czynienia z łącznikami?

– Dokładnie w tym punkcie jedyną różnicą pomiędzy oryginałem i kopią jest łącznik.

-Co?

– Popatrz na mnie – powiedział Tuluk.

– Cały czas się na ciebie patrzę!

– Załóżmy, że weźmiesz maszynę do produkcji syntetycznego białka i wyprodukujesz w niej dokładną replikę mojego ciała...

– Dokładną replikę...

– Mógłbyś to zrobić, nie?

– Mógłbym, ale po co?

– Na razie tylko załóżmy, że to robisz. Wysłuchaj reszty, nim zaczniesz zadawać pytania. A więc replikę tak dokładną, żeby nawet informacje zawarte na poziomie komórkowym były te same. To ciało będzie wiedziało wszystko, co ja wiem, pamiętało wszystko, co ja pamiętam i reagowało w ten sam sposób co ja. Zapytaj je o coś, a odpowie ci tak samo, jak ja bym odpowiedział. Nawet moi współmałżonkowie by nas nie mogli rozróżnić.

– I co z tego?



– Czy byłyby między nami jakaś różnica? – spytał Tuluk.

– Przecież sam powiedziałaś...

– Byłaby jedna jedyna różnica, prawda?

– Element czasu. ta...

– Więcej niż to – powiedział Tuluk. – Jeden by wiedział, że jest kopią. Z drugiej strony, na przykład ten krześlak, na którym siedzi Bildoon to już zupełnie co innego, nie?

– Co?

– To bezmyślne zwierzę – powiedział Tuluk.

McKie spojrział na krześlaka, o którym mówił Tuluk. Jak wszystkie krześlaki i ten był produktem manipulacji genetycznych, przeszczepiania i selekcji materiału genetycznego. Co tu miało do rzeczy, że ten krześlak był teoretycznie dalej zwierzęciem, a w każdym razie miał kiedyś zwierzęcych przodków?

– Co ten krześlak je? – spytał Tuluk.

– Jak to co? Syntetyczne żarcie, które się dla nich hoduje – McKie odwrócił się do Wreava, przyglądając mu się z uwagą.

– Ale ani ten krześlak, ani jego żarcie nie są takie same, jak ciała ich przodków – ciągnął dalej Tuluk. – Żarcie hodowane w maszynach do syntetycznego białka jest nieskończonym, seryjnym łańcuchem białka. Krześlaki to kawały mięsa, które z zamiłowaniem wykonują swoje zadania.

– Oczywiście! Przecież potośmy je... zrobili – powiedział McKie. Nagle oczy mu się otwały szeroko jak latarnie. Zaczynał rozumieć, do czego Tuluk zmierza.

– Te różnice to właśnie łączniki – powiedział Tuluk.

– McKie, rozumiesz te bzdury? – spytał Bildoon. McKie spróbował przełknąć ślinę, ale w gardle mu całkiem zaschło.

– Kaleban widzi tylko te... wyrafinowane różnice? – spytał.

– I nic poza tym – odparł Tuluk.

– Wiec nie widzi nas jako... kształt, rozmiar czy...

– Ani nawet jako trwanie w czasie, tak jak my rozumiemy czas – powiedział Tuluk. – Jesteśmy może jakimiś węzłami na stojącej fali. Czas dla Kalebana, to nie coś wyciskającego się jak z tubki. To bardziej jakby linia, którą twoje zmysły przecinają.

– Phuuuu – McKie wypuścił głośno oddech.

– Nie widzę, żeby to wszystko cokolwiek nam pomagało. – wtrącił się Bildoon. – Naszym głównym zadaniem w tej chwili nadal jest odnalezienie Abnethe. McKie, czy masz jakiegokolwiek pojęcie, gdzie Kaleban cię wysłał?

– Widziałem tam gwiazdy – odparł McKie. – Prosto stąd pójdę, żeby mi odczytali obraz pamięciowy i sprawdzimy ten rozkład gwiazd w komputerze.

– Jeżeli w ogóle mamy rozkład gwiazd z tej planety w archiwach – dodał Bildoon.

– A co z tą osadą niewolnicza, na którą McKie się natknął? – spytał jeden z radców prawnych. – Moglibyśmy zażądać...

– Czy wy w ogóle słuchacie, o czym się mówi? – jęknął McKie. – W tej chwili najważniejsze to znaleźć Abnethe. Wydawało mi się, że już ją mamy, ale teraz zaczynam się obawiać, że to wcale nie będzie takie proste. Gdzie ona jest? Jak możemy pójść do sądu i powiedzieć: „Znajdującej się w nieznanym miejscu, na nieznaną galaktyce osobie, która

prawdopodobnie nazywa się Mliss Abnethe, zarzuca się popełnienie...”

– Masz jakiś lepszy pomysł? – warknął ten sam radca prawny.

– Kto pilnuje Frani teraz, kiedy Furuneo nie żyje? – spytał McKie.

– Czterech strażników w środku pilnuje... miejsca, gdzie ona jest i czterech na zewnątrz pilnuje tych w środku – powiedział Bildoona. Pewny jesteś, że nie wiesz już o niczym, co by nam mogło pomóc w zidentyfikowaniu planety, na której byłeś?

– Absolutnie.

– Wniesienie teraz skargi przez McKie'ego byłoby bezsensowne. Nie... już lepiej byłoby ją oskarżyć o udzielanie schronienia – aż cały zadrżał, gdy to powiedział – ukrywającemu się przestępcy rasy Pan Spechi.

– Czy znamy tożsamość tego przestępcy? – spytał McKie.

– Jeszcze nie. Nie ustaliliśmy odpowiedniego trybu postępowania – Bildoona spojrzął na siedzącą obok Tuluka kobietę z wydziału obsługi prawnej. – Hanaman? – powiedział.

Hanaman odchrząknęła. Była delikatną dziewczyną z gęstą czupryną kasztanowych włosów opadających jej na ramiona w łagodnych falach, podłużną owalną twarzą z parą spokojnych, niebieskich oczu, drobnym nosem i brodą, i szerokimi, pełnymi ustami.

– Uważasz, że to jest temat do dyskusji teraz, na pełnym zebraniu zarządu?

– Gdybym tak nie uważał, to bym ci nie zadał tego pytania – odparł Bildoona.

McKie'emu przez moment wydawało się, że Hanaman od takiej publicznej nagany staną łzy w oczach, ale zapanowała nad sobą błyskawicznie, wydeła usta i potoczyła wzrokiem po sali konferencyjnej mierząc spokojnie wszystkich obecnych. Zobaczył, że nie tylko jest inteligentna, ale i zdaje sobie sprawę, że nie brakuje tu wrażliwych na jej wdzięki.

– McKie – powiedziała – czy musisz stać na stole? Nie jesteś Taprisjotem.

– Dzięki za przypomnienie – powiedział, zeskakując ze stołu. Znalazł wolnego krzesła i usiadł na przeciwko niej, intensywnie się w nią wpatrując.

– Żeby wszystkich zorientować w najnowszych wydarzeniach – Hanaman mówiła teraz w kierunku Bildoona – jakieś dwie godziny temu Abnethe próbowała, przy pomocy jednego Palenki, wysmagać batem Kalebana. Zgodnie z naszymi rozkazami, jeden ze strażników starał się temu zapobiec. Obciął Palence miotaczem ramię. W konsekwencji prawnicy Abnethe starają się teraz uzyskać nakaz sądowy zabraniający nam ingerencji.

– Z tego wynika, że musieli być przygotowani zawczasu – powiedział McKie.

– Oczywiście – zgodziła się z nim Hanaman. – Zarzucają nam bezprawny sabotaż, nadużycie władzy przez instytucję publiczną, okaleczenie, niezgodne z prawem zachowanie, złośliwe intrygi, utajenie przestępstwa...

– Nadużycie władzy? – zdziwił się McKie.

– Ta sprawa podlega sądom robo-prawnym, nie jurysdykcji Gowachinów – odpowiedziała Hanaman. – Nie musimy oczyścić oskarżyciela z zarzutu, zanim przystąpimy do... – przerwała, wzruszając ramionami. – Zresztą wszyscy to wiecie. BuSab jest oskarżany o zbiorową odpowiedzialność za bezprawne i krzywdzące czyny popełnione przez swoich agentów w trakcie wypełniania obowiązków zleconych im...

– Zaraz! Chwileczkę! – krzyknął McKie. – To znacznie odważniejsze. niż bym się po nich spodziewał.

– A dalej, zarzucają nam popełnienie przestępstwa przez zaniedbanie zapobieżenia powstania czynu przestępnego i niepostawienie sprawcy tego czynu do odpowiedzialności karnej.

– Powołują się na konkretne osoby, czy oskarżają bezosobowo? – spytał McKie. ...

– Bezosobowo.

– Jeżeli są aż tak odważni, to znaczy że muszą być w rozpaczliwej sytuacji – powiedział McKie. – Dlaczego?

– Wiedzą, że nie będziemy siedzieć z założonymi rękoma, kiedy nasi ludzie są mordowani – powiedział Bildoon. – Wiedzą, że mamy kopię jej kontraktu z Kalebanem, a kontrakt ten daje jej wyłączność na używanie jego skokwłazu. Nikt inny nie mógłby być odpowiedzialny za śmierć Furunea, a sprawca...

– Nikt poza Kalebanem – wtrącił McKie.  
Na sali zapadła głęboka cisza.  
Po chwili pierwszy odezwał się Tuluk:  
– Chyba nie wierzysz...  
– Oczywiście – przerwał mu McKie. – Ale nie mógłbym dowieść tego w robo-prawnym sądzie.  
A przedstawia to interesujące możliwości.  
– Głowa Furunea – powiedział Bildoon.  
– Słusznie – dodał McKie. – Musimy zażądać głowy Furunea.  
– A co, jeśli będą twierdzić, że głowę zatrzymał Kale-ban? – spytała Hanaman.  
– Nie mam zamiaru ich o nią prosić – powiedział McKie. – Poproszę Kalebana.  
Hanaman przytaknęła, trzymając oczy wlepione w McKie'ego z wyrazem uwielbienia.  
– Bardzo sprytnie – szepnęła. – Jeżeli będą ingerować, to są winni, Ale jeżeli dostaniemy głowę... – urwała, spoglądając na Tuluka.  
– Co o tym myślisz, Tuluk – spytał Bildoon. – Coś ci się uda z niej wyciągnąć?  
– To wszystko zależy od czasu, jaki upłynie pomiędzy jego śmiercią a tym, kiedy się do niej podłączymy – odpowiedział Tuluk. – Przewodnictwo nerwowe też ma swoje granice, jak wszyscy dobrze wiecie.  
– Wiemy – odpowiedział Bildoon.  
– Taak... – powiedział McKie. – W takim razie tylko jedno pozostaje mi do zrobienia, co?  
– Na to wygląda – zgodził się Bildoon.  
– Czy ty odwołasz strażników, czyja mam to zrobić? – spytał McKie.  
– Zaraz, zaraz! – zawołał Bildoon. – Wiem, że musisz wracać do Arbuza, ale czemu...  
– Muszę być sam – przerwał mu McKie.  
– A to dlaczego?  
– Mogę zażądać wydania głowy Furunea przy świadkach – odpowiedział McKie. – Ale to nie wystarczy. Oni chcą mnie. Uciekłem im, a nie mają pojęcia ile ja wiem o ich kryjówce.  
– A ile wiesz? – spytał Bildoon.  
– Już żeśmy to przerabiali – odparł McKie.  
– Wiec teraz chcesz bawić się w przynętę?  
– Nie nazwałbym tego tak – odpowiedział McKie – ale jeżeli będą mnie mieli samego, to może spróbują się ze mną targować. Może nawet...  
– Może nawet skrócą cię o głowę! – warknął Bildoon.  
– Nie myślisz, że warto spróbować? – spytał McKie. Rozejrzał się wśród wpatrzonych w niego z uwagą twarzy. Hanaman odchrząknęła.  
– Widzę pewne wyjście – powiedziała. Wszystkie oczy zwróciły się na nią.  
– Możemy umieścić McKie'ego pod obserwacją Taprisjotów – powiedziała.  
– Jeżeli będzie tam siedział w chichotransie, to dopiero z niego zrobi idealną ofiarę – powiedział Tuluk.  
– Nie, jeżeli kontakty Taprisjotów będą utrzymywane na minimum, powiedzmy raz ha kilka sekund – odparła.  
– Dopóki nie wołam pomocy, to Tapek się wyłącza – dodał McKie. – To mi się podoba.

- A mi się nie podoba – powiedział Bildoon. – Co będzie, jeżeli...
- Myślisz, że będą za mną rozmawiać szczerze, jeżeli wszędzie się będą kręcili strażnicy? – spytał McKie.
- Nie, ale jeżeli możemy zapobiec...
- Świetnie wiesz, że nie możemy.
- Musimy mieć te kontakty pomiędzy McKie'im a Abnethe – powiedział Tuluk – jeżeli mamy spróbować określić jej lokalizację.
- Bildoon niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w stół.
- Arbuz siedzi nieruchomo na Serdeczności – dowodził McKie. – Serdeczność ma znany okres obiegu wokół swojej gwiazdy. W chwili każdego kontaktu Arbuz będzie skierowany w przestrzeni w pewnym kierunku – po linii najmniejszego oporu w nawiązaniu połączenia. Wystarczająca ilość kontaktów określi w przestrzeni stożek...
- W którym gdzieś znajduje się Abnethe – dopowiedział Bildoon, podnosząc wzrok ze stołu. – Pod warunkiem, że to się rzeczywiście tak odbywa.
- Łączniki kontaktu muszą szukać odpowiedniej koniunkcji w otwartej przestrzeni – powiedział Tuluk. – Pomiędzy łączonymi punktami nie mogą znajdować się żadne większe gwiazdy, większe chmury wodorowe, żadne grupy planet...
- Znam tę teorię – przerwał mu Bildoon. – Ale żadna teoria nie jest potrzebna na wytłumaczenie tego, co oni są w stanie zrobić z McKie'im. Nawet im nie zajmie dwóch sekund, żeby spuścić mu skokwłaz na szyję i... – Bildoon pociągnął palcem po gardle.
- To niech Tapek nawiązuje ze mną kontakt co dwie sekundy – powiedział McKie. – Zorganizuj taką sztafetę. Weź agentów do...
- A co, jeżeli nie spróbują się z tobą skontaktować? – spytał Bildoon.
- To będziemy musieli im zrobić jakąś dywersję – odparł McKie.

*Absolutu nie da się dojrzeć przez parawan tłumaczy.*

## **Przysłowie Wreawów**

McKie widywał już domy dziwniejsze niż ten Arbuz. Było w nim oczywiście niesamowicie gorąco, ale to przecież odpowiadało jego mieszkańcowi. Niektórzy rozumni żyli w jeszcze gorętszych klimatach. Ta olbrzymia łyżka, w której dawała się odczuć antyobecność Kalebana – no, to mogła być taka jakby kanapa. Rączki i dźwignie na ścianach, światła i cała ta reszta – to wszystko wyglądało w miarę konwencjonalnie, chociaż McKie wątpił, czy byłby w stanie domyślić się, do czego większość z nich służy. Zautomatyzowane domy Breedywiów pełne były znacznie bardziej niecodziennie wyglądających urządzeń.

Sufit był trochę niski, ale dało się stać prosto. Fioletowy blask był nawet mniej denerwujący niż na przykład pulsoświetlenie Gowachinów, wymagające od większości pozostałych rozumnych noszenia podczas wizyt gogli ochronnych. Podłoga Arbuza nie przypominała żadnego ze zwykle stosowanych żywych stworzeń, ale była miękka. W tej chwili nadal śmierdziała od pyrocenowych środków dezynfekujących i unoszące się z niej opary były, w wysokiej temperaturze wnętrza, trochę dławiące.

McKie potrzęsnał głową. Przelatujący przez nią co dwie sekundy bzyk kontaktu Taprisjota był dość denerwujący, ale jakoś dało się go wytrzymać bez utraty koncentracji.

– Twój towarzysz doświadczył ostatecznej nieciągłości – wytłumaczyła mu Kaleban. – Jego substancja została usunięta.

Substancja, czytaj: krew, ciało i kości, przetłumaczył sobie McKie. Miał nadzieję, że tłumaczy słowa Kalebana w miarę dokładnie, ale – ostrzegł samego siebie – lepiej na to za bardzo nie liczyć.

Gdyby tu mogło być trochę świeżego powietrza, pomyślał. Choćby najmniejszy przeciąg.

Otarł pot z czoła, wypił łyk wody z butelki, której tym razem nie zapomniał zabrać ze sobą.

– Ciągle tu jesteś, Franiu? – zapytał.

– Obserwujesz moją obecność?

– Prawie.

– To jest nasz wspólny problem – jak widzieć się nawzajem – powiedziała Kaleban.

– Widzę, że zaczynasz pewniej odmieniać czasowniki – powiedział McKie.

– Zaczynam kapować tak?

– Mam nadzieję.

– Określam je w czasie jako pozycję węzłową – powiedziała Kaleban.

– Lepiej mi tego nie próbuj wytłumaczyć.

– Bardzo dobrze. Stosuję się.

– Chciałbym, żebyś jeszcze raz spróbowała mi wytłumaczyć, jak biczowania są rozmieszczone w czasie – poprosił McKie.

– Kiedy kształty osiągają odpowiednie proporcje – odpowiedziała Kaleban.

– Już to mówiłaś. Jakie kształty?

– Już? – spytała Kaleban. – To oznacza wcześniej?

– Wcześniej – odparł McKie. – Bardzo dobrze. Powiedziałaś już to o kształtach przedtem.

– Wcześniej, już i przedtem – powiedziała Kaleban. – Tak, czasy różnych koniunkcji. przez liniowe zmiany przecinających się łączników.

Czas, dla Kalebanów, jest punktem na linii, przypomniał sobie McKie, wspominając próby tłumaczenia tego przez Tuluka. Musze szukać wysublimowanych różnic; to jedyne co to stworzenie widzi.

– Jakie kształty? – powtórzył McKie.

– Kształty określone przez linie trwania – powiedziała Kaleban. – Ja widzę wiele linii trwania. Ty, co dziwne, odbierasz wrażenia wzrokowe jedynie jednej linii. Bardzo dziwne. Inni nauczyciele tłumaczą to mojej osobie, ale zrozumienie nie-bierze miejsca... ekstremalne zawężenie. Moja osoba podziwia przyspieszenie cząsteczkowe, ale... wymiana podtrzymująca dezorientuje. Dezorientuje! – pomyślał McKie.

– Jakie przyspieszenie cząsteczkowe? – zapytał.

– Nauczyciele określają cząsteczkę jako najmniejszą jednostkę materialną pierwiastków i związków. Czy prawda?

– Tak. Prawda.

– To niesie trudności w zrozumieniu. Własna osoba musi je kłaść na karb różnic w postrzeganiu między naszymi rasami. Powiedzmy – w zamian – że cząsteczka może być określona jako najmniejsza jednostka materialna widoczna dla rasy. Prawda?

Co to za różnica, pomyślał McKie. To wszystko bzdury. Jak w ogóle z rozmowy o odpowiednich proporcjach jakichś nieokreślonych kształtów zbczyli do cząsteczek i przyspieszenia?

– Czemu przyspieszenie? – świdrował dalej McKie.

– Przyspieszenie zawsze odbywa się wzdłuż zbieżnych linii, których używamy podczas rozmowy ze sobą.

Cholera! – pomyślał McKie. Za szybko pociągnął następny łyk wody z butelki i w rezultacie się

zakrztusił. Zgiął się w pół, próbując złapać oddech.

– To gorąco tutaj! – wykrztusił, kiedy już się jako tako pozbierał. – Przyspieszenie cząsteczkowe!

– Czy te stwierdzenia nie są równoznaczne? – spytała Kaleban.

– To obojętne – zakaszłał, nadal prychając wodą. – Kiedy do mnie mówisz... czy to wiośnie to przyspiesza cząsteczki?

– Własna osoba zakłada takie faktyczne warunki. McKie ostrożnie odłożył butelkę wody, założył nakrętkę. Roześmiał się.

– Nie rozumiem twoich słów – zaprotestowała Kaleban.

McKie potrząsnął głową. Słowa Kalebana nadal dochodziły do niego w ten sam sposób, zupełnie niepodobny do mowy, ale tym razem odczuł w nich ton sprzeciwu, jakby

kłótni. Może bardziej akcent niż ton, może cień czegoś takiego. Przestał o tym myśleć, ogarnięty atakiem śmiechu.

– Nie rozumiem – powtórzyła Kaleban. Przyprawiło go to ojeszcze większy atak śmiechu.

– Uff! – wykrztusił, kiedy już odzyskał głos. – Więc mowa to jednak nie tylko lanie wody! Ha, ha! Nie lanie, a grzanie!

I znowu zaczął zwijać się ze śmiechu.

Położył się na plecy, wziął głęboki oddech. Usiadł z powrotem, wypił jeszcze jeden łyk wody, zakręcił i odłożył butelkę.

– Wytlumacz – powiedziała Kaleban. – Wytlumacz te dziwne słowa.

– Słowa? Ach... oczywiście. Śmiech. To nasza normalna reakcja na niegroźne zaskoczenie. Nie przekazuje żadnej innej znaczącej informacji.

– Śmiech – powiedziała Kaleban. – Inne węzłowe spotkania ze słowami doświadczone.

– Inne węzłowe... – McKie przerwał. – To znaczy, że słyszałaś już to przedtem, tak?

– Przedtem. Tak. Ja... własna osoba... Próbuję zrozumienia sformułowania śmiech. Zbadamy znaczenie teraz?

– Może lepiej nie – zaoponował McKie.

– Odpowiedź odmowna? – spytała Kaleban.

– Tak jest. Odmowna. Znacznie bardziej interesuje mnie to, co powiedziałaś o... wymianie podtrzymującej. Tak to powiedziałaś, prawda? Wymiana podtrzymująca dezorientuje?

– Próbuję określenia pozycji dla was, dziwnych jednorowców – powiedziała Kaleban.

– Jednorowcy? Ty nas tak odbierasz? – McKie nagle poczuł się bardzo mały i nieważny.

– Stosunki łączników jeden do wielu, wiele do jednego – powiedziała Kaleban. – Wymiana podtrzymująca.

– Jak, do jasnej cholerny, zapędziliśmy się w ten ślepy zaułek? – spytał McKie.

– Pożądasz odnośników pozycyjnych do zajścia biczowań, to zaczyna naszą rozmowę – odpowiedziała Kaleban.

– Zajścia... tak.

– Rozumiesz działanie G'oka? – spytała Kaleban.

McKie wypuścił głośno powietrze z płuc. O ile się orientował, to nigdy jeszcze żaden Kaleban nie zechciał nikomu wytłumaczyć zasad działania G'oka. Zasady korzystania ze skokwłazów, to co innego – to zostało wyjaśnione dokładnie. Ale działanie, teoria kryjąca się za tym...

– Ja... echm, wiem, jak używać skokwłazów – powiedział McKie. – Wiem co nieco, jak zbudowane są urządzenia sterujące i jak sieje...

– Urządzenia co innego niż działanie!

– Oczywiście tak – zgodził się McKie. – Tak samo jak słowo nie jest tym samym, co rzecz, którą określa.

– Dokładnościowo! My mówimy – teraz będę tłumaczyć, rozumiesz? – my mówimy określenie omija węzeł. Masz to kapowane?

– Eee... tak. Kapuję – przytaknął McKie.

– Polecam linię kapowania jako dobrą myśl – powiedziała Kaleban. – Własna osoba, ja wierzę, że zaczynamy się naprawdę rozumieć. Zaczynam to ciekawić.

– Zaczyna cię to ciekawić.

– Nie. Ja zaczynam to ciekawić.

– Wspaniale – powiedział McKie zmęczonym głosem. – I to ma znaczyć, że się rozumiemy?

– Zrozumienie rozsiewa... rozprasza? Tak, zrozumienie rozprasza się, gdy rozmawiamy o łącznikach. Obserwuję łączniki w waszej... psychice. Jako psychika rozumiem „drugie ja.” Prawda?

– Czemu nie? – zgodził się McKie.

– Ja widzę – powiedziała Kaleban, ignorując zrezygnowany ton McKie'ego – układy psychiki, może jej kolory. Zbliżalność i sięgalność dotykają świadomością. Osiągam dzięki temu rozwiązanie inteligencji i być może rozumiem co znaczy wasze określenie „masa gwiazdna.” Własna osoba rozumie będąc masą gwiazdną, masz to kapowane, McKie?

– Mam kapowane? O, tak... pewnie.

– Wspaniale! Teraz nadchodzi zrozumienie waszej... wędrówki. To trudne słowo, McKie. Wędrówka równa się dla was poruszaniu po jednej linii. To nie istnieje wśród nas. Wędruje się, wszyscy wędrują dla Kalebanów po własnej płaszczyźnie. Działanie G'oka łączy wszystkie ruchy z widzeniem. Ja widzę was na inne miejsce waszej zamierzonej wędrówki.

– Widzisz nas... – McKie zainteresował się na nowo dziwnymi wywodami Kalebana – i to nas przenosi z miejsca na miejsce?

– Słyszę rozumnych z waszej planety mówiących tę samość, McKie. Oni mówią „do widzenia odprowadzę cię do drzwi.” No i co ty na to? Widzenie wprawia w ruch.

Widzenie wprawia w ruch? – zastanawiał się McKie. Wytarł czoło, usta. Było tak cholernie gorąco! Cóż to wszystko miało do rzeczy z „wymianą podtrzymującą”?

– Masa gwiazdna podtrzymuje i wymienia – powiedziała Kaleban. – Nie widzi przez siebie samą. Łącznik G'oka przerywa się. Nazywacie to... odosobnieniem? Nie jestem pewna. Ten Kaleban istnieje tylko sam, czy samotnie na waszej płaszczyźnie. Samotny.

Wszyscy jesteśmy samotni, pomyślał McKie.

A i ten wszechświat wkrótce będzie całkiem samotny, jeżeli nie uda mu się znaleźć sposobu na oszczędzenie wszystkim bardzo rychłej śmierci. Czemu taka ważna sprawa musi polegać na kimś, kogo w ogóle nie da się zrozumieć?

Rozmowa z Kalebanem, pod presją wiszącej nad światem zagłady, była swoistą torturą. Pragnął jakoś przyspieszyć proces wzajemnego zrozumienia się, ale nadmierna prędkość wysyłała ich wszystkich jeszcze bliżej końca. Czuł, jak czas wokół niego pędzi nieuchronnie naprzód. Świadomość potrzeby pośpiechu przyprawiała go o mdłości. Chwilami posuwał się do przodu, chwilami stał w miejscu, obserwując ucieczkę czasu – wydawało mu się, że często w ogóle posuwa się w złym kierunku.

Pomyślał o losie, jaki będzie czekał dzieci, dzieci tak małe, że jeszcze nigdy nie przeszły przez skokwłaz. Będą płakać i płakać... a nie będzie już nikogo, kto by mógł przyjść je uspokoić.

Przytłaczała go myśl, że ta straszliwa zagłada będzie tak absolutnie całkowita.

Nikt się nie ocali!

Powstrzymał przyływ irytacji na powtarzający się co chwilę bzyk kontaktu Taprisjota. Przynajmniej towarzyszyło mu to, nie był całkiem sam.

– Czy Taprisjoci przesyłają rozmowy w przestrzeni kosmicznej w ten sam sposób? – zapytał. Czy widza połączenia?

– Taprisjot bardzo słaby – odpowiedziała Kaleban. – Taprisjot nie posiada energii jak Kaleban. Własnej energii, rozumiesz?

– Nie wiem. Może.

– Taprisjot widzi bardzo cienko, bardzo krótko – powiedziała Kaleban. – Taprisjot nie widzi przez masę gwiazdną własnej osoby. Czasem Taprisjot prosi o... podparcie? Wzmocnienie! Kaleban pomaga. Wymiana podtrzymująca, masz kapowanie? Taprisjot płaci, wy płacicie, my płacimy. Wszyscy płacą energią. Zapotrzebowanie energii nazywacie... głód, nie tak?

– Do diabła! – zawołał McKie. – Nawet połowy z tego nie różu...

Muskularne ramię Palenki pojawiło się razem z biczem nad ogromną łyżką Kalebana. Bicz strzelił, wysyłając fontannę zielonych iskier przez fioletowe ciemności panujące w Arbuzie. Ramię i bicz zniknęły tak szybko, jak się pojawiły, zanim McKie zdążył wykonać w ich kierunku jakikolwiek ruch.

– Franiu – wyszeptał -jesteś tu jeszcze? Cisza. Dopiero po chwili doszedł go głos Kalebana.

– Nie śmiech McKie. To co nazywacie zaskoczeniem, ale. nie śmiech. Stanowczo nie. Biczowanie, wielka niespodziewaność.

McKie głęboko odetchnął, zanotował na zegarze mózgowym czas nadejścia biczowania i przekazał go przy najbliższym kontakcie z Taprisjotem.

Pomyślał, że nie ma sensu rozmawiać o bólu. Równie bezsensowne jest rozmawianie o wdychaniu bicza czy wydechaniu własnej substancji... czy wymianach podtrzymujących, czy głodzie, czy masach gwiazdnych, czy Kalebanach przenoszących innych energią widzenia. Próby porozumienia się utknęły w martwym punkcie.

Coś jednak już mieli. Tuluk się nie mylił. Dostępność G'oka do biczowań wymagała jakiegoś rozłożenia w czasie, czy okresowości, którą być może uda się zidentyfikować. Może ma też znaczenie linia wolnej przestrzeni łącząca oba punkty. Jedno jest pewne: Abnethe ulokowała się gdzieś na jakiejś planecie. Zarówno ona, jak i towarzyszący jej tłumek psychopatów znajdują się gdzieś, w jakimś miejscu w przestrzeni, a każde miejsce da się w końcu zlokalizować. Ma ze sobą Palenków, zdrajców Wreavów, wyjętego spod prawa Pan Spechi i, Bóg jeden raczy wiedzieć, kogo jeszcze. Ma też z pewnością Kosmetykerów i może Taprisjotów. A Kosmetykerzy, Taprisjoci i ten Kaleban posługują się tym samym rodzajem energii.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział McKie – zlokalizować planetę, na której znajduje się Abnethe.

– Kontrakt nie zezwala.

– Musisz go honorować, tak? Nawet do śmierci?

– Honorować do ostatecznej nieciągłości, tak.

– A to coraz bliżej, prawda?

– Pozycja ostatecznej nieciągłości staje się widoczna własnej osobie – powiedziała Kaleban. – Być może to znaczy bliżej.

Jeszcze raz ramię i bicz zmaterializowały się jakby znikąd, zalały wnętrze Arbuza kaskadami zielonych iskier i zniknęły równie szybko, jak niespodziewanie się pojawiły.

McKie rzucił się do przodu. Stał u brzegu olbrzymiej łyżki Kalebana. Nigdy przedtem nie



podszedł jeszcze tak blisko. Z niecki łyżki promieniowało jeszcze więcej gorąca, a ramiona przebiegł mu dziwny dreszcz. Kaskada zielonych iskier nie pozostawiła żadnego śladu na podłodze, żadnych pozostałości, znaków. McKie czuł, że antyobecność Kalebana jakby go przyciągała, jakby z tak bliska wywierała na niego jeszcze większy wpływ. Zmusił się do odejścia od łyżki. Dłonie miał złane potem strachu.

Czego jeszcze się tu boję? – zapytał sam siebie.

– Te dwa ostatnie ataki były jeden zaraz po drugim – powiedział McKie.

– Pozycyjna bliskość zauważona – odpowiedziała Kaleban. – Następną zgodność odleglejsza.

Wy mówicie „dalsza”? Prawda?

– Tak. Czy następne biczowanie będzie twoim ostatnim?

– Własna osoba nie wie – powiedziała Kaleban. – Twoja obecność zmniejsza intensywność biczowania. Ty... odrzucasz? Nie, odpierasz!

– Bez wątpienia – powiedział McKie. – Gdybym tak mógł tylko wiedzieć, czemu twoja śmierć znaczy śmierć nas wszystkich.

– Przekazujesz się własną osobą przez G'oko – powiedziała Kaleban. – Więc?

– Nie ja jeden!

– Czemu? Nauczysz wytłumaczenia tego?

– To centralizuje cały ten cholerny świat. To... to spowodowało powstanie wyspecjalizowanych planet – planet dla nowożeńców, planet ginekologicznych, pediatrycznych, planet sportów zimowych, planet dla emerytów, dla pływaków, planet-bibliotek – nawet BuSab ma dla siebie prawie całą planetę. Dziś bez tego już nikt się nie obejdzie. O ile pamiętam, to tylko nieznaczny ułamek jednego procenta wszystkich rozumnych nigdy nie używał skokwłazu G'oka.

– Prawda, McKie. Takie używanie stwarza łączniki. Musisz to mieć skapowane. Łączniki muszą rozsypać się wraz z moją nieciągłością. Rozsypanie wyraża ostateczną nieciągłość dla wszystkich którzy używają skokwłaz G'oka.

– To ty tak twierdzisz. Ja tego dalej nie rozumiem.

– To się zdarza, McKie, ponieważ moi towarzysze wybierają mnie na... koordynatora? Nieodpowiednie'określe-nie. Lejek? Może obsługującego. Nie, dalej nieodpowiednie. Aaach! Ja, moja własna osoba, jestem G'okiem!

McKie cofnął się przed zalewającą go tak wielką falą smutku, że nie mógł stawić jej czoła. Chciało mu się krzyczeć w proteście przeciw jego źródłom. Rzewne łzy popłynęły mu po policzkach. Łkanie targnęło jego gardłem. Taki smutek! Reagował na niego całym ciałem, ale samo uczucie nie pochodziło od niego samego, przychodziło z zewnątrz.

Powoli, wszystko się uspokoiło.

McKie wypuścił bezgłośnie powietrze przez zaciśnięte zęby. Ciało jego nadal drżało po przejściu przezeń tej fali uczuć. Zdał sobie sprawę, że to uczucia Kalebana. Ale zalały go tak, jak fale gorąca promieniujące od łyżki Kalebana, zwały z nóg i przepełniły sobą każdy jego nerw, każdą komórkę na swojej drodze.

Smutek.

Bez wątpienia odpowiedzialność za ogrom nadchodzącej dla wszystkich rozumnych śmierci.

Jestem G'okiem!

Cóż, do wszystkich diabłów, ten Kaleban miał na myśli, mówiąc coś tak dziwnego? Pomyślał o przejściu przez skokwłaz. Łączniki? Może jakieś wiązadła, nitki? Każde istnienie objęte działaniem G'oka rozciąga za sobą – przez skokwłaz – nitki siebie samego. Czy to o coś takiego chodzi? Frania użyła słowa „lejek.” Każdy podróżujący przechodzi przez jej... ręce? Nieważne przez co. W każdym

razie, kiedy ona przestaje istnieć, nitki się przerywają. Wszyscy umierają.

– Czemuście nas o tym nie ostrzegli, kiedy udostępniście nam skokwłazy G'oka? – spytał McKie.

– Ostrzegli?

– Tak! Zaoferowaliście...

– Nie zaoferowali. Towarzysze tłumaczą działanie. Rozumni twojej fali wyrażają wielką radość. Ofiarują wymianę podtrzymującą. Nazywacie to zapłatą, nie tak?

– Powinniście nas ostrzec.

– Czemu?

– No... Nie żyjecie wiecznie, prawda?

– Wytłumacz wiecznie.

– Wiecznie... zawsze. Nieskończoność?

– Rozumni twojej fali szukają nieskończoności?

– Nie dla jednostek, a dla...

– Rasy rozumne, one szukają nieskończoności? – Oczywiście. – Dlaczego?

– A kto jej nie szuka?

– Co z innymi rasami, którym będziecie musieli ustąpić miejsca? Nie wierzycie w ewolucję?

– Ewo... – McKie pokręcił głową. – A co to ma do rzeczy?

– Wszystkie istoty mają okres rozkwitu i odchodzą. Okres, dobre określenie? Okres, jednostka czasu, przydzielona liniowość, normalny zakres istnienia – masz to kapowane?

McKie poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Długość linii, czas istnienia – dodała Kaleban. – Przetłumaczone w przybliżeniu, prawda?

– Ale co daje wam prawo... położyć nam kres? – spytał McKie, odnalazłszy głos.

– Prawo nie przyjęte, McKie – powiedziała Kaleban. – W warunkach odpowiednich łączników inny z moich towarzyszy przejmuje... kontrolę G'oka, zanim własna osoba osiąga ostateczną nieciągłość. Niezwykłe... okoliczności uniemożliwiają takie rozwiązanie. Mliss Abnethe i... wspólnicy skracają wasz jedyny tor. Moi towarzysze odchodzą.

– Uciekli, dopóki jeszcze mieli czas, o ile to dobrze rozumiem – powiedział McKie.

– Czas... tak, wasza linia pojedynczego toru. To porównanie dostarcza odpowiedniego określenia. Niewyczerpującego, ale wystarczającego.

– A ty jesteś definitywnie ostatnim Kalebanem na naszej... fali?

– Własna osoba samotna – odpowiedziała Kaleban. – Kaleban końcowego punktu. Własna osoba potwierdza sformułowanie.

– Nie było żadnego sposobu, żebyś się jakoś uratowała?

– Uratowała? Acha... ominęła? Uniknęła! Tak, uniknąć ostatecznej nieciągłości. To proponujesz?

– Pytam, czy nie miałaś jakiejś możliwości ucieczki, tak jak to zrobili twoi... towarzysze.

– Możliwość istnieje, ale rezultat taki sam dla twojej fali.

– Mogłabyś się uratować, ale dla nas to by też znaczyło koniec, tak?

– Nie posiadacie pojęcia honoru? – spytała Kaleban. – Uratować własną osobę, stracić honor.

– Trafiłaś!

– Wytłumacz trafiłaś. Nowe pojęcie.

– Co? Ach, to bardzo, bardzo stare słowo.

– Słowo początkowości liniowej. mówisz? Tak, te najlepsze w częstotliwości węzłowej.

– Częstotliwości węzłowej?

- Mówicie „często”. Częstoliwość węzłowa zawiera często.
- Rozumiem. Znaczą to samo.
- Nie to samo. Podobność.
- W porządku. Rozumiem.
- Wytłumacz trafiłaś. Jakie znaczenie przekazuje to słowo?
- Przekazuje znaczenie? Ach tak. To stare określenie szermierskie.
- Szermierskie?

McKie wytłumaczył, najlepiej jak umiał, co to takiego szermierka, zaczynając od walki na miecze, zasad walki sam na sam, współzawodnictwa sportowego.

– Udana dotknięcie! – przerwała mu Kaleban głosem pełnym zachwytu. – Przecięcie się węzłowe! Trafienie! Ach, ach! To zawiera dlaczego uważamy waszą rasę tak fascynująco. To pojęcie! Linia cięcia: trafienie! Przebiecie znaczeniem: trafienie!

– Ostateczna nieciągłość – warknął McKie – trafienie! Jak jeszcze daleko do następnego trafienia biczem?

– Przecięcie się trafienia biczem! – powiedziała Kaleban. – Szukasz pozycji przesunięcia Unijnego, tak. To mnie przesuwają. Być może nadal zajmujemy nasze liniowości, ale moja osoba sugeruje inna rasa może potrzebować tych wymiarów. Więc my odchodzimy, opuszczamy istnienie. Nie tak?

McKie pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

– McKie, masz kapowanie co mówię? – spytała Kaleban po chwili ciszy.

– W końcu od czego jest sabotaż? – mruknął do siebie McKie. – Może ci się nie uda.

*Uczyć się języka to to samo, co szkolić się w specyficznych dla niego złudzeniach.*

**Aforyzm Gowachinów**

Cheo, Pan Spechi z utrwaloną osobowością, spoglądał na daleką linię lasów i tonące za nimi w morzu zachodzące słońce. Jak to dobrze, pomyślał, że na tej planecie jest takie morze. Z tarasu rozciągał się widok na wszystkie strony. W głębi lądu widoczne były odległe góry i ciągnące się aż do ich podnóża rozległe równiny. Wieża, którą Abnethe kazała sobie tu zbudować, górowała nad wszystkimi innymi budynkami w mieście.

Wiejący z lewej wiatr chłodził mu policzek, burzył włosy koloru dojrzałej pszenicy. Miał na sobie zielone spodnie i koszulę ze złoto-szarej siatki. To ubranie niecodziennie akcentowało jego humanoidalną budowę – tu i ówdzie uwydatniając przeżące się pod nim węzły inaczej niż u ludzi rozmieszczonych mięśni.

Na twarzy, ale nie w oczach, błąkał mu się uśmiech zadowolenia. Jego oczy, jak oczy wszystkich Pan Spechi, były błyszczące, wielokomórkowe, pokryte siateczką wieloboków – choć granice tych ścianek nieco się zaczęły zacierać po operacji utrwalenia osobowości. Te oczy spoglądały teraz na ruchy – małych jak mrówki z tej wysokości – mieszkańców miasta po znajdujących się pod jego stopami – za balustradą, o którą się opierał – ulicach i mostach. Ale pozwalały mu one równocześnie śledzić ruchy ptactwa i Pędzone wiatrem po niebie chmury, a także podziwiać zachodzące za morzem słońce.

Musi nam się udać, pomyślał.

Prymitywny chronograf, który dostał od Mliss, wskazywał godzinę zachodu. Niestety musieli tu zrezygnować z systemu Taprisjotowych zegarów mózgowych. Do następnego kontaktu pozostawało jeszcze dwie godziny według tego prymitywnego urządzenia. Kontrolki G'oka oczywiście wskazują

to znacznie dokładniej, ale nie chciało mu się w tej chwili iść tego sprawdzić.

Nie mogą nas powstrzymać.

A jeżeli mogą...?

Przypomniał mu się McKie. Jak on ich tu znalazł? A jak się tu dostał? McKie siedział teraz w Arbuzie z Kalebanem – z pewnością jako przynęta. Przynęta!

Na co?

Szarpały nim sprzeczne uczucia – nie było mu z tym wygodnie. Złamał najbardziej podstawowe prawo swojej rasy. Przejął na zawsze osobowość swojego gniazda i reszcie jego członków pozostawił bezmyślną egzystencję kończącą się bezmyślną śmiercią. Pewien pozbawiony skrupułów chirurg dokonał operacji wycięcia organu, który jednoczył go z pięcioistną rodziną Pan Spechi poprzez cały wszechświat. Ta operacja pozostawiła blizny na jego czole i blizny na jego duszy, ale nigdy nie spodziewał się, że pozostawiona po sobie takie delikatne uczucie ulgi.

Nic nie może odebrać mu osobowości!

Ale jest teraz całkiem sam.

Oczywiście skończy się to wraz ze śmiercią, ale to i tak czeka wszystkich.

I, dzięki Mliss, ma teraz kryjówkę, w której żaden inny Pan Spechi go nie dosięgnie... chyba że... ale już wkrótce nie będzie żadnych innych Pan Spechi. Nie będzie żadnego zorganizowanego życia rozumnych, poza tą garstką, którą Mliss przywiodła tu, do Arki, wraz z tymi szalonymi Kolonialistami i Murzynami.

Za jego plecami Abnethe weszła w pośpiechu na taras. Jego uszy, zdolne – tak jak i jego oczy – do rozróżniania najdrobniejszych szczegółów, usłyszały w jej krokach nudę, zmartwienie i strach, w którym ostatnio ciągle żyła.

Cheo się odwrócił.

Zauważył, że Mliss była dopiero co u Kosmetykera. Jej śliczną twarz otaczały teraz rude włosy. Cheowi przypomniało się, że McKie też jest rudy. Wyciągnęła się na krześlaku-leżaku, wyprostowała nogi.

– Skąd ten pośpiech? – spytał.

– Ci Kosmetykerzy! – wybuchnęła. – Chcą wracać do domu!

– To ich tam wyślij.

– A skąd znajdę następnych?

– To rzeczywiście poważny problem.

– Nie żartuj sobie ze mnie, Cheo. Proszę.

– To powiedz im, że nie mogą wrócić do domu.

– Już im to powiedziałam.

– A powiedziałaś im dlaczego?

– Oczywiście, że nie! Co ty sobie o mnie myślisz?

– Powiedziałaś Furuneowi.

– I dostałam nauczkę. Gdzie moi adwokaci?

– Już odeszli.

– Ale jeszcze miałam z nimi parę spraw do przedyskutowania!

– Nie może to poczekać?

– Wiedziałaś, że mamy jeszcze inne sprawy. Czemu ich puściłaś?

– Mliss, lepiej żebyś nie wiedziała o sprawach, które oni chcieli przedyskutować.

– To wina Kalebana – powiedziała. – Tak musimy twierdzić i nikt tego nie będzie w stanie podważyć. A co takiego chcieli przedyskutować?

- To nieważne. Mliss.
- Cheo!
- Jak sobie życzysz – nagle rozbłysnęły mu oczy. – Przekazali mi żądania BuSabu. Poprosili Kalebana o głowę Furunea.
- Jego... – przerwała. – Ale skąd wiedzieli, że my...
- W tych okolicznościach to oczywiste posunięcie.
- Co im powiedziałaś? – wyszeptała. Z napięciem wpatrywała się w jego twarz.
- Powiedziałem im, że Kaleban zamknął skokwłaz G'oka w chwili kiedy Furuneo w niego wchodził z własnej woli.
- Ale oni wiedzą, że my mamy monopol na to G'oko – w jej głosie znać było już więcej siły. – Niech ich szlag trafi!
- Nie całkiem – odparł Cheo. – Frania transportowała McKie'ego i jego kumpli. A to dowodzi, że nie mamy monopolu.
- Dokładnie to samo już mówiłam.
- Daje nam to idealną taktykę do gry na zwłokę. Twierdzimy, że Frania wysłała gdzieś tę głowę, a my nie wiemy gdzie. Kazałem jej, oczywiście, odmówić wykonania tego żądania.
- Czy to... – przełknęła głośno ślinę – to im powiedziałaś?
- Oczywiście.
- Ale jeżeli przesłuchają Kalebana...
- No to może zrozumieją, co do nich mówi, a równie dobrze może nie.
- Sprytny jesteś, Cheo.
- Czy to nie dlatego mnie tu trzymasz? – Trzymam cię tu dla własnych, bardzo tajemnych potrzeb – uśmiechnęła się do niego.
- Na to liczę.
- Wiesz – powiedziała – będzie mi ich brakować.
- Kogo?
- Tych, którzy nas ścigają.

*Być może najbardziej podstawowym wymogiem od agenta BuSabu jest, by popelniał jedynie dobre biedy.*

### **Uwaga McKie'ego na temat Furunea Prywatne akta BuSabu**

Bildoon stał w drzwiach prywatnego laboratorium Tuluka, plecami do długiego głównego pomieszczenia, w którym pracowali asystenci Wreava. Głęboko osadzone, wielokomórkowe oczy szefa BuSabu rozpalone były ogniem nie całkiem pasującym do wymuszonego spokoju malującego się na jego tak bardzo ludzkiej twarzy.

Czuł się zmęczony i smutny. Wydawało mu się, że jest zmuszony do życia w ciemnej, ciasnej jamie, jamie do której nigdy nie zaglądały słońce i gwiazdy. Tym, których kochał i tym, którzy go kochali groziła śmierć. Skończy się całe inteligentne życie we wszechświecie. Wszechświat stanie się miejscem pustym i melancholicznym.

Jego humanoidalne ciało przepelnia! wielki żal: śniegi, liście, słońca – wiecznie samotne.

Czuł potrzebę działania, podejmowania decyzji, ale obawiał się konsekwencji jakiegokolwiek czynu. Czego by nie dotknął może obrócić się w ruinę, przelecieć mu pyłem przez palce.

Tuluk pracował za stołem koło przeciwległej ściany. Odcinek byczej skóry z biczem rozciągał się przed nim między dwoma imadłami. Równoległe do skóry i jakiś milimetr pod nią, spoczywał bez

żadnej widocznej podpory cienki pręt metalowy. Pomiedzy prętem i skórą, na całej ich długości, tańczyły małe iskry, jak miniaturowe błyskawice. Tuluk pochylał się nad stołem, studiując tarcze umieszczonych obok instrumentów.

– Nie przeszkadzam ci? – spytał Bildoon.

Tuluk obrócił pokrętkę jednego z instrumentów na stole, odczekał chwilę, pokręcił powtórnie. Zgrabnie chwycił metalowy pręt nagle zwolniony przez niewidzialne pole siłowe. Odłożył pręt na wieszak umieszczony na ścianie za stołem.

– To niezbyt mądre pytanie – powiedział, odwracając się w kierunku przybysza.

– W sumie tak – powiedział Bildoon – Mamy nowy problem.

– Gdyby nie wasze problemy to nie byłoby tu dla mnie pracy – odpowiedział Tuluk.

– Boję się, że nie dostaniemy głowy Furunea.

– Tyle już czasu upłynęło od jego śmierci, że i tak niewiele byśmy z niej mieli – Tuluk zmarszczył otwór pokrywy twarzowej na kształt litery „S”. Wiedział, że ten wyraz twarzy wydaje się innym rozumny śmieszny, ale u Wreavów był on przejawem głębokiego zamyślenia.

– Czy astronomowie już coś wiedzą na temat układu gwiazd, które McKie widział na tej tajemniczej planecie? – spytał.

– Myślą, że musiał być jakiś błąd w odbiorze obrazu pamięciowego od McKie'ego.

– Czemu?

– Po pierwsze nie ma żadnej, ale to absolutnie żadnej gradacji w jasności gwiazd.

– Wszystkie widoczne gwiazdy świecą z taką samą intensywnością?

– Na to wygląda.

– Dziwne.

– A układ gwiazd najpodobniejszy do tego układu już nie istnieje.

– O czym ty mówisz?

– No... jest Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, różne inne konstelacje i grupy zodiaku, ale... – wzruszył ramionami.

Tuluk przypatrywał mu się w zdumieniu.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział w końcu.

– Och, tak. Zupełnie zapomniałem – powiedział Bildoon. – My, Pan Spechi, kiedy zdecydowaliśmy się na przyjęcie ludzkiej budowy ciała, przestudiowaliśmy dość dokładnie ich historię. Te grupy gwiazd to prehistoryczne konstelacje z planety, z której oni pochodzą.

– Rozumiem. Dziwne. Aleja też coś dziwnego odkryłem w materiale, z którego zrobiony jest bicz.

– Co takiego?

– To niesłychane, ale fragmenty tej skóry wykazują strukturę podatomową o niezwykle ukierunkowaniu.

– Niezwykłym? To znaczy jakim?

– Liniowym. Idealnie liniowym. Nie widziałem jeszcze nigdy czegoś podobnego, poza niektórymi fenomenami płynnych energii. Tak jakby ta skóra została poddana jakiejś niezwykle sile, czy naciskowi. W rezultacie powstało coś podobnego do efektu neomasteru w kwantach światła.

– Ale czy to by nie wymagało gigantycznych energii?

– Prawdopodobnie.

– Więc co mogłoby to spowodować?

– Nie wiem. Natomiast interesujące jest to, że ta zmiana nie wydaje się być trwała. Struktura materiału wykazuje podobną charakterystykę jak pamięć plastyczna. Powoli wraca do w miarę

normalnej formy.

W głosie Tuluka Bildoon usłyszał nacisk, zdradzający zaniepokojenie.

– W miarę normalnej? – zapytał.

– To jeszcze inna para kaloszy – powiedział Tuluk. – Niech ci to wytłumaczę. W tych strukturach podatomowych i wynikających z nich strukturach wyższego rzędu zachodzi powolna ewolucja. Przez porównanie z próbkami, możemy określić ich wiek, do jakichś dwóch czy trzech tysięcy standardowych lat. Ponieważ komórki bydłęce tworzą podstawowy składnik syntetycznie hodowanego białka, mamy na ich temat dość dokładne dane od dłuższego okresu czasu. W skórze z naszego bicia – Tuluk wykonał jednym z chwytnych organów szczękowych gest w jego kierunku – ta struktura wydaje się być bardzo stara.

– Jak stara?

– Kilkaset tysięcy lat.

Bildoon zastanawiał się przez chwilę.

– Ale przecież nam powiedziałaś, że ta skóra ma nie więcej niż dwa, trzy lata.

– Tak wykazały nasze badania katalizacyjne.

– Czy ten liniowy stress mógłby wywołać jakieś zaburzenia w tej strukturze?

– Tego nie można wykluczyć.

– A więc wątpisz w to, tak?

– Wątpię.

– Nie próbujesz mi zasugerować, że ten bież został przeniesiony w czasie z przeszłości, co?

– Nic ci nie chcę sugerować, zgłaszam tylko do twojej wiadomości fakty. Wyniki z tych dwóch badań, do tej pory uważanych za pewne, po prostu się nie zgadzają, jak chodzi o określenie wieku skóry naszego bicia.

– Podróż w czasie jest niemożliwa.

– Wiemy to. Wiemy to teoretycznie i z doświadczenia. Podróż w czasie to wymysł z literatury, mit, legenda, zabawny pomysł rozdmuchany przez świat rozrywki. Odrzucamy go, i nie pozostają nam żadne paradoksy logiczne. Ale zostaje nam teraz tylko jeden wniosek: stress liniowy, skądkolwiek pochodził, zmienił strukturę materiału.

– Gdyby ta skóra została... przeciętna przez jakiś filtr subatomowy, to może mogłoby to tłumaczyć – powiedział Tuluk – ale ponieważ nie posiadam ani takiego filtra, ani energii koniecznej do przecięcia przez niego materiału, nie mogę tego sprawdzić.

– Ale masz jakieś zdanie na ten temat, nie?

– Oczywiście. Nie znam teorii, która potrafiłaby wytłumaczyć, jak taki filtr mógłby nie zniszczyć całkowicie materiału poddanego tak kolosalnym siłom.

– To znaczy – powiedział Bildoon głosem podniesionym w bezsilnej frustracji – mówisz, że jakieś niemożliwe urządzenie poddało jakiemuś niemożliwemu procesowi ten niemożliwy kawałek... kawałek...

– No właśnie – powiedział Tuluk. Bildoon zwrócił uwagę, że asystenci Tuluka zaczynają się na niego gapić, coraz bardziej rozbawieni.

Wszedł do gabinetu Tuluka i zamknął za sobą drzwi.

– Przyszedłem tu w nadziei, że masz już coś, co dostarczy nam konkretnych dowodów, a ty mi dajesz same zagadki – powiedział.

– Twoje niezadowolenie nie zmienia faktów – odparł Tuluk.

– Masz rację, nie zmieni.

– Struktura komórek ramienia Palenki wykazywała podobne ukierunkowanie liniowe –

powiedział Tuluk – ale tylko w okolicy miejsca, w którym zostało odcięte.

– To miało być moje następne pytanie.

– To oczywiste. Przejście przez skokwłaz tego nie tłumaczy. Wysłaliśmy kilku naszych ludzi przez skokwłazy z najrozmaitszymi materiałami i przetestowaliśmy setki próbek komórek – zarówno żywych, jak i martwych. I nic.

– Dwie zagadki w ciągu godziny, to trochę za dużo jak na mój gust – powiedział Bildoon.

– Czemu dwie?

– Zanotowaliśmy już dwadzieścia osiem przypadków biczowania – lub próby biczowania – Kalebana przez Abnethe. Pamiętasz naszą teorię o stożku wyznaczonym w przestrzeni pozycją Arbuza, w którym miałyby się znajdować planeta Abnethe? Wyznaczone przez nas pozycje definitywnie nie zataczają takiego stożka. Albo Abnethe przenosi się co chwilę z planety na planetę, albo nasza teoria jest do niczego.

– Biorąc pod uwagę moc G'oka, którym ona dysponuje, stać ją na skakanie po całym wszechświecie.

– Nie sądzę. To nie w jej stylu. Ona lubi swoje gniazdo, potrzebuje swojej fortecy. Jest z gatunku ludzi, którzy wykonują rozsadę w szachach nawet kiedy to niekonieczne.

– Może wysłała tylko swoich Palenków.

– Nie. Ona tam jest osobiście za każdym razem.

– Zebraliśmy już w sumie sześć bieży i ramion – powiedział Tuluk. – Mamy powtórzyć te same testy na nich wszystkich?

Bildoon spojrział na Tuluka. To nie było pytanie w jego stylu. Tuluk był dokładny, systematyczny, pracowity.

– A masz coś lepszego do roboty?

– Mamy dwadzieścia osiem wypadków biczowania, jak mówisz. Dwadzieścia osiem to jedna z euklidesowych liczb doskonałych. To czterokrotna wielokrotność liczby pierwszej siedem. Ta ilość wskazuje na zdecydowaną losowość wydarzenia. Ale mamy do czynienia z sytuacją, wydaje się wykluczającą losowość. Ergo, mamy do czynienia z jakimś porządkiem, którego analizy matematyczne przeprowadzone do tej pory jeszcze nie wykryły. Chciałbym poddać rozkład biczowań – zarówno w czasie, jak i w przestrzeni – kompletnej analizie, porównać jakiegokolwiek podobieństwa...

– Ale każesz komuś innemu sprawdzić pozostałe ramiona i bicze?

– Nie musisz mi o tym przypominać. Bildoon pokręcił głową.

– To, co robi Abnethe, to zupełna niemożliwość.

– Jeżeli robi, to nie jest to niemożliwe.

– Gdzieś przecież muszą być! – wybuchnął Bildoon.

– Bardzo mnie dziwi – powiedział Tuluk – ta cecha, którą wy dzielicie z ludźmi, stwierdzania oczywistych faktów z taką dozą emocji.

– Aaa, idź do diabła! – powiedział Bildoon, odwrócił się na pięcie i wyszedł z laboratorium, trzaskając za sobą drzwiami,

Tuluk popędził za nim, otworzył drzwi i krzyknął w kierunku oddalających się pleców Bildoona:

– My Wreawowie wierzymy, że już jesteśmy w piekle u diabła!

Pomrukując pod nosem wrócił do swojego stołu. Ludzie i Pan Spechi to niemożliwe stworzenia. Z wyjątkiem McKie'ego. Tak, to człowiek, który od czasu do czasu potrafi znaleźć się na poziomie rozumnych zdolnych do myślenia logicznego. No tak... od każdej zasady są jakieś wyjątki.



*Co robisz, kiedy mówisz „rozumiem”? „Zakładasz, że wiesz co to znaczy „rozumieć.”*

## **Zagadka Laklaków**

W sposób, którego nadal nie całkiem rozumiał, McKie namówił Kalebana do otwarcia luku. Powiew przesiąkniętego morską wodą powietrza owiał wnętrze Arbuza. Otwarty luk pozwolił także stacjonującym na zewnątrz strażnikom obserwować McKie'ego. Właściwie już prawie zrezygnował z nadziei, że Abnethe weźmie przynętę. Będzie trzeba wymyślić coś innego. Kontakt wzrokowy ze strażnikami zezwolił także na zmniejszenie częstotliwości kontaktów Taprisjota, co McKie przyjął z dużą ulgą.

Blask wschodzącego słońca padał na próg luku. McKie wyciągnął w jego kierunku rękę, grzał ją w ciepłe promieni słonecznych. Zdawał sobie sprawę, że powinien być w ciągłym ruchu, by utrudnić Abnethe jakąkolwiek próbę ataku, ale teraz, kiedy był pod obserwacją strażników, próba taka wydawała się mniej prawdopodobna. Poza tym był zmęczony, naszpikowany środkami podniecającymi, trzymającym go w stałym pogotowiu i przepełniony dziwnymi emocjami wywoływanymi przez rozziaszczacz, który ciągle jeszcze regularnie zażywał. Pozostawanie w ciągłym ruchu wydawało mu się bezsensownym wysiłkiem. Jeżeli chcą go zabić, to i tak im się uda. Dowodziła tego śmierć Furunea.

McKie'emu zrobiło się żal Furunea, zdążył go już polubić. Furuneo miał w sobie tyle uroku, a śmierć jego była taka niepotrzebna, bezsensowna – był wtedy w Arbuzie sam, zamknięty jak w pułapce. Ta śmierć w niczym nie posunęła poszukiwań Abnethe do przodu, jedynie nadała całej sprawie znacznie gwałtowniejszego charakteru. Przypominała jedynie o niepewności pojedynczego życia – a przez nią o bezbronności życia w ogóle.

Oblała go fala obezwładniającej nienawiści do Abnethe; Co za wariatka!

Opanował nagły atak dreszczu.

Przez otwarty luk Arbuza roztaczał się widok na rozciągające się za półką lawy urwiste skarpy skalne, porośnięte u podnóża jedwabistym dywanem wodorostów, odsłoniętym teraz przez cofające się podczas odpływu fale.

– Co będzie, jeżeli się mylimy? – powiedział przez ramię, do znajdującego się za nim, w głębi Arbuza, Kalebana. – Jeżeli w ogóle się nie zrozumieliśmy. Może tylko wydawaliśmy niezrozumiałe dla siebie nawzajem dźwięki, myśląc, że przekazujemy sobie jakąś treść, której de facto w ogóle nie było?

– Nie osiągam zrozumienia, McKie. Nie dochodzi do mnie kapowanie.

McKie spojrział w kierunku Kalebana. Robił on coś dziwnego z powietrzem wokół swojej łyżki. Ował, który już raz widział, rozbłysnął znowu na chwilę i zniknął. Złoty krąg pojawił się na brzegu łyżki, uniósł się w powietrze jak kółko z dymu, zatrzeszczał krótko od wyładowań elektrycznych i zgasł.

– Zakładamy – powiedział McKie – że kiedy coś do mnie mówisz, to ja odpowiadam przekazując ci jakieś znaczenie bezpośrednio związane z tym, co ty powiedziałaś – i vice versa. A może tak wcale nie jest.

– Wątpliwe.

– To wcale nie takie wątpliwe. Co ty tam robisz?

– Robię?

– Coś się wokół ciebie dzieje.

– Próbuję stać się widoczna na twojej fali.

– Możesz to zrobić?

– Może.

Nad łyżką pojawiło się czerwone światło w kształcie dzwonu, rozciągnęło się w linię prostą, powróciło do poprzedniego kształtu i poczęło wirować jak skakanka wokół własnej podstawy.

– Co widzisz? – zapytała Kaleban.

McKie opisał wirującą skakankę z czerwonego światła.

– Bardzo dziwne – powiedziała Kaleban. – Moje zdolności twórcze wywołują u Ciebie wrażenia wzrokowe. Potrzebujesz jeszcze tego otwarcia na warunki zewnętrzne?

– Tego otwartego luku? Jest mi z nim tu znacznie wygodniej.

– Wygoda – własna osoba nie osiąga zrozumienia pojęcia.

– Czy ten otwarty luk uniemożliwia Ci przyjęcie widocznej dla mnie postaci?

– Powoduje zaburzenia magnetyczne, nic więcej. McKie wzruszył ramionami.

– Ile jeszcze biczowań możesz wytrzymać? – spytał.

– Wytłumacz ile.

– Znowu zesłaś z toru.

– Prawda! To osiągnięcie, McKie.

– Co to za osiągnięcie?

– Własna osoba opuszcza tor zrozumienia, a Ty osiągasz świadomość tego.

– No dobrze, niech będzie osiągnięcie. Gdzie jest Abnethe?

– Kontrakt...

– ... nie dozwala wyjawienia lokalizacji – dokończył za nią McKie. – A czy wobec tego możesz mi powiedzieć, czy ona jest cały czas na jednej planecie, czy przeskakuje z jednej na drugą?

– To pomaga ją zlokalizować?

– Skąd ja, do tysiąca wściekłych diabłów, mogę to wiedzieć?

– Prawdopodobieństwo mniejsze niż tysiąc składników – odpowiedziała Kaleban. – Abnethe zajmuje stosunkowo stałą pozycję na jednej planecie.

– Ale nie możemy znaleźć żadnego porządku w jej atakach na Ciebie, ani z jakiego kierunku pochodzą.

– Nie widzisz łączników – odpowiedziała Kaleban.

Wirująca nad łyżką Kalebana czerwona skakanka nagle zaczęła rozbłyskiwać, na przemian to mocniej, to słabiej. Niespodziewanie zmieniła kolor na jaskrawo żółty i zniknęła.

– Właśnie zniknęłaś – powiedział McKie.

– Nie moja osoba widoczna – powiedziała Kaleban.

– Jak to?

– Nie obserwujesz samej własnej osoby.

– To powiedziałem.

– Nie mówisz. Widoczność dla Ciebie nie reprezentuje tejsamości mojej własnej osoby. Widoczno-widzisz efekt.

– To nie Ciebie widziałem? Tylko jakiś efekt, który dla mnie stworzyłaś?

– Prawda.

– Nie myślałem i tak, że to Ty we własnej osobie. Pewnie jesteś przystojniejsza. Ale zauważyłem coś innego. Chwilami używasz czasowników znacznie lepiej. Zauważyłem nawet kilka zupełnie normalnych zdań.

– Własna kapowanie osoba chwyta mnie.

– No tak... może jednak nie tak zupełnie wszystko kapujesz – McKie wstał, przeciągnął się,

ruszył w kierunku otwartego luku zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Dokładnie w chwili, kiedy wykonał pierwszy krok, w miejscu, które właśnie opuścił pojawił się błyszczący, srebrny krąg. Obrócił się gwałtownie na pięcie i zdążył jeszcze zobaczyć, jak znika w małym otworze wirtualnego tunelu skokwłazu.

– Abnethe, jesteś tam? – zawołał.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, a skokwłaz zamknął się i zniknął.

Obserwujący go z zewnątrz strażnicy rzucili się do otwartego luku.

– Nic ci nie jest, McKie? – zawołał jeden z nich. McKie nakazał mu gestem ciszę, wyjął miotacz z kieszeni, zacisnął go mocno w dłoni.

– Franiu – powiedział – czy oni chcą mnie złapać albo zabić, tak jak zrobili to z Furuneem?

– Obserwuję twoją – odpowiedziała. – Furuneo nie posiadający istnienia, obserwowalne zamiary nieznane.

– Widziałaś, co się tu właśnie stało? – spytał McKie.

– Własna osoba posiada świadomość użycia skokwłazu, pewnych działań osoby zatrudniającej. Działania ustają.

McKie pomasażował sobie kark lewą dłonią. Nie był pewny, czy zdołałby podnieść miotacz wystarczająco szybko, by przeciąć każde sidła, które by na niego spadły. Ten srebrny krąg wyglądał podejrzanie podobnie do pętli.

– Czy tak właśnie załatwili Furunea? Zarzucili mu pętlę na szyję i podciągnęli go w otwór skokwłazu?

– Nieciągłość usuwa osobę tejsamości – odpowiedziała Kaleban.

McKie wzruszył ramionami, zrezygnował z dalszych pytań. Mniej więcej taką samą odpowiedź otrzymywali od Kalebana na każde pytanie o śmierć Furuneo.

Nagle poczuł się głodny. Otarł pot z twarzy, zaklął pod nosem. Nie ma żadnej pewności, że to, co się słyszy od Kalebana, przekazuje jakieś rzeczywiste wiadomości. Nawet jeżeli jakieś wiadomości rzeczywiście zostają przekazane, to i tak nie można polegać ani na interpretacji Kalebana, ani na jego szczerości. Jednak kiedy to coś mówi, to promieniuje taką szczerością, że nie sposób mu nie wierzyć. McKie podrapał się w brodę, próbując złapać jakąś uciekającą myśl. Dziwne. Jest tu sam, głodny, zły i przestraszony. Nigdzie się stąd nie da uciec. Jakoś muszą ten problem rozwiązać. Tyle wiedział na pewno. Mimo znacznych niedomogów komunikacyjnych z Kalebanem, nie można zignorować ostrzeżenia, jakie przekazał. Zbyt wielu rozumnych już umarło lub postradało zmysły.

Potrząsnął głową, zirytowany bzykiem jeszcze jednego kontaktu Taprisjota. To cholerne pilnowanie! Ale ten kontakt się nie urwał, jak poprzednie. To był Siker, Laklak, Dyrektor Dyskrecji. Siker odczuł zaniepokojenie i irytację McKie'ego i, zamiast się rozłączyć, pozostał na linii.

– Nie! – krzyknął McKie z wściekłością. Czuł jak sztywnieje cały przechodząc do chichotransu.

– Siker, nie! Wyłącz się!

– Ale co się dzieje, McKie?

– Wyłącz się. ty idioto, bo zaraz mnie wykończą!

– No dobrze... Ale wydawało mi się...

– Wyłącz się!

Kontakt się urwał.

Znowu świadomy swojego ciała. McKie przekonał się, że wisi na odcinającej mu oddech pętli, która podnosi go coraz bliżej małego skokwłazu. Słyszał jakieś zamieszanie w pobliżu otwartego luku. Skądś dochodziły go krzyki, ale nie był w stanie na nie odpowiedzieć. Zaciśnięta w pętli szyja

palila go żywym ogniem. Pozbawione powietrza płuca wydawały się eksplodować. Przepelnila go panika. Zauwazył, że w chichotransie upuscil miotacz. Był zupełnie bezbronny. Bezskutecznie szarpał palcami zaciśniętą wokół szyi pętlę.

Coś schwytało go za nogi i spowodowało, że pętla zacisnęła się mocniej, dusząc go jeszcze skuteczniej.

Nagle siła ciągnąca go w górę ustąpiła. McKie spadł na ziemię, splątując się z osobą, która trzymała go za nogi.

Kilka rzeczy dzialo się naraz. Strażnicy postawili go na nogi. Aparat holograficzny, trzymany przez jakiegoś Wreava, przesunął się tuż przed jego twarzą, celując w otwór skok-włazu, który zamknął się z głośnym trzaskiem. Czyjeś palce i chwytники usunęły z jego karku resztki pętli.

McKie zaciągnął się głęboko powietrzem, kaszłąc. Gdyby go nie podtrzymywano, nie utrzymałby się na nogach o własnych siłach.

Wraz z powracającą świadomością zauwazył, że do Arbuza weszło pięciu rozumnych: dwóch Wreavów, Laklak, Pan Spechi i jeden człowiek. Jeden z Wreavów i człowiek usuwali mu pętlę z szyi. Drugi Wreave grzebał w swoim aparacie holograficznym. Pozostali rozglądali się po wnętrzu Arbuza, trzymając miotacze w gotowości. Co najmniej trzy osoby usiłowaly mówić równocześnie.

– W porządku – zachrypiał McKie, przerywając chór głosów. Gardło bolało go, kiedy mówił. Wyjął pętlę z chwytników jednego z Wreavów i przyjrzał się jej dokładniej. Linka, wykonana z nieznanego mu srebrnego materiału, była gładko obcięta na jednym końcu.

McKie zwrócił się do strażnika z holografem.

– Coś ci się udało zarejestrować? – spytał.

– Ten atak był przeprowadzony przez Pan Spechi z utrwaloną osobowością – odpowiedział Wreave. – Udało mi się dokładnie zdjąć jego twarz. Spróbujemy ją zidentyfikować.

McKie rzucił mu obcięty kawałek pętli.

– Weź też i to do laboratorium. Powiedz Tulukowi, żeby zbadał podstawową strukturę. Mogą na tym nawet być jakieś... komórki Furunea. A reszta was...

– Proszę pana? – odezwał się Pan Spechi.

-Tak?

– Otrzymaliśmy rozkaz pozostania tu z panem, jeżeli na życie pana zostanie dokonany zamach. Upuścił pan to przed chwilą – dodał podając McKie'emu jego miotacz.

McKie, wściekły, wsadził go do kieszeni. Poczul następną rozmowę, przekazywaną przez Taprisjota.

– Wyłączyć się! – warknął.

Ale kontakt się nie urwał. Tym razem był to Bildoon, w bardzo rzeczowym nastroju.

– Co się tam dzieje, McKie?

McKie pokrótce wszystko opowiedział.

– Są teraz z tobą strażnicy?

-Tak.

– Czy ktoś widział, kto dokonał tego ataku?

– Złapaliśmy go holografem. To był ten Pan Spechi z utrwaloną osobowością.

McKie poczul wzburzenie, jakie wspomnienie tej postaci wywołalo u szefa Biura. Krótki wybuch odrazy szybko ustąpił jednak miejsca działaniu.

– Wracaj natychmiast na Centrum – rozkazał Bildoon.

– Słuchaj – powiedział McKie. – jestem najlepszą przynętą, jaką mamy w tej chwili. Z jakiś powodów chcą mnie wykończyć i...

– Wracaj, i to w tej chwili! – Bildoona podniósł głos. – Czy chcesz, żebym cię tu kazał sprowadzić siłą?

McKie się poddał. Nigdy jeszcze nie był świadkiem aż tak czarnego humoru u kogoś prowadzącego z nim rozmowę.

– Coś się stało? – zapytał.

– Jesteś przynętą gdziekolwiek się znajdziesz, McKie – tutaj równie dobrze jak i tam. Chcę cię mieć tu, gdzie mogę ci dać lepszą ochronę.

– Coś się stało, tak?

– Tak, do jasnej cholery! Coś się stało! Wszystkie te bicze, któreśmy badali, zniknęły. Laboratorium jest przewrócone do góry nogami, a jednemu z asystentów Tuluka obcięli głowę – i głowa zniknęła.

– Aaach. niech to szlag trafi – powiedział McKie. – Zaraz tam będę.

*Cała mądrość świata jest niczym w porównaniu do koncentracji, potrzebnej do uniknięcia niespodziewanego ciosu.*

### Stare porzekadło ludowe

Cheo siedział po turecku na gołej podłodze przedsiönka swojego mieszkania. Padające pod kątem ostre promienie żółtego światła, wpadające przez okna sąsiedniego pokoju, wydłużały jego cień na kształt jakiegoś potwornego upiöra. W rękach trzymał kawałek linki, obciętej w zamykającym się skokwłazie.

Że też musieli mu przeszkodzić! Ten wielki Laklak z miotaczem był szybki! A Wreawowi z holografem bez wątpienia udało się zarejestrować jego obraz przez skokwłaz. Zaczną teraz szukać jego tropów, pytać o niego, pokazywać obraz holograficzny jego twarzy. Dużo im to pomoże! Diamentowe oczy Chea rozblęsnęły iskrami światła. Prawie słyszał już agentów BuSabu. „Czy rozpoznajesz tego Pan Spechi?”

Wstrząsnął nim niski pomruk – wersja śmiechu u Pan Spechi. Rzeczywiście dużo im te poszukiwania pomogą! Żaden znajomy czy przyjaciel ze starych czasów nie pozna teraz jego zmienionej chirurgicznie twarzy. No, może podstawa nosa i układ oczu są podobne, ale...

Cheo pokręcił głową. Czym się tu martwić? Nikt – absolutnie nikt – nie jest go już w stanie powstrzymać od zniszczenia Kalebana. A jak się to już raz stanie, to wszystkie te problemy będą bez znaczenia.

Westchnął gęęboko. Jego ręce zaciskały się na cienkiej lince tak mocno, że aż poczuł ból w mięśniach. Serce uderzyło mu kilka razy, nim zdołał je rozluźnić. Podniósł się i rzucił obcięty kawałkiem linki o ścianę. Jeden z jej końców uderzył w przelocie krześlaka, który zapiszczał cienko resztkami wyeliminowanego przez hodowlę systemu głosowego.

Cheo skinął głową, potakując własnym myślom. Będzie trzeba albo odciągnąć strażników od Kalebana, albo Kalebana od strażników. Dotknął blizn na czole, zawahał się. Czy to nie jakiś dźwięk dochodził z za jego pleców? Obrócił się wolno, opuścił rękę.

W drzwiach przedsiönka stała Mliss Abnethe. Żółte światło połyskiwało bursztynowo w perłowym poszyciu jej sukni. Na jej twarzy malowały się powstrzymywane siłą uczucia złości, strachu i rozżalonych szmerów jej psychiki.

– Od kiedy tu stoisz? – spytał, próbując zachować spokój w głosie.

– Czemu pytasz? – weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi. – Co robięś?

– Łowiłem ryby – odpowiedział.

Obrzuciła pokój władczym wzrokiem. W kącie, na czymś okrągłym i włochatym, leżała beładna kupa skórzanych bieży. Wydobywała się spod nich mokra plama czegoś czerwonego.

– Co to? – wyszeptała, blednąc nagle.

– Wyjdź stąd, Mliss.

– Co ty zrobiłeś? – zawyła, rzucając się na niego. Powiniennem jej powiedzieć, pomyślał. Powiniennem jej naprawdę powiedzieć.

– Staralem się nam ratować życie – powiedział.

– Znowu kogoś zabiłeś! Nie mydl mi oczu! ',

– Nic nie cierpiał – powiedział Cheo głosem pełnym zmęczenia.

– Ale...

– Cóż znaczy jedna śmierć wobec tych kwadrylionów śmierci, które planujemy? – spytał. Do diabła, ta dziwka staje się uciążliwa!

– Cheo, boję się.

Czemu ona musi tak skamleć?

– Uspokój się powiedział. – Mam plan, jak rozdzielić Kalebana od strażników. Jak to się uda, będziemy mogli z nim skończyć i będzie po wszystkim.

– Ona cierpi – przełknęła ślinę. – Wiem, że ona cierpi

– To nonsens! Słyszałaś nieraz, że ona temu sama zaprzecza. Ona nawet nie wie, co to ból. Brak odnośników!

– A jeżeli się mylimy? Jeżeli my jej po prostu dobrze nie rozumiemy?

Podszedł do niej, wpatrując się w nią rozognionymi oczyma.

– Mliss, czy masz jakiegokolwiek wyobrażenie, jak my będziemy cierpieć, jeżeli się nam nie uda?

Zadrzała. Po chwili spytała, prawie normalnym głosem-

– Jaki jest ten twój plan?

*W obrębie jednej rasy wożę powstać nieskończona różnorodność doświadczeń. Stosunki pomiędzy wieloma rasami mogą wywołać wrażenie, że nieskończoność zostaje wielokrotnie powiększona.*

## **Dwel Hartavid Zagadnienia Kalebaiskie**

McKie czuł niebezpieczeństwo przez skórę, każdy jego nerw odbierał sygnały zagrożenia. Stał, razem z Tulukiem, w laboratorium BuSabu na Centrum. Powinien czuć się bezpiecznie w znanym sobie tak dobrze otoczeniu, ale odnosił stale wrażenie, jakby był wystawiony na atak z każdej strony, jakby ściany budynku zostały usunięte, pozostawiając go nagim i nieosłoniętym. Oglądał się nerwowo przez ramię, oczekując lada chwila ataku zza pleców. Abnethe i jej banda zaczęli działać po desperacku. A to, samo w sobie, świadczyło, że muszą się czuć zagrożeni. Gdyby tylko wiedzieć, dlaczego. Gdzie jest jej słabość? Czego się boi?

A gdzie się ukrywa?

– To bardzo dziwny materiał – powiedział Tuluk, prostując się znad stołu, na którym przeprowadzał jakieś badania nad srebrną linką przyniesioną z Arbuza Kalebana. – Bardzo dziwny.

– Co w nim takiego dziwnego?

– Nie ma prawa istnieć.

– Ale sam go masz w rękach.

– Też to widzę, kolego.

Tuluk wysunął jedną ze swoich żuchw, poskrobał się w zamyśleniu po prawej krawędzi

pokrywy twarzowej. Odwrócił się do McKie'ego, odsłaniając przy tyrn jedno pomarańczowe oko.

– No i...? – spytał McKie.

– Jedyne planeta, na której to rosło przestała istnieć kilkanaście tysięcy lat temu – odparł Tuluk.

– Było tylko jedno takie miejsce – specyficzne warunki chemiczne, szczególnie rodzaj energii słonecznej...

– Musisz się mylić! Przecież mamy to oboje przed nosem.

– Oko Łucznika – powiedział Tuluk. – Pamiętasz, że tam eksplodowała Super Nova?

McKie pochylił głowę na bok, zatopił się w myślach na chwilę.

– Tak, chyba coś o tym kiedyś czytałem – powiedział.

– Ta planeta nazywała się Rap – ciągnął dalej Tuluk. – To, co trzymasz w rękach, to kawałek Raporośli.

– Raporośli?

– Nigdy o niej nie słyszałeś?

– Chyba nie.

– No tak. To dziwny materiał. Między innymi bardzo krótkotrwały. Ma też jeszcze inną, szczególnie właściwość: końce się nie strzępią, nawet po przecięciu. Widzisz? – Tuluk wydułab kilka włókien z obciętego końca. Kiedy je puścił wróciły jak sprężynki z powrotem na miejsce. – Nazywano to przyciąganiem wewnętrznym. Wiele kiedyś było na ten temat teorii. A teraz ja będę miał możliwość...

– Krótkotrwały – przerwał mu McKie. – To znaczy?

– Nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia standardowych lat nawet w najidealniejszych warunkach.

– Ale ta planeta...

– Tysiące lat temu, tak.

McKie, kręcąc głową w zamyśleniu, przyglądał się podejrzliwie leżącemu przed nim kawałkowi srebrnej linki.

– A więc, oczywiście, ktoś wymyślił jak to hodować gdzie indziej niż na Rapie – powiedział w końcu.

– Może. Ale jakoś udało im się to zachować w tajemnicy cały ten czas.

– Nie podoba mi się to, o czym wydaje mi się, że ty myślisz – powiedział McKie.

– To chyba najbardziej zagmatwane zdanie jakie kiedykolwiek powiedziałeś. Ale wiem, co masz na myśli. Wydaje ci się, że rozważam możliwość podróży w czasie albo...

– Absolutnie niemożliwe! – warknął McKie.

– Zająłem się niezwykle interesującą analizą matematyczną tego problemu – powiedział Tuluk.

– Zabawa w numerki nam tu dużo nie pomoże.

– Zachowujesz się zupełnie nie jak McKie – powiedział Tuluk. – Nieracjonalnie. A więc nie będę dalej przeciążał teoretycznymi wywodami twoich ośrodków myślowych. To jednak znacznie więcej niż zabawa w...

– Podróż w czasie – powiedział McKie. – Nonsens!

– Formy postrzegania, do których jesteśmy przyzwyczajeni mają tendencję do przeszkadzania nam w procesach myślowych koniecznych do prawidłowego zanalizowania tego problemu – powiedział Tuluk. – A więc ja odrzucam te sposoby myślenia.

– Takie jak?

– Jeżeli zbadamy współzależności w serii, co nam to daje? Daje nam jakąś ilość punktów-wymiarów w przestrzeni. Abnethe zajmuje pozycję na konkretnej planecie, tak jak i Kaleban. Mamy

do czynienia z rzeczywistymi warunkami kontaktu pomiędzy tymi dwoma punktami.

– Więc?

– Musimy założyć, że istnieje jakiś porządek w serii punktów-kontaktów.

– Dlaczego? Równie dobrze mogą być przypadkowymi przykła...

– Ruch tych dwóch konkretnych planet ma swój porządek w przestrzeni kosmicznej. Porządek, układ, rytm. W przeciwnym wypadku Abnethe i jej banda atakowałiby częściej. Mamy do czynienia z systemem, który zdaje się nie poddawać konwencjonalnej analizie. Ma swój rytm czasowy, przekładalny na rytm punktów w serii. A więc jest zarówno czasowy, jak i przestrzenny.

McKie pociągnięty tokiem myśli Tuluka poczuł, że powoli zaczyna się wydobywać z zalewającej jego umysł mgły.

– Może jakiś rodzaj odbicia? – powiedział. – To wcale nie musi być podróż w cza...

– To nie wariacje na fortepian! – zaproponował Tuluk. – Proste równanie kwadratowe nie daje nam tu żadnej funkcji eliptycznej. Stąd wniosek, że mamy do czynienia ze związkiem liniowym.

– Linie – wyszeptał McKie. – Łączniki.

– Co? Ach tak. A więc mamy do czynienia ze związkiem liniowym, opisującym ruch powierzchni przez jakąś formę wymiaru. Nie możemy być pewni wymiarów, w jakich operuje Kaleban, ale nasze to już co innego.

McKie wyduł wargi. Tuluk poruszał się w bardzo rzadkiej materii abstraktów, ale rozumowanie Wreava pociągało go swoją niezaprzeczalną elegancją.

– Możemy traktować wszystkie punkty w przestrzeni jako wielkości określane przez inne wielkości – mówił dalej Tuluk. – Istnieją metody obliczania niewiadomych w takich sytuacjach.

– No tak – mruknął McKie – przestrzeń  $n$ -wymiarowa.

– Dokładnie. Najpierw traktujemy nasze dane jako serią pomiarów definiujących przestrzeń pomiędzy punktami serii.

– Klasyczne  $n$ -krotne rozwinięcie  $n$ -zbioru – przytaknął McKie.

– Brawo. Zaczynasz być coraz bardziej podobny do tego McKie'ego, którego ja pamiętam. To rzeczywiście  $n$ -krotne rozwinięcie zbioru. A czym jest czas w takim zadaniu? Czas jest zbiorem jednego wymiaru. Ale my mamy, jak sobie przypominasz, serię punktów-wymiarów w przestrzeni oraz w czasie.

McKie aż gwizdnął z podziwu dla nieskazitelnej logiki Wreava.

– A więc mamy do czynienia albo zjedną ciągłą zmienną, albo  $n$  ciągłymi zmiennymi. Fantastycznie!

– No właśnie. A przez zredukowanie rachunkiem nieskończonych różniczek otrzymujemy dwa systemy o właściwościach  $n$ -ciał.

– Do tego właśnie doszedłeś?

– Właśnie do tego. Wynika stąd, że nasze punkty kontaktów istnieją oddzielnie w różnych wymiarach czasu. Ergo, Abnethe znajduje się w innym wymiarze czasowym, od tego w którym jest Arbuz. Jedyne możliwe wytłumaczenie.

– A więc wcale nie musimy mieć do czynienia z fenomenem podróży w czasie w znaczeniu fantastyczno-naukowych powieści – powiedział McKie. – Te subtelne różnice, które Kaleban widzi, te łączniki, te nitki...

– Pajęczyny osadzone w wielu wszechświatach – dokończył Tuluk. – Być może. Załóżmy, że życie poszczególnych istot przędzie-te pajęcze nitki...

– Ruchy materii bez wątpienia też je przędą – dodał McKie.

– Zgoda. I te nitki przecinają się, łączą. Krzyżują się. Stykają się w jakiś tajemniczy sposób.



Plączą się ze sobą. Niektóre są mocniejsze niż inne. Doświadczyłem tego splątania, kiedy przeprowadziłem rozmowę, która uratowała ci życie. Wyobrażam sobie, jak niektóre z tych nitok przędą się od nowa, łączą, biegną wzdłuż siebie – i tak dalej – po to by stworzyć warunki dawno minionych czasów w naszym wymiarze. Kto wie, dla Kalebana to może stosunkowo proste zadanie. Być może nawet nie rozumie tego w ten sam sposób co my.

– Z tym mogę się zgodzić.

– Co byłoby do tego konieczne? – zastanawiał się Tuluk na głos. – Pewne bogactwo doświadczeń, coś co nada tym nitkom, liniom, pajęczynom przeszłości wystarczającej siły, by można je było zebrać i poprzestawiać na wzór oryginału wraz z całą jego zawartością.

– To wszystko pięknie brzmi w teorii – powiedział McKie – ale jak przetrząść całą planetę lub przestrzeń wokół...

– Czemu nie? Nie wiemy do jakich energii Kalebany mają dostęp. Dla robaka pełzającego po ziemi trzy twoje kroki mogą być całodzienną wędrówką.

Mimo wrodzonej ostrożności McKie czuł, że daje się coraz bardziej przekonać.

– To prawda, że G'oko Kalebana umożliwia nam podróż przez całe lata świetlne – powiedział.

– Coś. co stało się tak codzienne, że nawet nie zastanawiamy się nad ogromem potrzebnej do tego energii. Pomyśl, czym taka podróż byłaby dla naszego hipotetycznego robaka! A dla Kalebana to może być najmniejsza z błachostek!

– Nie powinniśmy nigdy byli przyjąć G'oka – powiedział McKie. – Mamy nasze zupełnie dobre ponadświetlne statki kosmiczne i zawieszenie procesów metabolicznych. Powinniśmy byli powiedzieć Kalebanom, że mogą zjeżdżać po swoich własnych łącznikach!

– I zrezygnować z możliwości błyskawicznej komunikacji w całym naszym świecie? Wiesz ile trwałaby łączność pomiędzy co odleglejszymi planetami? Nie, McKie. Nie ma mowy. Jedyne co powinniśmy byli zrobić, to sprawdzić dokładniej ten podarunek od Kalebanów. Powinniśmy byli zastanowić się, czy nie wiążą się z nim jakieś niebezpieczeństwa. Ale byliśmy zbyt oniemiałymi jego świetnością.

McKie – podnosząc rękę do czoła by się podrapać w brwi – poczuł niespodziewanie w całym ciele ciarki nagłego niebezpieczeństwa. Runęły one wzdłuż jego krzyży, by wybuchnąć z całą siłą w lewym ramieniu. Rozpaliło się ono ostrym bólem – coś ugodziło go w nie aż do kości. Mimo zaskoczenia odwrócił się na pięcie jak bąk i stanął twarzą w twarz z błyszczącym ostrzem miecza trzymanego w dwukciukowej dłoni żółtawego Palenki. Ramię wraz ze mieczem wychylało się z wąskiej tuby wirtunelu. Przez niewielki otwór widoczna była jedynie głowa Palenki i, tuż obok niej, fragment przeciętej fioletowymi bliznami twarzy wielkiego Pan Spechi, wraz z jednym bursztynowym, wielokomórkowym okiem.

Przez chwilę czas dla McKie'ego się zatrzymał. Widział jak we śnie rozpoczynający się ruch miecza w kierunku jego twarzy. Wiedział, że zastygnięto w szoku mięśnie nie zdążą zareagować na czas. Poczuł dotyk zimnego metalu na czole i, w tej samej chwili, przed oczyma przeleciał mu złoty blask wiązki z miotacza.

McKie stał nadal jak słup soli, zmrożony w bezruchu, odbierając wszystko co się wokół niego działo jak jakiś żywy obraz. Widział zdumienie malujące się na pełnej blizn twarzy Pan Spechi, zaczynające swój nieuchronny ruch w kierunku podłogi obcięte ramię Palenki, nadal ściskające na wpół stopione resztki metalu. Serce biło mu, jakby właśnie zakończył godzinny bieg. Uczucie mokrego gorąca zaczęło rozchodzić się od lewej skroni. Spływało wzdłuż policzka, brody, pod kołnierzyk. Lewe ramię pulsowało mu rytmicznym bólem, zobaczył ściekającą między palcami jasnoczerwoną krew.

Skokwłaz G'oka zniknął w ułamku sekundy.

Otoczyli go z wszystkich stron, ktoś przycisnął opatrunek do skroni, tam gdzie ostrze miecza Palenki dotknęło...

Dotknęło?

Jeszcze raz zamarł w sobie czekając na nagłą śmierć, na zbliżające się ostrze...

Zobaczył, że Tuluk pochyła się by podnieść resztki spalonego miecza.

– I znowu udało mi się wywinąć w ostatniej chwili – powiedział McKie zadziwiająco pewnym głosem.

*Opatrzność i Przeznaczenie znaczą to samo, gdy się ich używa w obronie nadziei.*

**Fragment Komentarza Wreavów**

Na Centrum dochodziło już popołudnie, gdy Tuluk wysłał do McKie'ego posłańca z prośbą o przybycie do laboratorium. McKie'emu towarzyszyły teraz dwa plutony strażników. Wszędzie było ich pełno. Obserwowali powietrze, ściany, podłogi. Obserwowali się nawzajem. Obserwowali przestrzeń wokół każdego obecnego w centrali BuSabu. Wszyscy rozumni trzymali miotacze w pogotowiu.

McKie, który spędził ostatnie dwie godziny z Hanaman i pięcioma jej współpracownikami z Obsługi Prawnej, gotowy był na konkrety. Prawnicy przygotowywali się do przeszukania każdej posiadłości Abnethe, do zarekwirowania wszystkich jej akt i dokumentów, jakie uda się znaleźć – ale to Wszystko było w sferze abstrakcyjnych symboli. Choć kto wie, może coś z tego wyniknie. Mieli nakaz telesądowy, w tysiącach egzemplarzy, zezwalający na przeszukanie większości planet poza jurysdykcją Gowachinów. Urzędnicy Gowachinów współpracowali na swój własny sposób – sprawdzając niewinność strażników i odpowiednich urzędów policyjnych.

Oddziały policji Kryminalna-1, zarówno na Centrum jak i wszędzie indziej, udzielały pomocy. Dostarczali strażników, udostępniali normalnie zamknięte dla BuSabu akta, czasowo sprzęgli swoje komputery identyfikacyjne i kartoteki kryminalne z biurami BuSabu.

Oczywiście były to wszystko już jakieś działania, ale McKie'emu wydawały się niesłychanie okrężne, abstrakcyjne. Na Abnethe trzeba zarzucić jakąś inną sieć, w którą jeśli raz się już złapie, żeby za żadne skarby nie mogła się wyplątać.

Wydawało mu się, że otaczający go świat coraz bardziej traci ducha.

Pętle, miecze, gilotynujące skokwłazy – uwikłani byli w bezpardonowy konflikt.

Nie udawało mu się zrobić niczego, co by powstrzymało czarny huragan pędzący w ich kierunku. Był wobec tego tak beznadziejnie bezsilny. Świat zwracał ku niemu nieme, przepełnione, zmęczeniem oblicze. Prześladowały go słowa Kalebana – wiosna energia... widzenie wprawia w ruch... Ja jestem G'okiem!

Razem z Tulukiem w jego niewielkim laboratorium tłoczyło się ośmiu strażników. Wszyscy byli zakłopotani, przepraszający – dowód, że Tuluk na pewno sprzeciwiał się temu w ten boleśnie sarkastyczny sposób, tak charakterystyczny dla Wreavów.

Tuluk rzucił wzrokiem w kierunku wchodzącego McKie'ego i powrócił do badania kawałka metalu trzymanego w subtronowym polu siłowym, poniżej migających nad stołem baterii światełek.

– Fascynujący materiał, ta stal – mruknął, pochylając głowę by poprawić chwyt jednego ze swoich krótszych chwytlikówna rączce probierza, którym delikatnie obstukiwał badany kawałek metalu.

– A więc to stal – powiedział McKie, z uwagą przypatrując się całej operacji.

Metal, po każdorazowym stuknięciu probierzem, wyrzucał prysznic fioletowych iskier. Przypominały McKie'emu coś, co już na pewno kiedyś widział, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć ani co, ani gdzie, czy kiedy. Deszcz iskier. Pokręcił głową w zadumie.

– Na końcu stołu leżą moje notatki – powiedział do niego Tuluk. – Przeczytaj je, a ja zaraz skończę i porozmawiamy.

McKie zobaczył podłużny kawałek papieru czalflowego leżący po prawej stronie stołu. Podeszedł bliżej i wziął go do ręki. Papier zapisany był regularnym charakterem pisma Tuluka.

Materiał: stal, stop na bazie żelaza. Próbka zawiera niewielkie ilości manganu, węgla, siarki, fosforu, krzemu, trochę niklu, cyrkonu i wolframu, z dodatkami chromu, molibdenu i wanadu.

Porównanie: odpowiada stali używanej w Drugiej Epoce w ludzkiej podjednostce politycznej „Japonia”, do wyrobu mieczy w czasie Odrodzenia Samurajów.

Hartowanie: próbka twardo hartowana jedynie wzdłuż krawędzi ostrza, reszta miecza miękka.

Rękojeść: lniany sznur owinięty wokół kości i polakierowany (patrz niżej: analiza lakieru, kości i sznura).

McKie spojrział na resztę tekstu: „Kość z zęba morskiego ssaka, przerobiona po uprzednim użyciu w jakimś innym wyrobie o nieznanym charakterze, zawierającym brąz.”

Analiza sznura lnianego była interesująca. Był on wykonany stosunkowo niedawno i wykazywał pewne subcząsteczkowe cechy podobne do tych odkrytych wcześniej w strukturze skóry byczej.

Lakier był jeszcze bardziej interesujący. Jego podstawę stanowił łatwo parujący rozpuszczalnik, określony jako pochodna smoły węglowej, ale oczyszczona żywica pochodziła z wymarłego od tysiącleci owada *Coccus lacca*.

Doszedłeś już do opisu lakieru? – spytał Tuluk, spoglądając bokiem spod wykrzywionej pokrywy twarzowej.

-Tak.

– I co teraz myślisz o mojej teorii?

– Uwierzę we wszystko, co nam pomoże rozwiązać tę zagadkę.

– Jak twoje rany? – zapytał Tuluk, wracając do swojej pracy nad kawałkiem metalu.

– Jakoś przeżyję – McKie dotknął opatrunku z omniciała na skroni. – Co teraz robisz?

– Ten materiał został wykuty młotem – odparł Tuluk, nie odrywając wzroku od swojej pracy. – Staram się zrekonstruować sposób uderzania młotem w czasie kucia miecza – wyłączył pole siłowe i zgrabnie złapał opadający kawałek stali w jeden z wyciągniętych chwytników.

– Po co?

Tuluk rzucił stal na stół, odwiesił probierz na wieszak i odwrócił się do McKie'ego.

– Wyrabianie takich mieczy jak ten było zazdrośnie strzeżoną sztuką – powiedział. – Przekazywane było z ojca na syna przez całe stulecia. Nieregularność uderzeń młota każdego snycerza jest na tyle charakterystyczna, że po zbadaniu próbki miecza zawsze da się określić jego twórcę. Zbieracze tych mieczy udoskonalili tę technikę do weryfikowania ich autentyczności. Jest tak samo pewna jak analiza oka, pewniejsza niż odciski jakichkolwiek anomalii skórnych.

– No i czego się dowiedziałeś?

– Wykonałem te badania dwukrotnie – odparł Tuluk – by mieć pewność, że się nigdzie nie pomyliłem. Mimo że próba rewiwikacji komórek w lakierze i sznurze lnianym wskazuje na to, że ten miecz został wyprodukowany nie więcej niż osiemdziesiąt lat temu, to stal została wykonana przez snycerza żyjącego przed tyloma tysiącami lat, że nawet nie będę tego liczył. Nazywał się Kanemura i mogę ci podać dane źródłowe, które to bezsprzecznie potwierdzają. Nie ma żadnych wątpliwości, kto wykonał ten miecz.

Interkom na ścianie nad stołem Tuluka zabrzączał dwa razy i pojawiła się na nim twarz Hanaman z Obsługi Prawnej.

– Ach, tu jesteś, McKie – powiedziała, spoglądając ponad Tulukiem.

– Co znowu? – spytał w roztargnieniu McKie, dalej zamyślony nad odkryciem Tuluka.

– Dostaliśmy te nakazy sądowe – powiedziała Hanaman. – We wszystkich okręgach, poza Gowachinami, całe bogactwa Abnethe są zablokowane.

– A co z nakazami aresztowania?

– Też je mamy. To dla tego cię szukałam. Powiedziałeś, żeby ci dać znać jak najprędzej.

– A Golachinowie współpracują?

– Zgodzili się ogłosić u siebie stan zagrożenia Konfederacji. Pozwala to policji federalnej i agentom BuSabu na prowadzenie u nich wszelkich działań koniecznych do ujęcia podejrzanych.

– Świetnie – powiedział McKie. – Jeżeli teraz tylko powiesz mi, kiedy ją można znaleźć, to myślę, że uda nam się ją złapać.

Hanaman spoglądała z ekranu z wyrazem zdziwienia w oczach.

– Kiedy? – spytała.

– Tak – warknął McKie. – Kiedy.

*Jeżeli uwierzysz, że jesteś wystarczająco głodny, to zjesz nawet swoje wiosnę myśli.*

**Porzekadło Palenków**

Gdy McKie wrócił do gabinetu Bildoona na naradę na temat strategii, czekał już tam na niego raport o znakach plemiennych na skorupie Palenki. Narada została już przełożona dwukrotnie. Na Centrum była prawie, północ, ale większość pracowników Biura, a zwłaszcza większość strażników, nadal pełniła dyżur. Wszystkim rozdano kapsułki pobudzające i rozłłaszczacz. Pluton strażników towarzyszący McKie'emu wykazywał w swoich ruchach tę sztuczną gwałtowność, która zawsze jest ceną za stosowanie zbyt wielu środków farmakologicznych.

Wchodząc do gabinetu Bildoona, McKie zastał go wyciągniętego na krześlaku, z nogami opartymi o wystawiony przez krześlaka usługnie podnózek i z lubością poddającego się łagodnemu masażowi, którym raczyło go to posłuszne stworzenie. Otwierając jedno połyskujące jak diament oko, Bildoon zwrócił się do McKie'ego.

– Mamy już raport odnośnie tego Palenki, którego sholografowałeś – Bildoon na powrót zamknął oko i odetchnął głęboko. – Leży tam, na moim biurku.

McKie klepnął innego krześlaka, by się ustawił w odpowiednim miejscu i siadł w nim wygodnie.

– Jestem już zmęczony czytaniem – powiedział. – Co w nim jest?

– Plemię Shipsong – odpowiedział Bildoon. – Aaaach, przyjacielu, ja też jestem już zmęczony.

– A więc? – spytał McKie. Miał ochotę kazać krześlakowi zrobić sobie masaż. Widok Bildoona bardzo do tego kusił, ale McKie bał się że masaż go teraz uśpi. Strażnicy krążący po pokoju musieli być równie zmęczeni. Z pewnością mieliby mu za złe, gdyby sobie teraz uciął drzemkę. .

– Dostaliśmy nakaz zatrzymania i mamy tu przywódcę plemienia Shipsong – powiedział Bildoon. – Twierdzi, że w plemieniu nie brakuje nikogo.

– Czy to prawda?

– Staramy się to sprawdzić, ale skąd można mieć pewność? To tylko słowo Palenki, a to niezbyt wiele warte.

– Pewnie przysięgł na swoje ramię, tak?

– Oczywiście – Bildoon kazał krześlakowi przerwać masaż, usiadł prosto. – Ale cudze znaki plemienne są często używane bezprawnie.

– Palenkom ramię odrasta w ciągu jakichś trzech, czterech tygodni – powiedział McKie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ona musi mieć w rezerwie kilkadziesiąt Palenków.

– Może mieć nawet milion, a my byśmy o tym nie wiedzieli.

– Czy ten przywódca plemienia był rozżłoszczony tym, że jakiś inny Palenki używał jego znaków plemiennych?

– Nie zauważyliśmy niczego takiego.

– To znaczy, że kłamał – powiedział McKie.

– Skąd wiesz?

– Według Gowachinów, podszywanie się pod cudze plemię jest jednym z ośmiu wykroczeń karanych przez Palenków śmiercią. A Gowachini powinni dobrze wiedzieć, bo to właśnie oni przeszkolili Palenków w zakresie zgodności ustawodawstwa z konstytucją Konfederacji, kiedy Palenkowie zostali do niej przyjęci.

– Acha – westchnął Bildoon. – czemu Obsługa Prawna tego nie wiedziała? Powiedziałem im, żeby tę sprawę zbadali od źródeł.

– Zastrzeżone ustawodawstwo. Prawo ras do samostanowienia i tak dalej. Wiesz jak Gowachinowie są czuli na punkcie godności osobistej, prawa do tajemnicy i te pe i te de.

– Jeżeli się dowiedzą, że to rozpowiadasz, to wsadzą ci jakąś karę – powiedział Bildoon.

– Nie. Mianują mnie oskarżycielem na jakichś następnych dziesięć rozpraw, w których przestępca grozi kara śmierci. Jeżeli oskarżyciel weźmie sprawę i jej nie wygra, to sam idzie na szafot, jak pewnie wiesz.

– A jeśli odmówi wzięcia sprawy?

– Zależy od sprawy. Za niektóre z nich mógłbym dostać do dwudziestki.

– Dwadzieścia standardowych lat?

– Przecież nie minut – warknął McKie.

– Więc czemu mi to powiedziałaś?

– Chcę, żebyś mi pomógł złamać tego przywódcę plemienia.

– Złamać? Co masz na myśli?

– Czy wiesz jak ważna dla Palenków jest mistyka ramienia?

– Co nieco. Czemu pytasz?

– Co nieco – mruknął McKie. – W prymitywnych czasach Palenkowie zmuszali przestępców do zjedzenia swojego własnego ramienia, a potem uniemożliwiali jego odrost. Wielkie uchybienie na godności, ale i jeszcze większa rana emocjonalna dla Palenków.

– Chyba nie chcesz go zmuszać...

– Oczywiście, że nie! – przerwał mu McKie. Bildoonem targnął nagły dreszcz.

– Wy ludzie – powiedział – macie w zasadzie strasznie krwio pijącą naturę. Czasem wydaje mi się, że was nie rozumiemy.

– Gdzie ten Palenki?

– A co chcesz zrobić?

– Przesłuchać go! A co ty sobie wyobrażasz?

– Po tym, co mówiłeś, nie byłem taki pewny.

– Uspokój się, Bildoon. Hej, ty! – McKie wykonał gest w kierunku Wreava, dowódcy oddziału strażników. – Sprowadź tu tego Palenkę!

Strażnik spojrział pytająco na Bildoona.

– W porządku – powiedział Bildoona.

Strażnik pokręcił niepewnie chwytnikami żuchwowymi, ale odwrócił się i wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą połowę oddziału.

Dziesięć minut później Przywódca plemienia Palenków został wprowadzony do gabinetu Bildoona. McKie pokiwał potakująco głową, rozpoznając węzowate znaki na skorupie Palenki. Tak jest, plemię Shipsong, teraz kiedy widział te znaki na własne oczy, sam potwierdził prawidłową identyfikację.

Liczne nogi Palenki przyniosły go przed McKie'ego. Zwróciła się ku niemu pełna oczekiwania żółwiowata twarz.

– Czy naprawdę każesz mi zjeść własne ramię? – spytał. McKie obrzucił dowódcę strażników oskarżającym wzrokiem.

– On pytał, co z ciebie za facet – usprawiedliwił się Wreave.

– Dziękuję, że wytłumaczyłeś mi to tak dokładnie – powiedział McKie. – A co ty myślisz? – dodał zwracając się do Palenki.

– Myślę, nie możliwe, pan McKie. Rozumni już nie zezwalają na takie barbarzyństwo – żółwie usta przekazały to stwierdzenie bez żadnych widocznych emocji, ale nerwowo podrygujące ze stawu na szczycie głowy ramię zdradzało znaczne zdenerwowanie.

– Mogę zrobić nawet coś dużo gorszego – zagroził McKie.

– Co jest gorsze? – spytał Palenki.

– Zobaczmy za chwilę. A teraz powiedz, czy to prawda – tak jak podobno twierdzisz – że w twoim plemieniu nie brakuje żadnego członka?

– To prawda.

– Kłamiesz – powiedział McKie beznamiętnie.

– Nie!

– Jakie jest twoje imię plemienne? – spytał McKie.

– To mówię tylko braciom plemiennym.

– Albo Gowachinom.

– Pan McKie nie Gowachin.

W pełnym pomruków i mlaskania języku Gowachin McKie opisał hipotetycznie nienajlepiej się prowadzących przodków Palenki, jego przestępne zwyczaje, możliwe kary za jego zachowanie. Zakończył wybuchem identyfikacyjnym Gowachinów, specjalnym układem emocjonalno-słownym, nakazującym przedstawienie się sędziom Gowachinów.

– Jest pan człowiekiem przyjętym do ich sądownictwa. Słyszałem o panu – powiedział Palenki.

– Jakie jest twoje imię plemienne? – spytał rozkazująco McKie.

– Nazywam się Biredch z Ank – powiedział Palenki tonem pełnym rezygnacji.

– A więc Biredchu z Ank, jesteś kłamcą!

– Nie! – ramię Palenki zatrzepotało gwałtowniej.

W jego zachowaniu wyraźnie widoczny był teraz strach. Był to rodzaj strachu, który McKie nauczył się rozpoznawać w ciągu wielu lat pracy z Gowachinami. Znał teraz specjalne imię Palenki – dawało mu to prawo zażądania jego ramienia.

– Jesteś zamieszany w przestępstwo karalne śmiercią – powiedział.

– Nie! Nie! Nie! – protestował Palenki.

– Nikt poza nami dwojgiem w tym pokoju nie wie, że członkowie plemion poddają się przeszczepom genów w celu umieszczenia znaków rozpoznawczych na pancerzach. Znaki wrastają w samą skorupę. Nie prawda?

Palenki nie odpowiedział.

– To prawda – powiedział McKie. – Zauważył, że zafascynowani tą wymianą zdań strażnicy otoczyli ich ścisłym kołem. – Ty! – McKie machnął ręką w kierunku dowódcy oddziału. – Trzymaj swoich ludzi w gotowości!

– Gotowości? – zdziwił się Wreave.

– Macie pilnować każdej piędzi tego pokoju. Chcesz, żeby Abnethe zabiła naszego świadka?

Zawstydzony dowódca odwrócił się do swoich podwładnych, krzyknął kilka krótkich rozkazów, ale strażnicy już i tak A sami powrócili do nerwowego kręcenia oczami po całym pokoju. Wreave-dowódca potrząsnął jeszcze gniewnie chwytnikiem i zamilkł.

– Teraz, Biredchu z Ank – McKie zwrócił się ponownie do Palenki – zadam ci kilka specjalnych pytań. Znam już odpowiedź na niektóre z nich. Jeżeli złapię cię na choć jednym kłamstwie, to być może zachowam się jak barbarzyńca. Gra toczy się o zbyt wysoką stawkę. Dobrze mnie zrozumiałeś?

– Nie myśli pan, że...

– Ilu członków swojego plemienia sprzedałeś Mliss Abnethe w niewolnictwo?

– Handel niewolnikami jest karany śmiercią – odpowiedział Palenki, ciężko dysząc.

– Już ci raz powiedziałem, że i tak jesteś zamieszany w przestępstwo karalne śmiercią – powiedział McKie. – Odpowiadaj na pytanie!

– Żądasz, żebym się sam skazywał?

– Ile ci zapłaciła?

– Kto zapłacił za co?

– Ile ci zapłaciła Abnethe?

– Za co?

– Za twoich współplemieńców.

– Jakich współplemieńców?

– O to właśnie się ciebie pytam – powiedział McKie. – Chcę wiedzieć, ilu ich sprzedałeś, ile Abnethe ci zapłaciła i dokąd ich zabrała.

– Nie mówi pan poważnie!

– Nagrywam tę rozmowę – powiedział McKie. – Za chwilę połączę się z waszą Zjednoczoną Radą Plemion, puszcze im to nagranie i zaproponuję, żeby sami się tobą zajęli.

– Wyśmieją pana! Jakie dowody może pan...

– Mam twój własny winny głos. Zrobimy analizę poligrafową wszystkiego, co powiedziałeś i wysłamy radzie, razem z nagraniem.

– Poligraf? Co to takiego?

– To urządzenie, które analizuje najdrobniejsze różnice w tonie i intonacji głosu i określa, kiedy mówi się prawdę, a kiedy kłamie.

– Nigdy nie słyszałem o takim urządzeniu!

– Agenci BuSabu używają wielu urządzeń, o których prawie nikt nie słyszał – powiedział McKie. – A teraz daję ci jeszcze jedną szansę. Ilu współplemieńców sprzedałeś?

– Czemu pan mi to robi? Co jest takiego ważnego w Abnethe. że depcze pan po podstawowych

zasadach uprzejmości międzyrasowej, odmawia mi prawa do...

– Staram się uratować ci życie – powiedział McKie.

– I kto teraz kłamie?

– Jeżeli nie uda nam się znaleźć i powstrzymać Abnethe – powiedział McKie – to umrą prawie

wszystkie istoty myślące w całym wszechświecie, może z wyjątkiem kilku

noworodków. A bez pomocy dorosłych i one będą bez żadnych szans. Masz na to moje słowo.

– Przysięga pan?

– Na jajko mojego ramienia.

– Ooooo – jęknął Palenki. – Wie pan nawet o jajku?

– Za chwilę wymówię twoje imię i zmuszę cię do najpoważniejszej przysięgi.

– Przysięgłem już na ramię!

– Ale nie na jajko ramienia.

Palenki opuścił głowę. Wyrastające z niej jedyne ramię wiło się jak ranny wąż.

– Ilu sprzedałeś? – zapytał McKie.

– Tylko czterdziestu pięciu – syknął Palenki.

– Tylko czterdziestu pięciu?

– Przysięgam! Ani jednego więcej! – przerażenie Palenki wywołało pojawienie się w kącikach jego oczu błyszczących kropli tłustego potu. – Ona zaferowała takie warunki! Wzięła jedynie ochotników. Obiecała jajka bez ograniczeń!

– Rozród bez ograniczeń? – spytał McKie. – Jak to możliwe?

Palenki rzucił lęklwym wzrokiem w kierunku Bildoona, siedzącego z przygnębionym wyrazem twarzy za biurkiem.

– Powiedziała tylko, że znalazła nowe światy poza jurysdykcją Konfederacji.

– Jak odbyła się transakcja?

– Przyszedł do nas jeden Pan Spechi.

– I co?

– Zaproponował mojemu plemieniu zyski z dwudziestu planet przez sto standardowych lat.

– Fiuuu – gwizdnął ktoś za plecami McKie'ego.

– Gdzie i kiedy odbyła się transakcja? – spytał McKie.

– W domu moich jajek, rok temu.

– Stuletnie zyski – mruknął McKie. – Bezpieczna zapłata. Ani ty, ani twoje plemię nie przetrwacie nawet ułamka tego czasu, jeżeli Abnethe powiedzie się jej plan.

– Nie wiedziałem, przysięgam, że nie wiedziałem. Co ona chce zrobić?

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, gdzie mogą być te jej światy? – spytał McKie, ignorując pytanie Palenki.

– Przysięgam, że nie wiem. Proszę przynieść ten poligraf a udowodnię, że mówię prawdę.

– Nie ma żadnego poligrafia dla twojej rasy – powiedział McKie.

Palenki przyglądał mu się przez chwilę.

– Niech ci zgniją wszystkie jajka – zaklął.

– Jak-wyglądał ten Pan Spechi? – spytał McKie.

– Odmawiam współpracy!

– Zabrnąłeś już za daleko – powiedział. McKie. poza tym mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

– Jaką propozycję?

– Zapomnimy, że przyznałeś się do winy, jeżeli będziesz z nami współpracował.



- Znowu mnie próbujecie oszukać! – warknął Palenki.
  - Może lepiej połączmy się z radą Palenków – powiedział McKie do Bildoona – i złożmy im pełny raport.
  - Chyba masz rację – odparł Bildoon.
  - Czekajcie! – zawołał Palenki. – Skąd mogę wiedzieć, czy wam można ufać?
  - Nie możesz – odpowiedział McKie.
  - Wiec nie mam wyboru?
  - Nie masz.
  - Niech ci zgniją wszystkie jajka, jeżeli mnie oszukasz.
  - Co do jednego – zgodził się McKie. – Jak wyglądał ten Pan Spechi?
  - Był utrwalony w fazie osobowości – odpowiedział Palenki. – Widziałem blizny. Pochwalił się tym, żeby mi pokazać, że można mu ufać.
  - Jak wyglądał?
  - Wszyscy Pan Spechi wyglądają tak samo. Nie wiem... ale blizny były fioletowe. Pamiętam to dobrze.
  - Wiesz, jak się nazywał?
  - Cheo.
- McKie rzucił wzrokiem na Bildoona.
- To imię sugeruje nowe znaczenie dla starych pomysłów – powiedział Bildoon – w jednym z naszych bardzo, bardzo starych dialektów. To oczywiście przybrane imię.
- McKie zwrócił się do Palenki.
- Sporządziliście jakąś umowę? – spytał.
  - Umowę?
  - Kontrakt... gwarancje! Jak ci zagwarantował zapłatą?
  - Acha. Mianował wskazanych przeze mnie współplemieńców zarządcami na wybranych planetach.
  - Sprytnie – powiedział McKie. – Zwyczajne umowy o pracę. Trudno by się w tym dopatrzeć czegoś podejrzanego, a jeszcze trudniej by to udowodnić.
- McKie wyjął z kieszeni marynarki narzędziownik, wy dobył z niego aparat holograficzny, ustawił go na naświetlanie, dokonał selekcji obrazu. W powietrzu obok Palenki pojawił się zarejestrowany przez strażnika Wreava obraz ze skokwłazu w Arbuzie. McKie wolno obrócił go dookoła, dając Palence możliwość zobaczenia twarzy Pan Spechi z każdej strony.
- Czy to Cheo? – spytał McKie.
  - Rozkład blizn jest taki sam. To on.
  - To wystarczająca identyfikacja – McKie spojrzał na Bildoona. – Palenki potrafią rozpoznać przypadkowe układy linii i kresek lepiej niż jakakolwiek inna fasa na świecie.
  - Nasze znaki plemienne są niezwykle skomplikowane – pochwalił się tonem pełnym dumy Palenki.
  - Wiemy – powiedział McKie.
  - A w czym nam to pomaga? – zapytał Bildoon.
  - Sam chciałbym wiedzieć – odparł McKie.

*Żaden język nie rozwiązał jeszcze dobrze problemu związków czasowych.*

**Opinia Gowachinów**

McKie i Tuluk dyskutowali nad teorią odtworzenia czasu, ignorując oddział strzegących ich strażników, mimo widocznego z ich strony zainteresowania.

Teoria ta teraz – w sześć godzin po przesłuchaniu przywódcy plemienia Palenków, Biredcha z Ank – rozniosła się po całym Biurze. Śmiało się z niej mniej więcej tyle samo osób, co ją popierało.

Na żądanie McKie'ego przenieśli się do jednej z sal, przeznaczonych do szkolenia międzyrasowego, ustawili w niej podłączony do centralnego komputera skaner danych i próbowali dopasować teorię Tuluka do zjawiska liniowości struktury subatomowej odkrytej w byczej skórze i innych materiałach organicznych pozyskanych od Abnethe.

Tuluk sądził, że liniowość struktury może wskazywać na istnienie pewnego wektora przestrzennego, który mógłby pomóc określić kryjówkę Abnethe.

– W naszym wymiarze musi istnieć jakiś wektor ogniskowy – dowodził Tuluk.

– Nawet jeśli masz rację, to co z tego? – sprzeciwił się McKie. – Jej nie ma w naszym wymiarze. Proponuję, żebyśmy wrócili do Kalebańskiego...

– Słyszałeś, co powiedział Bildoon. Masz tu siedzieć na tyłku. Arbuz zostaje dla strażników, podczas kiedy my skupiamy się na...

– Ale Frania jest naszym jedynym źródłem nowych informacji!

– Frania... och, tak. Ten Kaleban. Tuluk należał do tych, którzy lubią myśleć w ruchu. Wsunąwszy chwytники zuchwowe w dolny fałd pokrywy twarzowej, pozostawiając ha wierzchu jedynie oczy i otwór oddechowo-głosowy, kursował teraz niczym satelita po owalnej trasie wokół katedry. Giętkie, rurowate odnóża niosły go szlakiem wokół krześlaka, na którym siedział McKie, w kierunku strażnika Laklaka stojącego na drugim końcu wielkiej katedry zawierającej zespół konsoli instruktazowych, wzdłuż linii licznych strażników zgromadzonych wokół lewitostolu, na którym McKie rysował esy-floresy na kartce papieru, i znów za plecami McKie'ego na drugi koniec katedry.

Na tej właśnie trasie zastał go Bildoon, wchodzący na salę. Gestem podniesionej dłoni zatrzymał nerwowo krążącego Wreava.

– Przed budynkiem jest tłum dziennikarzy – zawarczał niezadowolony. – Nie wiem skąd się tego dowiedzieli, ale strasznie wśród nich szumi. Można to podsumować w ten mniej więcej sposób: „Kalebany zamieszane w koniec świata!” McKie, czy to twoja sprawka?

– Abnethe – powiedział McKie, nie odrywając wzroku od kartki czalfowej, którą prawie całkiem już zapełnił skomplikowanymi esami-floresami.

– To szaleństwo!

– Nigdy nie twierdziłem, że ona nie jest szalona. Masz pojęcie ile agencji prasowych, video i innych mediów ona kontroluje?

– Tak... pewnie, ale.

– Są jakiegokolwiek plotki, że ona jest w to zamieszana?

– Nie, ale...

– Nie sądzisz, że to trochę podejrzane?

– Skąd ci ludzie mogliby wiedzieć, że ona...

– A jak mogliby nie wiedzieć, że ona ma coś do czynienia z Kalebanami? Zwłaszcza po wywiadach z tobą! – McKie podniósł się z miejsca, cisnął zapisany papier czalfowy na ziemię i ruszył pomiędzy dwoma rzędami strażników.

– Czeka! – krzyknął Bildoon. – Gdzie idziesz?

– Powiedzieć im o Abnethe!

– Zwariowałeś? Tylko tego jej potrzeba, żeby nas oskarżyć o pomówienie i zniesławienie!

– Możemy zażądać, aby jako powódka pojawiła się osobiście na sali rozpraw – powiedział

McKie. – Cholera, trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. Czy nikt z nas już nie potrafi myśleć logicznie? Idealna obrona: prawda oskarżenia.

Bildoon dogonił go i kroczyli teraz ramię w ramię, otoczeni ścisłym kordonem strażników. Tuluk podążał w tyle.

– McKie! – zawołał za nimi Tuluk. – Zauważasz u siebie ograniczenie procesów myślowych?

– Poczekaj aż sprawdzę, twój pomysł z prawnikami – powiedział Bildoon. – Może rzeczywiście wpadłeś na coś, ale...

– McKie – powtórzył Tuluk. – Zauważasz u siebie...

– Daruj sobie – szepnął McKie. Zatrzymał się i odwrócił do Bildoona. – Ile, myślisz, mamy jeszcze czasu?

–Kto wie?

– Pięć minut? – spytał McKie.

– Na pewno więcej.

– Ale tego nie wiesz.

– Mam w Arbuzie strażników... no, w każdym razie ograniczają ataki Abnethe do minim...

– Nie chcesz nic zostawić własnemu losowi, tak?

– Oczywiście, ale przecież nie...

– W takim razie idę powiedzieć tym dziennikarzom, że...

– McKie, ta kobieta wypuściła macki w koła rządowe, o których nawet ci się nie śniło – ostrzegł Bildoon. – Nie masz pojęcia, co znaleźliśmy w... no, mamy wystarczająco materiałów na kilka lat prą...

– Jest z nią ktoś naprawdę ważny?

– Ma niezłe plecy.

– I to właśnie dlatego trzeba wszystko wyciągnąć na światło dzienne!

– Wywołasz panikę!

– Potrzebna nam panika. Jak będziemy mieli panikę, to wiele osób będzie się z nią chciało skontaktować – przyjaciele, wspólnicy, wrogowie, wariaci. Będziemy zalani informacjami. A musimy mieć więcej nowych danych.

– A co jeżeli ci... ci... – Bildoon wskazał kciukiem w kierunku drzwi – nie uwierzą ci? Nieraz już od ciebie słyszeli mocno podejrzaną dziwność. A co, jeżeli cię wyśmieją?

McKie się zawahał. Nie pamiętał, żeby Bildoon, znany z czystego umysłu, genialnych pomysłów i zdolności myślenia analitycznego, był już kiedykolwiek równie niepewny siebie, równie niezdecydowany. Czyżby był jednym z tych, których kupiła Abnethe? Niemożliwe! Ale obecność w tej sprawie Pan Spechi z utrwaloną fazą osobowości musiała kolosalnie zatrząść całą tą rasą. A Bildoon zbliża się do załamania własnej osobowości. Co naprawdę dzieje się w psychice Pan Spechi, gdy nadchodzi moment powrotu do bezmyślnej formy drapieżnego rozrodcy w gnieździe? Czy wywołuje to wysoce emocjonalny napad poczucia osamotnienia? Czy hamuje to procesy myślowe?

McKie pochylił się do ucha Bildoona.

– Czy jesteś gotowy ustąpić ze stanowiska Dyrektora Biura? – wyszeptał tak, by nikt inny tego nie usłyszał.

– Oczywiście, że nie!

– Bildoon, znamy się nie od dzisiaj – szeptał dalej McKie. – Wydaje mi się, że się nawzajem rozumiemy i szanujemy. Nie siadłbyś na tym tronie, gdybym cię nie poparł. Wiesz o tym dobrze. A teraz – jak przyjaciel do przyjaciela: Czy funkcjonujesz w tym kryzysie tak sprawnie jak powinieneś?

Na twarzy Bildoona mignął krótki grymas złości, który szybko ustąpił głębokiemu zamyśleniu.

McKie czekał cierpliwie. Kiedy nadejdzie na to czas, oddanie osobowości zrobi z Bildoona kompletny, bezradny bałagan. Z gniazda Bildoona wyjdzie nowa osoba, posiadająca całokształt jego wiedzy, ale dramatycznie inna w swojej konstrukcji emocjonalnej i poglądach. Czy to obecna sytuacja wywoływała przyspieszenie tego naturalnego procesu? McKie miał nadzieję, że nie. Naprawdę lubił Bildoona, ale w tej chwili racje osobiste należało odłożyć na bok.

– Do czego zmierzasz? – mruknął Bildoon.

– Nie chcę wystawić cię na pośmiewisko, ani nie chcę przyspieszyć... naturalnych procesów. Ale nasza obecna sytuacja jest niezwykle nagląca. Jeżeli nie powiesz mi prawdy, to zakwestionuję twoje kwalifikacje, spróbuję przejąć twoje stanowisko i przewrócę całe Biuro do góry nogami.

– Czy funkcjonuję sprawnie? – zadumał się Bildoon. Pokręcił głową. – Znasz na to odpowiedź tak samo dobrze jak ja. Ale i ty masz kilka błędów na koncie, McKie.

– Kto nie ma?

– O to chodzi! – wtrącił się Tuluk, podchodząc do nich.

– Wybaczcie, ale my Wreavowie mamy niezwykle ostry słuch. Wszystko słyszałem. Muszę wam coś powiedzieć. Te fale, czy jakkolwiek to nazwiemy, powstające po znikaniu Kalebanów, wywołującym masowe umieranie i pomieszanie zmysłów, zmuszają nas do zażywania rozżłaszczacza i innych..

– Więc nie jesteśmy w stanie myśleć całkiem trzeźwo – dopowiedział Bildoon.

– Więcej niż to – ciągnął dalej Tuluk. – Te wydarzenia, wydarzenia na ogromną skalę, pozostawiły po sobie... jakiś pogłos, wtórne drgania. Środki masowego przekazu nie wyśmiejają McKie'ego. Wszyscy rozumni szukają teraz wytłumaczenia tego dziwnego zaniepokojenia, które wszyscy odczuwamy. Nazywa się to „okresowym szaleństwem rozumnych” i wyjaśnić to próbuje się co...

– Tracimy czas – powiedział McKie.

– Co chcesz, żebyśmy zrobili? – zapytał Bildoon.

– Kilka rzeczy – odparł McKie. – Po pierwsze, trzeba odizolować Stedyon, żadnych więcej kontaktów z Kosmetykerami, nikomu nie wolno tej planety opuszczać, ani na nią przyjeżdżać.

– To szalone? Jak to usprawiedliwimy?

– Od kiedy BuSab musi się tłumaczyć? Mamy obowiązek hamowania procesu rządzenia.

– Wiesz w jak delikatnej sytuacji to nas postawi?

– Po drugie – kontynuował McKie, zupełnie niezrażony

– trzeba powołać się na klauzulę nagłej potrzeby w kontrakcie z Taprisjotami. Niech nas informują o każdej rozmowie wykonanej przez każdego znajomego Abnethe.

– Powiedzą, że przygotowujemy pucz – mruknął Bildoon. – Jeżeli to się rozniesie, to zaczną się rewolucje, rozruchy, nie obędzie się bez rozlewu krwi. Wiesz, jak czułą jest większość rozumnych na stosowanie podsłuchu. Poza tym, to nie po to jest ta klauzula; ma służyć procedurze identyfikacji i zwolnienia w normalnych...

– Jeżeli tego nie zrobimy, to wszyscy umrzemy, a Taprisjoci razem z nami. Trzeba im to jasno wytłumaczyć. Muszą z nami współpracować z własnej woli.

– Nie jestem pewny, czy uda mi się ich przekonać – zaprotestował Bildoon.

– Musisz spróbować.

– Ale co nam z tego wszystkiego przyjdzie?

– I Taprisjoci, i Kosmetykerzy działają w sposób jakoś podobny do Kalebanów, ale na znacznie mniejszych energiach – powiedział McKie. – Jestem tego pewny. Wszyscy mają dostęp do tego samego źródła energii.

– Więc co się stanie, jak odizolujemy Kosmetykerów?  
– Abnethe długo się bez nich nie obejdzie.  
– Abnethe na pewno ma swoje własne zastępy Kosmetykerów!  
– Ale Stedyon jest ich bazą. Odizoluj go, a myślę, że działalność Kosmetykerów ustanie wszędzie. Bildoon spojrział pytająco na Tuluka.

– Taprisjoci wiedzą znacznie więcej o łącznikach, niż to po sobie pokazują – wtrącił się Tuluk.  
– myślę, że cię wysłuchają, jeżeli im oznajmisz, że ostatni Kaleban, który tu jeszcze jest, zbliża się do ostatecznej nieciągłości. Wydaje mi się, że rozumieją znaczenie tego bardzo dobrze.

– Wy tłumacz mi to znaczenie, proszę. Jeżeli Taprisjoci mogą korzystać z tych... tych... to muszą wiedzieć, jak uniknąć tej katastrofy!

– A zapytał się ich ktoś?

– Kosmetykerzy... Taprisjoci... – mruczał Bildoon. – Co jeszcze zamierzasz zrobić?

– Wracam do Arbuza – oznajmił McKie.

– Nie możemy ci tam zapewnić tak dobrej ochrony jak tu.

– Wiem.

– To pomieszczenie jest za małe. Gdyby Kaleban zgodził się przyjść...

– Nie ruszy się z miejsca. Już ją o to pytałem.

Bildoon westchnął. McKie'ego uderzyło, jak głęboko ludzkie było to westchnięcie. Kiedy Pan Spechi zdecydowali się naśladować ludzkie kształty, przejęli od ludzi więcej niż tylko wygląd zewnętrzny. Jednak różnice nadal były kolosalne; przypominał sobie McKie. Ludzie mieli jedynie bardzo powierzchowne wyobrażenie o myślach Pan Spechi. O czym teraz myślał ten dumny, inteligentny Pan Spechi, oczekujący lada chwila powrotu do bezrozumnej formy gniazdowej? Z gniazda Bildoona wyjdzie inny jego członek, posiadający tysiącletnią akumulację wiedzy całego gniazda, wszystkie...

McKie zagryzł wargi, wziął głęboki oddech, głośno wypuścił powietrze z płuc.

Jak Pan Spechi przekazują, te dane od jednego osobnika do drugiego? Twierdzą, że są zawsze powiązani, posiadacz osobowości i jego gniazdowi towarzysze, aktywni i pogrążeni w hibernacji, śliniący się mięsożerca i wyrafinowany esteta. Powiązani? Jak?

– Czy ty rozumiesz, co to są łączniki? – McKie spoglądał prosto w pokryte wielobocznymi ściankami, jak w diamencie, oczy Bildoona.

– Widzę, o czym myślisz – Bildoon wzruszył ramionami.

-Wiec?

– Być może my, Pan Spechi, używamy podobnych procesów, ale jest to całkowicie nieświadome. Nie powiem nic więcej. Uważaj, lepiej nie pytaj o prywatne sprawy gniazda.

McKie skinął głową przytakująco. Prywatne sprawy gniazda to największy mur obronny istnienia Pan Spechi. W jego obronie nie powstrzymają się przed morderstwem. Żadna logika, żadne argumenty nie są w stanie zapobiec tej automatycznej reakcji, kiedy już raz się wzbudzi. Ostrzeżenie przekazane przez Bildoona było wyrazem olbrzymiej przyjaźni, jaką żywił dla McKie'ego.

– Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji – powiedział McKie.

– Zgadzam się z tobą – odparł Bildoon tonem pełnym głębokiej godności. – Daję ci wolną rękę w tym, co zaproponowałeś.

– Dzięki – powiedział McKie.

– Wszystko jest na twojej głowie, McKie – dodał Bildoon.

– Jeżeli uda mi się ją zachować – powiedział McKie. Wyszedł przed rozwrzeszczany tłum reporterów. Powstrzymywał ich kordon zmęczonych strażników. McKie uzmysłowił sobie,

spoglądając na tę scenę, że zachowanie głowy staje się w tej chwili nieco problematyczne nie tylko dla niego samego, ale i dla całej reszty mieszkańców świata, uwikłanych w obecną sytuację.

*Na złudzenia należy odpowiadać odruchowo (jak gdyby reakcje miały korzenie w autonomicznym systemie nerwowym), w sposób nie tylko nie wymagający wyrażania i zastanawiania się nad wątpliwościami, ale wręcz wymagający aktywnego opierania się im.*

## **Instrukcja BuSabu**

Kiedy McKie dotarł do rozświetlonych wschodzącym słońcem urwisk ponad miejscem spoczynku Arbuza, zaczęły już się tam zbierać tłumy gapiów.

Plotki rozchodzą się szybko, pomyślał.

Wzmocnione w oczekiwaniu na taką właśnie sytuację oddziały strażników odgrodziły dostęp do półki z lawy, na której spoczywał Arbus, powstrzymując napierające do brzegów urwiska tłumy rozumnych. Dziesiątki najrozmaitszych pojazdów powietrznych krążyły wokół lotników BuSabu trzymających straż ponad Arbuzem.

Stojący obok Arbuza McKie spoglądał w górę, na całe to zamieszanie. Poranny wiatr niósł ze sobą kropelki rozbryzgiwanej przez fale wody, mocząc mu policzki. McKie dotarł do biura Furunea przez skokwłaz, zatrzymał się tam tylko tak długo, jak wymagało tego wydanie wszystkich odpowiednich poleceń i przyleciał do Arbuza z jednym z lotników BuSabu.

Luk w Arbuzie nadal był otwarty – kręciło się wokół niego kilku strażników, pilnujących innej garstki strażników wewnątrz Arbuza. Wszędzie pełno było wyraźnie już zmęczonych strażników, krążących w beładzie tu i tam, rozglądających się wokół, gotowych do odparcia niespodziewanego ataku mogącego nadejść z każdej strony.

Na Serdeczności był wczesny ranek, ale pora ta nie miała większego znaczenia dla McKie'ego, który przenosił się co chwilę z planety na planetę. W komendzie na Centrum była późna noc, na planecie Taprisjotów, gdzie Bildoon z pewnością jeszcze się z nimi kłócił, był wieczór, a Bóg jeden raczy wiedzieć, jaka była pora na planecie, z której działała Abnethe.

Z pewnością później niż myślą, pomyślał McKie.

Przepchał się przez tłumek strażników, kazał podsadzić się do otwartego luku, zeskoczył do środka i rozglądał się po znajomym wnętrzu, oświetlonym fioletową luną. W Arbuzie było znacznie cieplej niż na zewnątrz, ale nie tak gorąco jak kiedyś.

– Czy Kaleban ostatnio coś mówił? – spytał McKie jednego ze strażników, wysokiego Laklaka.

– Nie nazwałbym tego mówieniem, ale w każdym razie ostatnio był cicho.

– Franiu – powiedział McKie. Cisza.

– Jesteś tu jeszcze, Franiu? – spytał McKie powtórnie.

– McKie? Wzywasz obecności, McKie?

McKie odniósł wrażenie, jakby odebrał te słowa gałkami ocznymi, które przekazały je jakoś do jego układu słuchowego. Słowa Kalebana były definitywnie słabsze niż poprzednio.

– Ile razy ona była biczowana w ciągu ostatniego dnia?

– spytał tego samego Laklaka.

– Lokalnego dnia? – spytał Laklak.

– Co za różnica'?

– Założyłem, że potrzebujesz dokładnych danych – Laklak wydawał się być urażony.

– Interesuje mnie, czy była ostatnio biczowana. Wydaje się słabsza niż była. kiedy ją widziałem ostatni raz – powiedział McKie, spoglądając w kierunku olbrzymiej łyżki, w której nadal wyczuwał

antyobecność Kalebana.

– Ataki nadchodziły nieregularnie i sporadycznie i w większości udawało nam się im zapobiec – odparł Laklak. – Zebraliśmy całą kupę biczów i ramion Palenków, ale słyszałem, że nie udaje się ich przetransportować do laboratorium.

– McKie wzywa obecności osoby Kalebana nazwanego Frania? – spytał Kaleban.

– Witam, Franiu.

– Posiadasz nowe splątania łącznikowe, McKie – powiedziała Kaleban – ale ogólny układ pozostaje rozpoznawalny. Witam cię, McKie.

– Czy twój kontrakt z Abnethe nadal wiedzie nas w kierunku ostatecznej nieciągłości? – spytał McKie.

– Natężenie bliskości – powiedziała Kaleban. – Mój pracodawca życzy rozmowy z tobą.

– Abnethe? Ona chce ze mną rozmawiać? – Prawdziwe stwierdzenie.

– Mogła się ze mną połączyć, kiedy tylko chciała.

– Abnethe przekazuje życzenie przez osobę mnie – powiedziała Kaleban. – Prosi przekaz wzdluż oczekiwanego łącznika. Ten łącznik ty odbierasz pod nazwą „teraz.” Masz to kapnięte, McKie?

– Mam to kapnięte – warknął McKie. – Daj jej mówić.

– Abnethe wymaga abyś odesłał towarzyszy z obecności.

– Mam być sam? – spytał McKie. – Niby czemu miałbym to zrobić? – W Arbuzie zaczynało się robić znacznie goręcej. McKie otarł kropelki potu znad ust.

– Abnethe mówi o motywie wśród rozumnych nazwanym „ciekawość.”

– Ja też stawiam pewne warunki na taką rozmowę. Powiedz jej, że nie zgadzam się, jeżeli nie zapewni mnie, że ani ja, ani ty nie zostaniemy zaatakowani w trakcie rozmowy.

– Ja cię zapewniam.

– Ty mnie zapewniasz?

– Prawdopodobieństwo w zapewnieniu Abnethe wydaje się... niekompletne. Opis przybliżony. Zapewnienie przez własną osobę intensywne... mocne. Bezpośrednie. Być może.

– Czemu dajesz mi to zapewnienie?

– Pracodawca Abnethe wyraża silne życzenie rozmawiać. Kontrakt przewiduje taki... serwis. Bliskie znaczenie. Serwis.

– A więc ty gwarantujesz moje bezpieczeństwo, tak?

– Intensywne zapewnienie, nie więcej.

– Żadnych ataków w trakcie rozmowy – nalegał McKie.

– Tak napędza łącznik – odpowiedział Kaleban.

Za plecami McKie'ego strażnik Laklak stęknął i powiedział:

– Rozumiesz coś z tego bełkotu?

– Zbierz swój oddział i opuście Arbuz – powiedział McKie.

– Panie Agencie, moje rozkazy...

– Nic mnie nie obchodzą twoje rozkazy! Jestem Nadzwyczajnym Sabotażystą i działam z mocy samego szefa Biura! A teraz wynosić się stąd!

Panie Agejcie – powiedział Laklak – podczas ostatniej próby biczowania dziewięciu strażników utraciło zmysły, mimo rozłoszczacza innych środków, które miały nas przed tym chronić. Nie mogę brać odpowiedzialności...

– Jeżeli nie posłuchasz mnie natychmiast to będziesz do końca życia odpowiedzialny za strażnicę przeciwpowodziową na najbliższej pustyni – powiedział McKie. – Dopilnuję, żeby cię

zesłano na nudą, po oficjalnym procesie...

– Nie przestraszę się pańskich pogroźek – powiedział Laklak – ale jeżeli pan tego zarządu, połączę się z samym Bildooneem.

– To się połącz! Ale szybko! Mamy na zewnątrz Taprisjota.

– Bardzo dobrze – Laklak zasalutował i wyczołgał się przez otwarty luk. Jego podwładni nadal trzymali straż wewnątrz Arbuza, od czasu do czasu rzucając na McKie'ego spojrzenia pełne współczucia.

Muszą być bardzo odważni, pomyślał McKie, by pełnić służbę w obliczu tak absolutnie nie dającego się przewidzieć niebezpieczeństwa. Nawet sprzeciw Laklaka jest wyrazem odwagi. Pewno takie miał rozkazy i nie złamał ich pod presją.

Wściekły na przedłużające się opóźnienie, McKie czekał.

Przyszła mu do głowy dziwna myśl: jeżeli wszyscy rozumni umrą, to wszystkie stacje energetyczne na całym świecie z czasem się zatrzymają. Ta myśl, to rozważanie całkowitego końca rzeczy mechanicznych i przemysłu przepełniła go bardzo dziwnym uczuciem.

Świat przejmą rzeczy zielone, rosnące – drzewa rozświetlone złotymi promieniami słońca. A głucho dzwęki milionów urządzeń mechanicznych, przedmiotów z metalu, plastyku i szkła z czasem zanikną zupełnie – zwłaszcza, że nie będzie uszu, które mogłyby je usłyszeć.

Niekarmione krześlaki też wszystkie pozdychają. Zatrzymają się, a z czasem zupełnie rozpadną, fabryki syntetycznego białka.

Pomyślał o rozkładzie własnego ciała.

O rozkładzie całego świata, pełnego ciał.

W porównaniu do wieku świata potrwa to mgnienie oka.

Maleńkie drgnięcie, rozwiane wiatrem.

– Panie agencie – w otworze luku pojawiła się twarz Laklaka – mam rozkazy pozostać na zewnątrz Arbuza, uważać na pana przez otwarty luk i podjąć działania na wypadek jakichkolwiek kłopotów.

– Jeżeli to wszystko, co mogę dostać, to będzie mi musiało wystarczyć – mruknął McKie. – Na stanowiska!

Po niecałej minucie McKie został -sam na sam z Kalebanem. Uporczywie utrzymywało się w nim uczucie, że każdy centymetr kwadratowy tego pomieszczenia znajduje się za jego plecami. Wzdłuż kręgosłupa przechodziły mu falami ciarki. Nabierał coraz większego przekonania, że ryzykuje zbyt dużo.

Ale w końcu jesteśmy w desperackiej sytuacji, pomyślał.

– Gdzie jest Abnethe? – spytał. – Wydawało mi się, że chce ze mną rozmawiać.

Na lewo od łyżki Kalebana gwałtownie otwarł się skokwłaz. Pojawiły się w nim głowa i ramiona Abnethe, podświetlone czerwienią – światła zwolnionego przejściem przez G'oko. Było jednak wystarczająco jasno, by McKie zauważył drobne zmiany w jej wyglądzie. Z przyjemnością skonstatował, że wydawała się być bardzo wymęczona. Kosmyki włosów wymykały się z wykwintnej fryzury. Oczy miała zauważalnie przekrwione. Czoło przecinały jej zmarszczki.

Potrzebni jej byli Kosmetykerzy.

– Gotowa jesteś poddać się? – spytał McKie.

– Co za idiotyczne pytanie – odpowiedziała. – Jesteś tu sam, całkowicie na mojej łasce i niełasce.

– Nie taki znów całkiem sam – odpowiedział McKie. – Mam tu... – przerwał, zauważając chytry uśmiezek na jej twarzy.



– Zwróć łaskawie uwagę, że Frania zamknęła luk – powiedziała Abnethe.

McKie spojrział przez ułamek sekundy w kierunku luku. Był zamknięty. Czyżby zdrada?

– Franiu! – zawołał. – Zapewniłaś mnie...

– Żadnego ataku – powiedziała Kaleban. – Rozmowa prywatna.

McKie wyobraził sobie panikę wśród strażników na zewnątrz. Nie mają szans na wyłamanie drzwi. Postanowił nie protestować, przełknął ślinę. Pomieszczenie było pogrążone w idealnej ciszy i bezruchu.

– A więc rozmowa prywatna – powiedział.

– To już lepiej, McKie – powiedziała Abnethe. – Musimy dojść do jakiegoś porozumienia.

Zaczynasz nam już grać na nerwach.

– Chyba nieco więcej niż tylko grać na nerwach?

– Może.

– Twój Palenki, ten który chciał mnie porąbać, też mi zaczynał grać na nerwach. Może nawet nieco więcej niż tylko grać na nerwach. Przypominam sobie teraz, że dość się przez niego wycierpiałem.

Abnethe wstrząsnęła dreszcz.

– Ach, przypomniało mi się jeszcze coś – powiedział McKie. – Wiemy gdzie jesteś.

– Kłamiesz!

– Nie całkiem. Widzisz, nie jesteś tam, gdzie myślisz, że jesteś. Myślisz, że cofnęłaś się do przeszłości. To nieprawda.

– Kłamiesz! Wiem to!

– Doszliśmy już do tego, co jest grane – powiedział McKie. – Planeta, na której się znajdujesz została zbudowana na podstawie twoich łączników – wspomnień, snów. marzeń... może nawet rzeczy, które szczegółowo opisałaś.

– Co za nonsens! – w głosie Abnethe pojawiła się nuta niepokoju.

– Zażądałaś miejsca, które byłoby bezpieczne od nadchodzącej apokalipsy – powiedział McKie.

– Oczywiście Frania ostrzegła cię o ostatecznej nieciągłości. Prawdopodobnie pokazała ci, co potrafi, pokazała kilka miejsc dostępnych tobie i twojej bandzie, stworzonych na podstawie waszych łączników. Wtedy wpadłaś na ten swój genialny pomysł.

– To tylko twoje domysły – powiedziała Abnethe. Na jej twarzy malował się jednak niepokój.

– Przydałaby ci się mała wizytka u Kosmetykerów – uśmiechnął się McKie. – Nie wyglądasz najświeżej, Mliss. Abnethe popatrzyła na niego spode łba.

– Czyżby odmówili pracować dla ciebie więcej? – spytał McKie z przekąsem.

– Jeszcze zmienią zdanie! – warknęła.

– Kiedy?

– Kiedy przekonają się, że nie mają wyboru!

– Może. – Tracisz czas, McKie.

– Prawda. Więc co chciałaś mi powiedzieć?

– Musimy dojść do porozumienia, McKie. Ty i ja, tylko nas dwoje.

– Wyjdiesz za mnie za mąż, o to chodzi?

– To twoja cena? – była najwyraźniej zaskoczona.

– Nie jestem pewny – powiedział McKie. – A co na to Cheo?

– Cheo zaczyna mnie nudzić.

– I to mnie właśnie martwi. Zastanawiam się, kiedy byś się mną znudziła.

– Widzę, że nie jesteś szczery – powiedziała – grasz na zwłokę. Wydaje mi się, że uda nam się

jednak dogadać.

– Co ci daje powody tak uważać?

– Zasugerowała mi to Frania.

– Zasugerowała ci Frania? – mruknął McKie, spoglądając w kierunku anty 'obecności Kalebana.

Frانيا, pomyślał, określa swój własny rodzaj rzeczywistości na podstawie tego co widzi z tych swoich tajemniczych łączników: specyficzny rodzaj postrzegania, dostosowany do specyficznego sposobu poboru energii.

Pot ściekał mu po czole. Zakołysał się do przodu, zdając sobie sprawę, że stoi u progu oświecenia.

– Franiu – spytał – czy dalej mnie kochasz?

– Cooo? – zaskoczona Abnethe zrobiła wielkie oczy.

– Świadomość sympatii – powiedziała Kaleban. – Miłość równa się tej zgodności, którą dla ciebie posiadam, McKie.

– I jak ci się podoba moja jednotorowa egzystencja? – spytał McKie.

– Intensywna sympatia – powiedziała Kaleban. – Produkt szczerości prób porozumienia się. Ja-moja-osoba Kaleban kocham twoją ludzko-osobę, McKie.

Abnethe wpatrywała się z wściekłością w McKie'ego.

– Przybyłam tu oczekując dyskusji nad naszym wspólnym problemem -r- zasyczała. – Nie spodziewałam się, że będę musiała czekać, kiedy ty i ten półgłówek Kaleban będziecie sobie gruchali jakieś bzdury!

– Własna osoba nie posiada pół głowy – powiedziała

Kaleban.

– McKie – zaczęła Abnethe o pół tonu niżej – przybyłam tu zaproponować ci coś korzystnego dla nas obojga. Przyłącz się do mnie. Obojętne jaką dla siebie rolę wybierzesz, twoja zapłata będzie sowitsza niż mógłbyś sobie...

– Nawet nie wiesz co się z tobą dzieje – powiedział McKie. – To w tym wszystkim jest najdziwniejsze.

– Niech cię szlag, McKie! Mogłabym cię zrobić nawet cesarzem!

– Nie. wiesz, gdzie Frania cię ukryła? – spytał McKie.

– Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że to bezpieczne...

– Mliss! – głos pełen wściekłości doszedł gdzieś zza pleców Abnethe, ale osoba pozostawała dla niego niewidoczna.

– To ty, Cheo? – zawołał McKie. – Czy wiesz, gdzie jesteś. Cheo? Pan Spechi musi podejrzewać prawdę.

W polu widzenia McKie pojawiła się ręka wyszarpująca Abnethe z otworu skokwłazu. Jej miejsce zajął Pan Spechi z utrwaloną fazą osobowości.

– Jesteś za sprytny dla swojego własnego dobra, McKie

– powiedział Cheo.

– Jak śmiesz, Cheo! – krzyknęła Abnethe.

Cheo zawirował wokół własnej osi, zamachnął się. McKie'ego doszedł odgłos uderzenia ciała o ciało, przytłumiony wrzask, potem jeszcze jedno uderzenie. Cheo pochylił się nad czymś, zniknął McKie'emu z pola widzenia w otworze skokwłazu i po chwili pojawił się znowu.

– Byłeś już tam kiedyś, nieprawda, Cheo? – zawołał McKie. – Nie byłeś już kiedyś miażdżącą, bezmyślną samicą w gnieździe?

– Dużo za sprytny! – warknął Cheo.

– Będziesz ją musiał zabić, wiesz o tym, prawda? – powiedział McKie. – Jeżeli tego nie zrobisz, to wszystko będzie na próżno. Ona cię pochłonie. Ona przejmie twoją osobowość. Ona stanie się tobą.

– Nie słyszałem, żeby to się działo wśród ludzi – powiedział Cheo.

– Ależ dzieje się, dzieje – odparł McKie. – To jej świat, nie mam racji, Cheo?

– Jej świat – zgodził się Cheo – ale w jednej rzeczy się mylisz, McKie. Ja rządę Mliss. A więc to mój świat, nie? I jeszcze jedno: tobą też mogę rządzić!

Tuba wirtunelu skokwłazu nagle skurczyła się, sięgnęła po McKie'ego.

McKie wykonał unik, krzycząc:

– Franiu! Obiecałaś!

– Nowe łączniki – odparła Kaleban.

Gdy tuż obok niego pokazał się otwór tuby wirtunelu, McKie wykonał pełny rzut na twarz przez pół pomieszczenia. Wirtunel pokazywał się i na przemian nikł, jak żarłoczna paszcza, z każdym atakiem coraz bliższa do pożarcia McKie'ego. McKie wykręcał się, robił uniki, skakał i rzucał na ziemię ciężko dysząc w fioletowym półmroku wnętrza Arbuza, w końcu wtoczył się pod wielką łyżkę, łypnął na prawo i lewo. Cały drżał. Nie zdawał sobie sprawy, że skok-włazem można manewrować tak szybko.

– Franiu – wydyszał – zamknij G'oko, zamknij je, albo szybko coś zrób. Przyrzekłaś – żadnych ataków!

Cisza.

McKie spojrzał na tubę wirtunelu, unoszącą się tuż obok niecki łyżki.

To był głos Chea.

– Zaraz się z tobą będą próbowali skontaktować przez Taprisjotów – zawołał Cheo. – Kiedy to zrobią, będziesz mój!

McKie powstrzymał następny atak drgawek.

Na pewno do niego zadzwonią. Bildoon pewno już wezwał jakiegoś Taprisjota. Z pewnością martwią się o niego – teraz, kiedy luk do Arbuza jest zamknięty. A w chichotransie będzie całkiem bezbronny.

– Franiu! – zasyczał. – Zamknij to cholerne G'oko!

Tuba wirtunelu rozbłysnęła nagłym światłem, przemknęła ponad łyżką, aby zająć go z drugiej strony. Klnąc na głos, McKie zwinął się w kłębek, zrobił przerzut w tył, wylądował na kolanach, podniósł się na nogi i szczupakiem przeleciał nad rączką łyżki, pod którą natychmiast dał nurka.

Polująca na niego tuba wirtunelu odsunęła się na bok.

Doszedł go niski pomruk, jak grzmot. Spojrzał w prawo, w lewo, za plecy. Po śmiercionośnym otworze nie było śladu.

Usłyszał nagły, ostry trzask, dochodzący sponad niecki łyżki. Obsypał go migoczący deszcz zielonych iskier. Prześlizgnął się w bok, wy dostał z kieszeni marynarki miotacz. Z otworu skokwłazu wydobywało się uzbrojone w bicz ramię Palenki. Podnosiło się właśnie w następnym ciosie przeciwko Kalebanowi.

McKie skierował miotacz w stronę opadającego ramienia i wypalił. Obcięte ramię otarło się o krawędź łyżki, obsypując McKie'ego jeszcze jednym deszczem iskier.

Otwór skokwłazu zniknął w mgnieniu oka.

McKie pozostał w kuckach, gotowy do skoku, przed oczyma tańczył mu nadal obraz opadających w ciemności zielonych iskier. Wreszcie – wreszcie przypomniało mu się to, co usiłował sobie przypomnieć, od kiedy zobaczył doświadczenie Tuluka z kawałkiem stali. – G'oko usunięte.

Głos Frani uderzył go w czoło, wydawało mu się, że przesiąka stamtąd w głąb, do ośrodków mózgowych. Do wszystkich piekielnych diabłów! Kaleban wydawał się taki słaby.

McKie powoli podniósł się na nogi. Ramię Palenki, razem z biczem, pozostawało tam, gdzie upadło na podłogę, ale na razie je zignorował.

Deszcz iskier!

McKie poczuł oblewające go fale dziwnych emocji. Chwilami czuł się szczęśliwie wściekły, chwilami przyjemnie nasycony frustracją, słowa, zdania kłębiły mu się w głowie, jak diabelskie koła.

Na wszystkich bękartów wszechświata!

Deszcz iskier! Deszcz iskier!

Wiedział, że musi się teraz trzymać tej myśli i walczyć o zachowanie przytomności umysłu w zalewającej go od Frani burzy emocji.

Deszcz... Deszcz...

Czy Frania już umiera?

– Franiu?

Kaleban pozostał bez słowa, chociaż nawał emanujących od niego emocji ustał.

McKie zdawał sobie sprawę, że musi coś zapamiętać. Coś, co miało do czynienia z Tulukiem. Musi coś powiedzieć Tulukowi.

Deszcz iskier!

I wtedy przypomniało mu się: wzór, który identyfikuje twórcą! Deszcz iskier!

Czuł się jak po wyczerpującym biegu, nerwy miał zszarpane i posiniaczone, umysł jak galaretę. Drżały w nim myśli. Wydawało mu się, że mózg mu się roztopi i wypłynie strumieniem kolorowego płynu. Wytryśnie z niego... deszczem...

Deszczem... deszczem... ISKIER!

– Franiu! – zawołał, tym razem głośniej.

Szczególny rodzaj ciszy odbił się we wnętrzu Arbuza. Była to cisza wyzbyta z uczuć, jakby coś zostało zamknięte, usunięte. McKie'emu ciarki przeszły po skórze.

– Powiedz coś, Franiu – powiedział jeszcze raz.

– G'oko powoduje swoją nieobecność – powiedziała Kaleban.

McKie'ego oblało poczucie winy, głębokie, pochłaniające go całkowicie poczucie winy. Było wokół niego, w nim, w każdej komórce ciała. Paskudne, grzeszne, wstrętne, brudne...

Potrząsnął głową. Czemu miałby czuć się winny?

Ach. Zrozumiał co się stało. To uczucie pochodziło z zewnątrz, od Frani!

– Franiu – powiedział – rozumiem, że nie byłeś w stanie zapobiec temu atakowi. Za nic cię nie obwiniam. Doskonale cię rozumiem.

– Niespodziewane łączniki – powiedziała Kaleban. – Przerozumiesz.

– Rozumiem.

– Przerozumiesz? Określenie intensywności wiedzy? Zdawania sobie sprawy!

– Tak. Zdawania sobie sprawy.

McKie znowu był spokojny, ale był to spokój wywołany utratą czegoś.

Przypomniał sobie znowu, że ma coś niezwykle ważnego dla Tuluka. Deszcz iskier. Ale najpierw musi się upewnić, że ten szalony Pan Spechi zniecka nie wróci.

– Franiu – powiedział – czy możesz zapobiec używaniu przez nich G'oka?

– Ograniczanie, nie zapobieżenie – odpowiedziała Kaleban.

– Czy to znaczy, że możesz ich zwolnić?

– Wytłumacz zwolnić.

– Och nie – jęknął McKie. Począł zastanawiać się, jak powiedzieć to samo w sposób kalebański. Jak Frania by to powiedziała?

– Czy nastąpi... – pokręcił głową. – Następny atak będzie na krótkim, czy długim łączniku?

– Seria ataków tutaj się kończy – powiedziała Kaleban. – Pytasz o trwanie w twoim rozumieniu czasu. Przerozumiem to. Długa linia przez węzły ataku, w twoim rozumieniu czasu, równa się z bardziej intensywnym trwaniem.

– Intensywnie trwanie – mruknął do siebie McKie. – Tak.

Deszcz iskier, przypomniał sobie. Deszcz iskier.

– Masz na myśli użycie G'oka przez Chea – powiedziała Kaleban. – Rozmieszczenie w tym miejscu się wydłuża. Cheo posuwa się dalej wzdłuż twojego toru. Przerozumiem intensywnie McKie'ego. Tak?

Dalej wzdłuż mojego toru, pomyślał McKie. Aż się zakrztusił, gdy doznał nagłego oświecenia. Co to Frania powiedziała wcześniej? „Do widzenia odprowadzę cię do drzwi. Ja jestem G'okiem!”

Starał się oddychać tak delikatnie, by nawet najmniejszy wstrząs nie spowodował utraty tego, co rozumiał teraz z taką czystością.

Przerozumiał! Drzwi. Właz!

Pomyślał o wymaganej energii. Niesamowicie olbrzymia! „Ja jestem C'okiem!” I „Własna energia – będąc masą gwiazdą!” Aby robić to, co robili w tym wymiarze, Kalebanie potrzebowali energii masy gwiazdnej. Ona wdychała bicz! Sama powiedziała, że szukają tutaj energii. Kalebanie żywią się w tym wymiarze. Pewnie też i w innych.

McKie pomyślał, że musiała być fantastycznie wprost inteligentna, by nawet próbować się z nim porozumieć. To tak, jakby on zanurzył usta w wodzie i próbował prowadzić rozmowę z jednym z żyjących tam mikroorganizmów!

Powinienem był zrozumieć, pomyślał, kiedy Tuluk powiedział coś o tym, że zdał sobie sprawę gdzie tyjemy.

– Franiu, musimy wrócić do samego początku – powiedział.

– Każde istnienie ma wiele początków – odpowiedziała Kaleban.

McKie westchnął.

W połowie tego westchnienia nadeszła rozmowa. Mówił Bildoona.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że trochę z tym poczekałeś' – powiedział McKie, przerywając pełne troski pytania Bildoona. – Musisz zaraz...

– McKie, co się tam dzieje? – nie dał mu dokończyć Bildoona. – Wszędzie wokół ciebie pełno nieżywych strażników, szaleńców, zaczynają się rozruchy...

– Albo jestem jakoś na to uodporniony, albo Frania mnie chroni – powiedział McKie. – A teraz słuchaj mnie. Nie zostało nam już wiele czasu. Złap Tuluka. On ma gdzieś taki interes do określania wzorów powstających w naprężeniach obecnych przy tworzeniu rzeczy. Niech to tu przyniesie – tak, prosto tu, do Arbuza. I pospieszcie się.

*Wzięte jako odosobniona para, Rząd i Sprawiedliwość wykluczają . się nawzajem. Aby jakiegokolwiek społeczeństwo mogło posiadać zarówno rządy, jak i sprawiedliwość, musi istnieć jeszcze trzecia siła. To dlatego Biuro Sabotażu czasem jest zwane „ Trzecią Siłą”*

**Z podręcznika szkolnego.**

W przytłumionej ciszy wnętrza Arbuza McKie, opierając się o ścianę, sącył zimną wodę z

termosu. Obserwował Tuluka ustawiającego swoje instrumenty.

– Skąd mamy pewność, że nie zostaniemy zaatakowani w czasie pracy? – spytał Tuluk, wtaczając świecą pętlę na niskim postumencie w bezpośrednie sąsiedztwo antyobecności Kalebana. – Trzeba było pozwolić Bildoonowi przysłać z nami kilku strażników.

– Takich jak ci z pianą na ustach przed wejściem?

– Sprowadzili już świeże posiłki!

Tuluk coś dalej majstrował. Nagle świeca obręcz podwoiła średnicę.

– Tylko by nam przeszkadzali – powiedział McKie. – Poza tym Frania twierdzi, że rozmieszczenie nie jest teraz odpowiednie dla Abnethe. – Pociągnął łyk wody. W pomieszczeniu było gorąco jak w łaźni, ale nadal bardzo sucho.

– Rozmieszczenie – powtórzył Tuluk. – Czy to dlatego Abnethe nie może cię załatwić? – Z jednego z pudeł z instrumentami wyciągnął czarną pałeczkę. Miała około metra długości. Obrócił pokręteł w ręczce pałeczki i świeca obręcz zmaląła. Niski postument, na którym stała począł wibrować coraz głośniejszym dźwiękiem – przyprowadzającym o swędzenie skóry środkowym C.

– Nie mogą się do mnie dobrać, bo mam kochającego obrońcę – powiedział McKie. – Nie każdy może się pochwalić, że kocha go Kaleban.

– Co ty tam takiego pijesz? – spytał Tuluk. – Może to od tego tak ci się rozum kurczy.

– Nie bądź znowu aż taki śmieszny – odparł McKie. – Jak jeszcze długo masz zamiar grzebać sobie w tych instrumentach?

– W niczym sobie nie grzebię. Nie wiesz, że to nie jest sprzęt przenośny? Trzeba go dostroić.

– To dostrajaj.

– Ta straszna temperatura komplikuje mi odczyty – narzekał Tuluk. – Czemu nie możemy otworzyć luku na zewnątrz?

– Z tego samego powodu, dla którego nie wpuściłem tu strażników. Wolę podejmować ryzyko bez obawy, że tłum szaleńców będzie wchodził mi w paradę.

– Ale musi tu być tak gorąco?

– Nie się na to nie poradzi – odpowiedział McKie. – Frania i ja rozmawialiśmy. Staramy się znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Rozmawialiście?

– Grzali, nie lali wody.

– Acha, to miał być kawał.

– Każdemu może się zdarzyć – powiedział McKie. – Ciekawy jestem, czy to, co my widzimy jako gwiazdę, to cały Kaleban, czy tylko jakaś część. Wydaje mi się, że jednak raczej część – napił się łąpczywie wody, odkrywając, że wszystkie kostki lodu już się roztopiły. Tuluk miał rację. Było A cholernie gorąco.

– To dość dziwna teoria – powiedział Tuluk. Wyciszył już buczenie swoich instrumentów. W panującej wokół ciszy głośno rozbrzmiewało jedynie miarodajne tykanie rozchodzące się z jednego z przyrządów. Nie był to spokojny dźwięk. Brzmiał jak zapalnik bomby zegarowej. Odliczał sekundy w wyścigu na śmierć i życie.

McKie'emu zdawało się, że sekundy zbierają się jak nabrzmiewające bańki – rosną, rosna, pęcznią i... rozpryskują się w nicość! Każde tyknięcie było jak ukłucie czekającej śmierci. Tuluk ze swoją dziwną pałeczką był jak czarnoksiężnik, ale pracował odwrotnie niż to mieli czynić czarnoksiężnicy. Zamieniał sekundy złota w śmiercionośny ołów. Jego sylwetka też nie pasowała do obrazków z bajek. Nie miał bioder ani ud. Rurowaty kształt Wreava irytował McKie'ego. Wreawowie ruszają się tak powoli!

To cholerne tykanie!

Arbuz Kalebana może stać się ostatnim domem we wszechświecie, ostatnim schronieniem inteligentnego życia. A nawet nie ma w nim łóżka, na którym można by godnie umrzeć.

Oczywiście Wreawowie nie śpią w łóżkach. Odpoczywają oparci na specjalnych podpórkach, odchyleni pod kątem do tyłu, a chowa się ich na stojąco.

Tuluk ma szarą skórę.

Ołów.

Jeżeli wszystko się teraz skończy – zastanawiał się McKie – ciekawe kto umrze ostatni? Czyj oddech będzie ostatnim oddechem na świecie?

McKie oddychał echem wszystkich tych lęków. Zbyt wiele zależy od każdej odliczanej tu sekundy.

Koniec z muzyką, koniec ze śmiechem, koniec z beztruskimi zabawami dzieci...

– No i proszę – powiedział Tuluk.

– Jesteś gotowy? – spytał McKie.

– Będę gotowy za chwilę. Czemu ten Kalaban nic nie mówi?

– Kazałem jej oszczędzać siły.

– A co ona myśli o twojej teorii?

– Twierdzi, że osiągnąłem prawdę. Tuluk wyjął z torby niewielką spiralę, koniec jej wetknął do otworu w świecącym pierścieniu.

– Jazda, jazda! – drażnił go McKie.

– Żadne przynaglenia nie zmniejszą czasu potrzebnego do ustawienia instrumentów – powiedział Tuluk. – Dla przykładu powiem ci, że jestem głodny. Przyszedłem tu bez śniadania. Mimo tego ani się specjalnie nie spieszę, co tylko zwiększyłoby prawdopodobieństwo popełnienia przeze mnie jakiejś pomyłki, ani nie narzekam.

– Nie narzekasz? – spytał McKie. – Chcesz trochę wody?

– Piłem dwa dni temu – odpowiedział Tuluk.

– A więc nie chcemy namawiać cię do picia zbyt często.

– Zupełnie nie rozumiem, jaki wzór ty chcesz zidentyfikować – powiedział Tuluk. – Nie posiadamy danych o rzemieślnikach, które pozwoliłyby nam porównać...

– To jest coś stworzone przez Boga – powiedział McKie.

– Nie powinieneś żartować z Boga – odpowiedział Tuluk.

– Jesteś wierzący, czy po prostu tak na wszelki wypadek?

– Strofowałem cię za czyn, który mógłby urazić wielu rozumnych – odparł Tuluk. – Już i tak dość trudno o zrozumienie się między różnymi rasami, nie warto jeszcze do tego dodawać problemów związanych z religijnością.

– No tak, szpiegowaliśmy Boga – czy kogo tam – już od dawna – powiedział McKie. – To dlatego musimy mieć teraz jeszcze i ten odczyt spektroskopowy. Ile jeszcze będziesz się z tym grzebał?

– Cierpliwości, cierpliwości – mruknął Tuluk. Uruchomił pałeczkę, pomachał nią wokół świecącego pierścienia. Urządzenie zaczęło raz jeszcze brzęczeć, tym razem na inną nutę, nieco wyższą. Grało to McKie'emu na nerwach. Swędziały go zęby, a przez skórę na ramionach przechodziły dreszcze. Swędziało go też gdzieś w środku, gdzie się nie mógł podrapać.

– A niech szlag trafi to gorąco! – zaklął Tuluk. – Nie możesz poprosić Kalebana o otwarcie luku, choćby na chwilę?

– Powiedziałem ci już, czemu to niemożliwe.

– Nie ułatwia mi to specjalnie zadania!

– Pamiętasz – powiedział McKie – kiedy połączyłeś się ze mną i uratowałeś mi skórę przed tym Palenką, który mnie chciał zarębać siekierą? Pamiętasz? Po tej rozmowie powiedziałaś, że splątałeś się z Franią. Powiedziałaś wtedy też coś bardzo dziwnego.

– Tak? – Tuluk wysunął niewielki chwytник zuchwowy i bardzo delikatnie ustawiał jakieś pokrętło na obudowie aparatury pod rozświetloną obręczą.

– Powiedziałaś coś o tym, że nie zdawałaś sobie sprawy, gdzie żyjemy. Pamiętasz?

– Nigdy tego nie zapomnę – Tuluk pochylił się nad świetlistą obręczą i spoglądał przez jej otwór na pałeczkę, którą przesuwiał tam i z powrotem po drugiej stronie.

– To gdzie to jest? – spytał McKie.

– Gdzie co jest?

– No – gdzie my żyjemy?

– Ach to! Brak mi słów, żeby ci to wytłumaczyć.

– Spróbuj.

Tuluk wyprostował się, spojrzał McKie'emu prosto w oczy.

– Wydawało mi się, jakbym był małym okruchem w olbrzymim oceanie... i odczuwał ciepło przyjaźni jakiegoś dobrego olbrzyma.

– Olbrzyma? Czyli Kalebana?

– Oczywiście. Nie będę odpowiedzialny za niedokładności w odczytach na tym sprzęcie – powiedział Tuluk – ale chyba już mi się tego nie uda wyregulować dokładniej. Gdybym miał do dyspozycji kilka dni, trochę odpowiednich ekranów – na przykład ta ściana za tobą wydziela jakieś dziwne promieniowanie, które wszystko zakłóca – no i jeszcze kilka tłumików odbić, może, mole udałoby mi się osiągnąć jaką taką dokładność. Ale teraz? Za nic nie odpowiadam.

– Ale uda ci się dokonać odczytu spektroskopowego?

– Oczywiście.

– To może jeszcze zdążymy.

– Na co?

– Na odpowiednie rozmieszczenie.

– Acha, chodzi ci o biczowanie i powstający w jego wyniku deszcz iskier?

– O to właśnie mi chodzi.

– A nie mógłbyś... uderzyć jej sam, delikatnie?

– Frania twierdzi, że to się nie uda. To musi być uczynione z zamiarem skrzywdzenia, zamiarem spowodowania intensywności antymilości... inaczej nic z tego.

– Acha. Dziwne. Wiesz, McKie, może jednak napiję się trochę tej twojej wody. To ta temperatura.

*Każda rozmowa jest jak jedyny w swoim rodzaju koncert jazzom: Niektóre bardziej cieszą uszy nit inne, ale nie jest to koniecznie miarą ich znaczenia.*

**Komentarz Laklaków.**

Usłyszeli młaśnięcie, jakby wyciągnięto korek z butelki. Ciśnienie w Arbusie lekko opadło i McKie przez ułamek sekundy wpadł w panikę, że Abnethe otworzyła skokwłaz do próżni, że za chwilę stracą całe powietrze i uduszą się. Fizycy twierdzili, że to niemożliwe, że przepływ gazu, zablokowany częściowo barierą samego skokwłazu zatka jego otwór przez autorozpad kolizyjny.



McKie podejrzewał, że udają, że rozumieją zjawisko G'oka.

Z początku nie zauważył nawet tuby wirtunelu skokwłazu. Otworzyła się w poziomie, bezpośrednio nad niecką łyżki Kalebana.

Przez otwór przemknęło się ramię Palenki z biczem, dostarczając z wielkim zamachem ciosu w okolice zajmowane przez Kalebana. Zielone iskry rozbłysnęły w powietrzu.

Tuluk, pochylony nad swoimi przyrządami, zamruczał coś w podnieceniu.

Ramię Palenki cofnęło się, zawahało.

– Jeszcze! Jeszcze! – dobiegł ich przez otwór skokwłazu głos Chea.

Palenki zamachnął się ponownie i ponownie.

McKie podniósł miotacz, dzieląc uwagę pomiędzy Tuluka i opadający raz po raz bicz. Czy Tuluk dokonał już pomiaru? Nie wiedział, ile Kaleban jeszcze zdoła wytrzymać.

Po każdym uderzeniu bicza, w powietrzu buchały kaskady zielonych iskier.

– Tuluk, masz już wystarczająco danych? – zawołał. Ramię, razem z biczem, wycofało się do wirtunelu. Zapadła dziwna cisza.

– Tuluk? – syknął McKie.

– Tak, wydaje mi się, że mam wszystko, co mi było potrzebne – powiedział Tuluk. – Pomiar się udał. Ale nie gwarantuję żadnych porównań ani identyfikacji.

McKie uświadomił sobie, że cisza wcale nie była absolutna. Pomruk instrumentów Tuluka był tłem dla dźwięku wielu głosów dochodzących przez otwór skokwłazu.

– Abnethe? – krzyknął McKie.

Otwór skokwłazu przechylił się do przodu, odsłaniając twarz Abnethe, widoczną z profilu. Od skroni przez cały policzek przebiegał jej fioletowy siniak. Gardło obiegała jej srebrzysta pętla, trzymana w rękę Pan Spechi.

McKie widział, że Abnethe stara się powstrzymać od wybuchu wściekłości, grożącego jej rozsądkiem. Jej twarz stawała się na przemian to blada jak papier, to krwista jak burak. Zaciśnięte wargi stały się cieniutkimi kreseczkami. Chęć gwałtownego wybuchu emanowała ze wszystkich porów jej skóry.

– Widzisz do czego doprowadziłeś? – krzyknęła na widok McKie'ego.

McKie, zafascynowany tym co widział, zrobił kilka kroków w kierunku otworu skokwłazu.

– Co ja zrobiłem? – spytał. – To wygląda bardziej na robotę Chea.

– To wszystko twoja wina!

– Tak? Sam nie wiedziałem, co potrafię.

– Staralam się być rozsądna – wykrztusiła. – Staralam ci się pomóc, uratować cię. Ale nie! Traktujesz mnie jak przestępcę. Oto jakie od ciebie dostałam podziękowanie – wykonała gest w kierunku otaczającej jej gardło pętli. – CO TAKIEGO ZROBIŁAM, ŻEBY NA TO ZASŁUŻYĆ?

– Cheo! – zawołał McKie. – Co ona zrobiła?

– Powiedz mu, Mliss – głos Chea dobiegał skądś spoza obrębu otworu skokwłazu.

Tuluk, próbujący do tej pory ignorować tę wymianę zdań, zwrócił się teraz do McKie'ego.

– Fantastyczne – powiedział – naprawdę fantastyczne.

– Powiedz mu! – ryknął Cheo, gdy Abnethe nadal się nie odzywała.

Abnethe i Tuluk zaczęli mówić równocześnie. McKie odebrał to jak zupełnie poplątaną mieszankę różnych hałasów: „Przeszkopaliwodziłeśwodoruwnormiędzygwiemalnegoz...”

– Cicho! – krzyknął McKie.

Abnethe odskoczyła do tyłu, milknąc jak nożem uciął, ale Tuluk spokojnie dokończył zdanie:

– ... i dlatego nie ma wątpliwości, co to spektrum pochłania. To już jest jakiś początek! Nic

innego nie dałoby nam takiego samego obrazu.

– Ale z której gwiazdy? – spytał McKie.

– Aaaa, oto jest pytanie.

Cheo odepchnął Abnethe na bok i zajął jej miejsce w otworze skokwłazu. Przyjrzał się Tulukowi, rozłożonym instrumentom.

– O co chodzi, McKie? – powiedział. – Jeszcze jeden sposób na przeszkadzanie naszym Palenom? Czy też wróciłeś na następną rundę zabawy w pętelkę wokół szyi?

– Odkryliśmy coś, co cię może zainteresować – powiedział McKie.

– A cóż wy moglibyście odkryć takiego, co by mnie zainteresowało?

– Powiedz mu, Tuluk – powiedział McKie.

– Frania istnieje w jakiś sposób niezwykle blisko związany z masą gwiazdną – powiedział Tuluk. – Może sama nawet być masą gwiazdną, w każdym razie w naszym wymiarze.

– Nie wymiarze – wtrąciła się Kaleban. – Fali.

Jej słaby głos ledwie dotarł do McKie'ego, ale towarzyszyła mu fala nieszczęścia, która wstrząsnęła do głębi i nim, i Tulukiem.

– Co-co to-to by-by-by-ło – udało się wykrztusić Tulukowi.

– Spokojnie, spokojnie – uspokajał go McKie. Zauważył, że ta fala uczucia nie dosięgnęła Chea. A w każdym razie Pan Spechi niczego po sobie nie pokazał.

– Lada chwila zidentyfikujemy Franię – powiedział McKie.

– Identyfikacja, osobowość – głos Kalebana był teraz nieco silniejszy, ale mroził za to krew w żyłach całkowitym brakiem emocji. – Osobowość odnosi się do jedynej cechy własno-zrozumienia, w odniesieniu do samo-nazwania, samo-zamieszkania i samo-przejawów. Nie masz jeszcze tego kapa, McKie. Masz kapa? Ja-własna-osoba przerozumiem twój węzeł czasu.

– Masz kapa? – spytał Cheo, szarpiąc za pętlę zaciskającą szyję Abnethe.

– Zwykle, choć może trochę staroświeckie powiedzenie – powiedział McKie. – Sądzę, że Mliss świetnie kapuje.

– O czym wy mówicie? – Cheo nadal nic nie rozumiał. Tulukowi wydało się, że to pytanie zostało skierowane bezpośrednio do niego.

– W nieznany nam bliżej sposób – powiedział – Kalebany w naszym świecie objawiają się jako gwiazdy. Każda gwiazda ma pewien puls, pewien specyficzny rytm, niepowtarzalną charakterystykę. Zarejestrowaliśmy właśnie wzór tego rytmu u Frani. Sprawdzimy to z danymi w komputerach i spróbujemy zidentyfikować, jakiej gwiazdzie odpowiada.

– A co ta idiotyczna teoria ma do mnie? – spytał Cheo.

– Dużo – odparł McKie. – To już więcej niż teoria. Wydaje ci się, że znalazłeś sobie bezpieczną kryjówkę. Wystarczy wyeliminować Franię, to załatwi całą resztę świata i zostaniecie się na nim sami jedni, absolutnie niezagrożeni przez nikogo innego. Czy nie tak? Ale tu właśnie bardzo się mylisz.

– Kalebany nie kłamią! – warknął Cheo.

– Ale mogą popełniać pomyłki – powiedział McKie.

– Bogactwo pojedynczych torów – powiedziała Kaleban. McKie'im wstrząsnęła towarzysząca tym słowom fala lodu.

– Czy Abnethe i jej towarzysze pozostaną przy życiu, kiedy my doświadczymy ostatecznej nieciągłości? – spytał Kalebana.

– Inny rozkład z krótkim limitem przedłużonych łączników – odpowiedziała Kaleban.

Fala lodowatych uczuć dotarła McKie'emu do brzucha. Zauważył, że Tulukiem wstrząsają

dreszcze, że aż na przemian zamyka i otwiera pokrywę twarzową.

– To chyba zrozumiałeś? – McKie zapytał Chea. – Jakoś się zmienicie i długo nas nie przeżyjecie.

– Żadnych odgałęzień – odpowiedziała Kaleban.

– Żadnego potomstwa – przetłumaczył McKie. – To podstęp! – zawołał Cheo. – Ona kłamie!

– Kalebany nie kłamią – przypomniał mu McKie. – Ale mogą popełniać pomyłki!

– Odpowiednia pomyłka może kompletnie zrujnować wszystkie twoje plany – powiedział McKie.

– Zaryzykuję – odpowiedział Cheo. – A wy róbcie co... – otwór skokwłazu raptownie zniknął.

– Ustawienie G'oka utrudnione – powiedziała Kaleban. – Masz kapowane utrudnione? Odnośnik większego wymagania intensywności energii. Masz kapa?

– Rozumiem – odparł McKie. – Mam kapa – otarł rękawem pot z czoła.

Tuluk wystawił długi chwytник, machając nim w podnieceniu.

– Zimno – powiedział. – Zimno-zimno-zimno-zimno.

– Boję się, że ona już wisi na włosku – powiedział McKie.

Tulów Tuluka zafalował głębokim oddechem wziętym do zewnętrznych, potrójnych płuc.

– Weźmy wyniki i chodźmy do laboratorium – powiedział.

– Masa gwiazdna – mruknął McKie. – Coś takiego. A my widzimy tylko ten... ten kawałek niczego.

– Nie daję tu nic – powiedziała Kaleban. – Ja-własna-osoba daję tu coś i od-stwarzam cię. W obecności własnej osoby McKie doświadcza nieciągłości.

– Masz to kapowane, Tuluk? – spytał McKie.

– Kapowane? Ach, tak. Ona mówi, że gdyby się nam pokazała we własnej osobie, to by nas to zabiło.

– Też to tak zrozumiałem – powiedział McKie. – Wracajmy do laboratorium i zabierzmy się do porównywania wyników naszych pomiarów z danymi o gwiazdach.

– Marnujesz substancję bez celu – powiedziała Kaleban.

– Co znowu? – spytał McKie.

– Biczowanie nadchodzi i własna osoba osiąga nieciągłość – odpowiedziała Kaleban.

– Kiedy, Franiu? – McKie'im wstrząsnęły dreszcze.

– Czasowy odnośnik do pojedynczego toru trudny, McKie. Twoje określenie: wkrótce.

– Zaraz? – McKie'emu zapało oddech.

– Pytasz o intensywność zaraz?

– Prawdopodobnie – szepnął McKie.

– Prawdopodobieństwo – odpowiedziała Kaleban. – Wymagania energii własnej osoby przedłużają możliwość. Biczowanie nie... zaraz.

– Wkrótce, ale nie zaraz – powiedział Tuluk.

– Ona próbuje nam powiedzieć, że następne biczowanie będzie jej ostatnim – powiedział McKie. – Pospieszmy się. Franiu, czy masz dla nas skokwłaz?

– Skokwłaz jest. Idź. Niech cię prowadzi moja miłość.

Tylko jedno biczowanie, pomyślał McKie, pomagając Tulukowi zbierać instrumenty. Ale czemu biczowanie jest tak śmiertelne dla Kalebanów? Czemu właśnie biczowanie, kiedy wydają się być tak odporni na inne formy energii?

*Abstrakcje najczęściej stosuje się w celu ukrycia sprzeczności. Należy zaznaczyć, te*

*udowodniono już, iż proces tworzenia abstrakcji jest nieskończony.*

## **Spóźniona Kultura, Rękopis Jorj X. McKie**

W jakimś, jeszcze dokładnie nie sprecyzowanym momencie, ale napewno niedługo, Kaleban zostanie uderzony biczem i umrze. Na wpeł zwiariowana perspektywa stanie się apokaliptyczną rzeczywistością, kładąc koniec ich światu: światu istot rozumnych.

Ponury McKie czekał w prywatnym laboratorium Tuluka. Denerwował go zgromadzony wokół nich tłum strażników.

Niech cię prowadzi moja miłość.

Na ekranie komputera stojącym na stole Tuluka pojawiały się coraz to inne wykresy, maszyna popiskiwała wysokimi, elektronicznymi dźwiękami.

Co im teraz pomoże nawet odkrycie gwiazdy Frani? Cheo wygra. Nie ma go już jak powstrzymać.

– Czy myślisz – powiedział Tuluk – że Kalebany stworzyły nasz świat? Czy to ich „ogródek warzywny”? Przypominam sobie, że Frania powiedziała, że jej bezpośrednia obecność by nas odstworzyła. A

Stał ze schowanymi chwytnikami, oparty o stół, mówiąc przez ledwie uchyloną pokrywę twarzową.

– Czemu ten cholerny komputer tak się grzebie? – denerwował się McKie.

– Problem pulsu jest bardzo skomplikowany, McKie. Problem porównania danych wymagał napisania specjalnego programu. Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– Nie mam zdania! Mam nadzieję, że te półgłówki, które zostały w Arbuzie, będą wiedziały co robić.

– Zrobią dokładnie, co im kazałeś – obsztorcował go Tuluk. – Dziwny z ciebie facet, McKie. Podobno byłeś żonaty ponad pięćdziesiąt razy. Można o tym mówić? Nie obrazisz się?

– Nigdy nie udało mi się znaleźć kobiety, która by wytrzymała z Nadzwyczajnym Sabotażystą – mruknął McKie. – Niełatwo nas kochać.

– Ale Kaleban cię kocha.

– Ona nie rozumie, co to miłość! – pokręcił głową. – Powiniennem być zostać w Arbuzie.

– Nasi ludzie zasłonią Kalebana własnym ciałem – powiedział Tuluk. – Nie nazwałbyś tego miłością?

– To raczej chęć przetrwania.

– My, Wreawowie wierzymy, że każda miłość jest formą chęci przetrwania. Być może nasz Kaleban to rozumie.

– Też coś!

– Wiesz, McKie, ciebie prawdopodobnie nigdy nie interesowało przetrwanie i dlatego nie wiesz, co to naprawdę miłość.

– Słuchaj, Tuluk. Możesz przestać próbować mnie rozpraszać tą bezsensowną paplaniną?

– Cierpliwości, McKie. Cierpliwości.

– Słuchajcie go! Cierpliwości, mówi.

McKie ruszył przez laboratorium. Strażnicy schodzili mu z drogi bez słowa. Przeszedł do przeciwległej ściany, zawrócił. Zatrzymał się, przygarbiony, obok Tuluka.

– Czym się żywią gwiazdy? – zapytał.

– Gwiazdy? Gwiazdy się nie żywią.

– Ona coś tu wdycha. Ona się tu żywi – mruknął McKie. Skinął głową. – Wodór – powiedział.

– Że co?

– Wodór – powtórzył McKie. – Gdybyśmy otwarli wystarczająco duży skokwłaz... Gdzie jest Bildoon?

– Prowadzi rozmowy z przedstawicielami Konfederacji na temat naszych drastycznych pociągnięć w stosunku do Kosmetykerów. Prawdopodobnie są też przecieki o naszym układzie z Taprisjotami. Rząd nie lubi takich rzeczy, McKie. Bildoon walczy teraz o twoją i swoją skórę.

– Ale wodoru nie brakuje – powiedział McKie.

– Co ty ciągle z tym wodorem?

– Co jest najlepsze na grypę? Rosół, tak? Trzeba odpowiednio się odżywiać.

– Gadasz bzdury, McKie! Nie zapomniałeś zażyć ostatniej dawki rozłuszczacza?

– Nie zapomniałem! Komputer zagdakał i na ekranie zadrgała poczwórna linia błyszczących liter. McKie pochylił się nad nim.

– Thyone – powiedział Tuluk, czytając mu przez ramię.

– Gwiazda w Plejadach – dodał McKie.

– My ją nazywamy Drnlle – powiedział Tuluk. – Widzisz pismo Wreawów tam, w trzecim rzędzie? Drnlle.

– Pewny jesteś, że komputer ją dobrze zidentyfikował?

– Chyba żartujesz!

– Bildoon! – syknął McKie. – Musimy spróbować!

Obrócił się na pięcie i wybiegł z laboratorium roztrącając asystentów Tuluka w drugim pomieszczeniu. Tuluk rzucił się za nim, pociągając za sobą rozciągnięty szereg strażników.

– McKie! – wołał Tuluk. – Gdzie tak lecisz?

– Do Bildoona... a potem do Frani.

*Wartości samorządu na poziomie jednostki nie da się przecenić.*

**Instrukcja BuSabu**

Nic go już nie zdoła powstrzymać, mówił sobie Cheo.

Mliss powinna umrzeć lada chwila, zamknięta w pozbawionym dopływu powietrza zbiorniku Kosmetykerów. Pozostali będą musieli uznać jego przywództwo. W jego rękę znajdzie się G'oko i skoncentruje cała władza.

Cheo stał we własnym mieszkaniu, w pobliżu aparatury sterującej G'oka. Otaczała go noc, ale – jak sam sobie przypomniał – wszystko jest względne. Na Serdeczności, wokół spoczywającego ponad falami przyboju Arbuza, niedługo zaczną świtać.

Ostateczny świt Kalebana... świt ostatecznej nieciągłości. Ten świt rychło zapadnie wiecznym zmierzchem nad wszystkimi planetami dzielącymi wszechświat ze skazanym na zagładę Kalebanem.

Za kilka minut planeta-z-przeszłości, na której się znajduje, osiągnie odpowiednie łączniki z Serdecznością. A czekający po drugiej stronie pokoju Palenki wykona swoje rozkazy.

Cheo w zamyśleniu podrapał się po bliznach na czole.

Żaden Pan Spechi nie rzuci już na niego oskarżenia, na Zawsze ucichną obwiniające go glosy. Osobowość, której posiadanie sobie zapewnił, nie będzie już znikąd zagrożona.

Nikt go nie zdoła powstrzymać.

Mliss już nie powróci zza grobu, by mu stanąć na drodze. Zamknięta w szczelnym zbiorniku pewno krztusi się właśnie i łapczywie wciąga do płuc resztki kończącego się powietrza.

A ten dureń McKie! Nadzwyczajny Sabotażysta okazał się trudny do schwytania i niezwykle

irydujący, ale teraz już w żaden sposób nie zdoła zapobiec nadchodzącej apokalipsie.

Jeszcze kilka minut.

Cheo spojrział na odliczające czas do kontaktu tarcze kontrolki G'oka. Wskazówki zbliżały się do siebie tak wolno, że patrząc się na nie nie sposób było zauważyć ruchu. Ale jednak się zbliżały.

Przeszedł przez pokój do otwartych drzwi na balkon, zauważył w przelocie pytający wzrok Palenki i wyszedł na zewnątrz. Księżyc nie było widać, ale liczne gwiazdy migotały na nieboskłonie w obcych oczom Pan Spechi konstelacjach. Mliss stworzyła tu sobie dziwny świat, pełen fragmentów starożytnej historii z ziemskiej przeszłości jej rasy, najrozmaitszych dziwactw pozbieranych tu i tam z całych wieków i tysiącleci.

No. a te gwiazdy. Kaleban zapewnił ich, że nie ma tu żadnych innych planet, ale przecież są gwiazdy... Jeżeli to w ogóle gwiazdy. Może to tylko skupiska świecących gazów ustawione tak, jak sobie tego Mliss zażyczyła.

Cheo zdał sobie sprawę, jak samotna będzie ta planeta, gdy tamten drugi świat przestanie istnieć. A przed tymi gwiazdami – pamiątką po Mliss – nie będzie gdzie uciec.

Za to będzie bezpiecznie. Żadnych więcej pogoni, gdy zabraknie ścigających.

Spojrzał przez ramię do oświetlonego pokoju.

Jak cierpliwie czekał ten Palenki, z zamkniętymi oczyma, zastygnięty w bezruchu. Bicz zwisał mu bezwładnie w jedynej ręce. Cóż to za szaleńczo anachroniczna broń. Ale spełnia swoje zadanie. Bez tego dzikiego połączenia Mliss i jej zboczonych zachcianek nigdy by nie wpadli na tę broń, na ten świat, nigdy by im się nie udało odizolować go na zawsze, na całą wieczność.

Cheo delektował się myślą o wieczności. To bardzo długo. Może nawet za długo. Ta myśl zaniepokoiła go. Samotność... na zawsze.

Odrzucił te myśli, spojrział raz jeszcze na tarcze zegarów G'oka. Wskazówki przesunęły się o włos bliżej do siebie. Niedługo już będzie czas ruszyć.

Cheo czekał, nie patrząc na zegary, właściwie nie patrząc na nic. Noc na balkonie przesycona była zebranymi przez Mliss zapachami – egzotyczne kwiaty, zapach i smród najdziwniejszych stworzeń, oddech miliardów gatunków, z którymi chciała dzielić tę swoją Arkę.

Arka. To dziwna nazwa dla tej planety. Może ją zmieni... kiedyś. Gniazdo? Nie! Z tym wiążą się bolesne wspomnienia.

Zastanawiał się, czemu nie ma innych planet. Przecież Kaleban mógł dostarczyć inne planety. Ale Mliss ich sobie nie zażyczyła.

Wskazówki zegara dochodziły już do siebie.

Cheo powrócił do pokoju, wezwał Palenkę.

Żółtiowate stworzenie drgnęło, podeszło do Chea i zatrzymało się u jego boku. Zdawało się być pełne entuzjazmu. Palenki lubią przemoc.

Cheo poczuł nagłą wewnętrzną pustkę, ale było już za późno, by się wycofać. Położył ręce na aparaturze sterującej – humanoidalne ręce. One też będą mu przypominać Mliss. Przekręcił gałkę. Wydawała się dziwnie obca pod palcami, ale szybko stłumił w sobie wszelki niepokój, wszelki żal, i skoncentrował się na wskazówkach zegara.

Zbiegły się ze sobą i Cheo otworzył włącznik.

– Teraz! – rozkazał.

*Jeżeli słowa są dla Ciebie symbolami rzeczywistości, to żyjesz w świecie marzeń.*

**Porzekadło Wreawów**

McKie usłyszał komendę krzyczaną przez Pan Spechi w momencie, gdy w Arbuzie zmaterializowała się tuba wirtunelu skokwłazu. Jej otwór zdominował pomieszczenie, jasno rozświetlając fioletowy półmrok. Światło padało zza dwóch postaci widocznych w otworze: jednego Palenki i jednego Pan Spechi, Chea.

W niewielkim pomieszczeniu tuba wirtunelu nabrzmiała do niepokojących rozmiarów. Olbrzymie siły szalejące wokół obrzeża otworu roztrąciły strażników na boki. Zanim zdążyli się pozbierać, ręka Palenki sięgnęła przez otwór i bicz spadł na Kalebana.

McKie'emu dech w płucach zaparła fontanna zielonych i złotych iskier tryskająca sponad łyżki Kalebana. Złoty! Bicz uderzył powtórnie, wzbijając pod sufit więcej iskier. Rozbłysnęły przez moment i zgasły nie pozostawiając po sobie ani śladu.

– Stać! – krzyknął McKie na widok strażników zbierających się do ataku. Nie chciał mieć następnych ofiar zamykającego się skokwłazu. Strażnicy zawahali się.

Palenki zamachnął się biczem następnym raz.

Rozbłysnęły iskry, opadły gasnąc.

– Franiu! – zawołał McKie.

– Odpowiadam ci – powiedziała Kaleban. McKie odczuł nagły wzrost temperatury, ale słowom Kalebana towarzyszyło tym razem uczucie spokoju, łagodności i... siły.

Strażnicy kręcili się niepewnie, spoglądając to na McKie'ego, to na łyżkę Kalebana, nad którą Palenki z zacięciem kontynuował swój atak. Każde uderzenie zalewało pokój nowym wodospadem złotych iskier.

– Co z twoją substancją, Franiu? – spytał McKie.

– Moja substancja rośnie – odpowiedziała Kaleban. – Dajesz mi energię i dobroć. Odplacam miłością za miłość i miłością za nienawiść. Ty dajesz mi do tego siły, McKie.

– A co z nieciągliścią? – spytał McKie.

– Nieciągliść usunięta! – słowa te pełne były uniesienia. – Nie widzę węzła łączników do nieciągliści! Moi towarzysze powrócą z miłością.

McKie głęboko wciągnął powietrze do płuc. A więc to działa! Każda nowa seria słów Kalebana przynosiła falę żaru. To też objaw sukcesu. Otarł pot z czoła.

Bicz opadał raz po raz z wściekłością.

– Przestań, Cheo! – zawołał McKie. – Przegrałeś! – spojrzał przez otwór skokwłazu. – Karmimy ją szybciej, niż ty możesz ją pozbawiać substancji.

Cheo szczerknął krótki rozkaz do Palenki. Ramię z biczem cofnęły się przez tubę wirtunelu.

– Franiu! – zawołał Pan Spechi.

Nie nadeszła żadna odpowiedź, ale McKie odczuł wzbierającą od Kalebana falę litości.

Czyżby żalowała Chea? – pomyślał.

– Rozkazuję ci odpowiedzieć mi, Kalebanie! – ryknął Cheo. – Masz słuchać swojego pracodawcy!

– Słucham jedynie osoby zawierającej kontrakt – odpowiedziała Kaleban. – Nie dzielisz żadnych łączników z zawierającą kontrakt.

– To ona kazała, żebyś mnie słuchała!

McKie przyglądał się z zapartym tchem, czekając aż przyjdzie mu ruszyć do akcji. Będzie to trzeba zrobić bardzo precyzyjnie. Kaleban wytłumaczył to – dla zmiany – bardzo jasno. Nie było zbyt wiele wątpliwości co do znaczenia jego słów. „Abnethe zbiera w sobie samej linii swojego świata. „ Tak powiedziała Frania i znaczenie tego wydawało się oczywiste. Kiedy Frania wezwie Abnethe... będzie trzeba złożyć ofiarę. Abnethe musi umrzeć, a z nią jej świat.

– Twój kontrakt! – nalegał Cheo.

– Kontrakt zmniejsza intensywność – powiedziała Kaleban. – Na tym nowym torze musisz się do mnie zwracać Thyone. Imię miłości, które dostałam od McKie'ego: Thyone.

– McKie, coś ty zrobił? – zawołał Cheo. Położył palce na kontrolkach urządzeń sterujących G'okiem. – Czemu ona nie reaguje na biczowanie?

– Ona nigdy tak naprawdę nie reagowała na biczowanie – odparł McKie. – Reagowała na przemoc i nienawiść, które mu towarzyszyły. Bicz był tylko jakimś szczególnym instrumentem ogniskującym te uczucia. Zbierał przemoc i nienawiść w jeden wrażliwy...

– ...węzeł – powiedziała Kaleban. – Wrażliwy węzeł.

– A to pozbawiało ją energii – ciągnął dalej McKie. – Ona z energii produkuje uczucia. To wymaga wielkiej ilości pokarmu. Frania jest prawie samym uczuciem, siłą twórczą, a to napędza wszechświat, Cheo.

Gdzie jest Abnethe? – pomyślał McKie.

Cheo dał Palence sygnał ręką, zawahał się gdy McKie powiedział:

– To na nic, Cheo. Karmimy ją szybciej niż ty ją pozbawiasz energii.

– Karmicie ją?

– Otworzyliśmy w przestrzeni kosmicznej gigantyczny skokwłaz, który zbiera wolny wodór i wprowadza go bezpośrednio do Thyone.

– Co to ten... Thyone? – spytał Cheo.

– Gwiazda, która jest Kalebanem – powiedział McKie.

– Co ty wygadujesz?

– Jeszcze się nie domyślił? – spytał McKie. Ręką dał strażnikom umówiony sygnał. Abnethe dalej się nie pokazywała. Może Cheo ją gdzieś zamknął. Wymagało to zastosowania planu awaryjnego. Ktoś będzie się musiał przedostać przez skokwłaz.

W odpowiedzi na sygnał strażnicy zaczęli przesuwać się w kierunku skokwłazu. Wszyscy trzymali miotacze w pogotowiu.

– Nie domyśliłem się czego? – spytał Cheo. Muszę odwrócić jego uwagę, pomyślał McKie.

– Kalebany objawiają się w naszym świecie na kilka sposobów – powiedział. – Są gwiazdami, słońcami – które

w rzeczy samej mogą okazać się tylko organem pobierania żywności. Stworzyły te Arbuzy – które są pewnie przeznaczone i do zapewnienia nam bezpieczeństwa w kontaktach z nimi, i do pomieszczenia formy mówiącej. Nawet Arbuzy nie są w stanie pochłonąć całej energii związanej z mówieniem. To dlatego robi się tu tak gorąco.

McKie spojrział na grupę strażników. Coraz bardziej zbliżali się do otworu skokwłazu. Dzięki wszystkim dobrym bogom świata za to, że Cheo otworzył go tak szeroko!

– Gwiazdy? – spytał Cheo.

– Tego Kalebana udało się nam zidentyfikować – powiedział McKie. – Ona jest Thyone w gwiazdozbiorze Plejad.

– Ale... efekt G'oka...

– Gwiezdne oko – powiedział McKie. – W każdym razie ja to tak rozumiem. Pewnie mam rację tylko po części, ale Thyone twierdzi, że i ona, i inni jej współplemieńcy podejrzewali prawdę już w czasie pierwszych prób kontaktów z nami.

Cheo powoli kręcił głową.

– Skokwłazy...

– Napędzane energią gwiazdną – powiedział McKie. – Od początku wiedzieliśmy, że do



pokonywania przestrzeni w ten sposób potrzebne są energie tego rzędu. Taprisjoci dali nam wskazówki, mówiąc o zakotwieniu i przecinaniu łączników Kalebanów do...

– Gadasz bzdury – warknął Cheo.

– Bez wątplenia – zgodził się McKie. – Ale to bzdury, które poruszają rzeczywistość w naszym świecie.

– Wydaje ci się, że odwrócisz moją uwagę, podczas gdy twoi strażnicy przygotowują się do ataku – powiedział Cheo. – Pokażę ci teraz inną rzeczywistość w naszym świecie! – poruszył dźwigniami sterującymi skokwłazem.

– Thyone! – krzyknął McKie.

Otwór skokwłazu zaczął poruszać się w kierunku McKie'ego.

– Odpowiadam McKie'emu – powiedziała Kaleban.

– Powstrzymaj Chea – powiedział McKie. – Uwięź go.

– Cheo więzi się sam – odparła Kaleban. – Cheo powoduje nieciągłość łączników.

Skokwłaz poruszał się dalej w kierunku McKie'ego, ale Cheo wyraźnie miał kłopoty ze sterowaniem nim. McKie odsunął się na bok, zanim skokwłaz przesunął się przez miejsce, na którym stał.

– Powstrzymaj go! – krzyknął McKie.

– Cheo sam się powstrzymuje – odparła Kaleban.

McKie odczuł definitywną falę litości towarzyszącą tym słowom.

Otwór skokwłazu obrócił się wokół własnej osi, począł ponownie zbliżać do McKie'ego. Tym razem poruszał się nieco szybciej.

McKie odskoczył na bok, roztrącając strażników. Czemu ci durnie nie próbują rzucić się przez skokwłaz? Boją się, że ich poszatkuje, czy co? Przygotował się do skoku przez otwór, gdy znowu zbliżył się do niego. Cheo przyzwyczał się już, że McKie się go boi. Nie będzie się spodziewał ataku ze strony kogoś, kto się go boi. McKie przełknął ślinę przez zaschnięte gardło. Wiedział co się stanie. Lepka gęstość w wirtunelu zwolni go na tyle, że Cheo zdąży zamknąć właz. Straci co najmniej nogi. Ale miotacz będzie już po drugiej stronie i Cheo zginie. Jeżeli szczęście będzie mu choć trochę sprzyjać, to znajdzie też i Abnethe – i ona też zginie.

Skokwłaz na powrót skierował się w stronę McKie'ego.

Skoczył do przodu, zderzając się ze strażnikiem, który wybrał ten sam moment na skok. Oboje znaleźli się na czworakach gdy objął ich otwór skokwłazu.

McKie zobaczył tryumfujący wyraz twarzy Chea przesuwającego dźwignię aparatury sterującej. Usłyszał odległy trzask i skokwłaz nagle zniknął.

Ktoś krzyknął.

Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu McKie znalazł się – nadal na czworakach – w fioletowym półmroku wnętrza Arbuza. Pozostał w bezruchu, przywołując do pamięci obraz Chea, taki jakim go przed chwilą widział. Cheo był jak duch – rozplątywał się, stawał przeźroczysty. McKie zaczął przez niego widzieć coś ciemniejszego, co okazało się być wnętrzem Arbuza.

– Nieciągłość rozwiązuje kontrakt – powiedziała Kaleban.

McKie wolno wstał na nogi.

– Co to znaczy, Thyone? – spytał.

– Stwierdzenie faktu o znaczeniu intensywno-prawdziwym tylko dla Chea i jego towarzyszy – odpowiedziała Kaleban. – Własna osoba nie może dać McKie'emu znaczenia odnośnie substancji innego.

McKie skinął głową przytakująco.

- Świat Abnethe był jej własnym wytworem – mruknął. – wytworem jej wyobraźni.
- Wytłumacz wyobraźni – powiedziała Kaleban.

Cheo odczuł moment śmierci Abnethe jako stopniowe rozpuszczanie się materii i wokół niego, i w nim samym. Ściany, podłoga, kontrolki G'oka, sufit, cały świat – wszystko rozpływało się w nicość. Poczuł cały pośpiech swojego życia nabrzmiały w jeden jałowy moment. Przez krótką chwilę poczuł, że z cieniami pobliskiego Palenki i innych – odleglejszych – wysepek ruchu dzieli miejsce, sposób istnienia nigdy nie rozważany przez mistyków rasy Pan Spechi. Ale starożytny Buddysta lub Hindus poznałby to miejsce – Maya, miejsce złudzenia, bezkształtna próżnia bez żadnego charakteru.

Chwila ta minęła w mgnieniu oka i Cheo przestał istnieć. Można by też powiedzieć, że doświadczył nieciągłości stając się jednym z próżnią-złudzeniem. W końcu nie da się przecież oddychać ani próżnią, ani złudzeniem.